

grudzień '88

kultura

NIEZALEŻNA

46

grudzień '88

kultura wieloletnia

MIESIĘCZNIK

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

46

SZKICE

JAN WALC

WSTĘP DO "MAŁEJ APOKALIPSY"

Jest bardzo trudny obowiązek i bardzo samotny człowiek, a świat dookoła jest przejmująco piękny i przejmująco straszny; tak przejmująco, że trzeba się zasłonić ironią tak przed jego pięknem, jak i grozą, ale ta ironia jest jak wódka: czasem rozbawi czy rozśmieszy, czasem wprawi w jeszcze większe przerażenie, ale przecież nic nie jest w stanie zmienić - obowiązek i samotność pozostają - i to one właśnie wyznaczają pisarski świat Tadeusza Konwickiego.

Nie ma wśród pisarzy współczesnych drugiego, którego książki tak konsekwentnie towarzyszyłyby powojennym polskim dziejom: od debiutu w roku 1950 pisze Konwicki stale, co dwa-trzy lata wydaje kolejną powieść, i niezależnie od tego, jak by to było trudne, w każdej z nich odbija swój świat, zapisuje swój czas, taki, jaki został mu dany. I nie ma sposobu, żeby Konwickiego od tego powstrzymać, chociaż niejednokrotnie czyniono w tym kierunku różne starania; jeśli taki świat, jaki chce utrwalić pisarz, wedle czyjegoś zdania nie ma pozostać utrwalony, a skazany na zapomnienie, Konwicki i tak sobie poradzi: jeśli będzie chciał szukać cenzora, szuka go, jeśli nie będzie miał na to ochoty czy

nerwów, książkę i tak wyda, w każdym razie książka będzie na pewno.

I tę książkę będzie się zdobywać z trudem, kupować spod lady, chwycić w podziemnym sklepiu, szmuglować na dnie walizki z Paryża - bo jeśli bywa Konwicki niezrozumiały, trudny czy przynajmniej denerwujący - czytany jest zawsze, bo jeśli nawet ktoś tej czy innej książki Konwickiego nie rozumie, nie jest w stanie objaśnić sobie wszystkich jej, czasem skomplikowanych, metafor czy obrazów, wyczuwa w niej charakterystyczny nastrój czy ton, ten, który powoduje, iż jest oczywistością, że mamy do czynienia z książką odbijającą świat, z którym się na co dzień mocujemy.

Konwicki pisze już bez mała czterdzieści lat, w ciągu których zmieniał się i ów opisywany świat, i sam pisarz, i jego czytelnicy. Zapewne część jego książek stanie się kiedyś niezrozumiała, bądź przynajmniej nabierze nowych znaczeń, ale czytelnicy, którzy Konwickiemu od dawna towarzyszą, nie mają wątpliwości, że jego kolejne książki, nawet jeśli się miały później zestarzeć, w chwili gdy były pisane, odbijały tęsknoty, nadzieje i wątpliwości swojego czasu, jak książki mało którego ze współczesnych polskich pisarzy.

Powieść, która po długim okresie krajowych konfiskat i zagranicznych sukcesów, dzisiaj trafia do swoich czytelników w majestacie prawa, napisana została przed dziesięciu laty, w epoce gierkowskiej, która czasem wydaje się nam odległa jak zamierzchła epoka przedwojenna. "Mała Apokalipsa" przez owo dziesięciolecie pędziła żywot podziemny, zawierała fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny, godziła w sojusze oraz konstytucyjne podstawy, a jednocześnie stawiała się mitem, potwierdzając się w praktyce profetyczną wizją,

najdramatyczniejszym reportażem naszej współczesności.

"Apokalipsa" to pojęcie dwuznaczne - po grecku znaczy tyle co objawienie, i w starożytności, szczególnie w tradycji żydowskiej, bynajmniej nie oznaczała czegoś strasznego, a nawet przeciwnie: przecieź do istoty objawienia należało ukazywanie szczęśliwej przyszłości, tryumfu Dobra nad Złem. W praktyce jednak posługujemy się tym słowem w znaczeniu przeciwnym, nazywamy nim to, co w świecie najbardziej przerażające, zapominając poniekąd, że wszystkie te okropności to tylko strachy stojące na drodze do szczęścia, które mimo całej ich straszliwości, przecieź istnieje.

Tadeusz Konwicki interesuje się Apokalipsą od dawna - ślady tej lektury, a nawet pokaźne cytaty z Apokalipsy św. Jana odnajdujemy w wielu jego dawniejszych powieściach, a przecieź jednocześnie ani w "Małej Apokalipsie", ani w żadnej innej swojej książce nie jest Konwicki czarnowidzem, głosicielem tryumfu zła, rzecznikiem beznadziei.

Zdarzało się, że tak go próbowano odczytywać, tyle że zdarzało się to nie czytelnikom, a przeciwnie, tym, którzy chcieli, aby Konwicki miał czytelników jak najmniej albo wcale. Jego kolejne książki, jedna po drugiej, budziły opór czynników oficjalnych, były wstrzymywane przez cenzurę, organizowano przeciw nim prasowe nagonki.

Warto się nad tym zastanowić, tym bardziej, że Konwicki we wszystkich swoich książkach pisze głównie o sobie; trzeba przeto skonstatować, że to on sam jest od tylu już lat właściwie niecenzuralny. I nie ma w tym właściwie nic dziwnego: pisarz jest okazowym wręcz przedstawicielem swojego tragicznego pokolenia, pokolenia urodzonego i wychowanego w Polsce międzywojennej, którego tragizm w znacznej

mierze na tym polega, że nie tylko nie mogło ono głośno o nim mówić, ale co więcej, klęski swoje przedstawiać miało jako zwycięstwa.

Gdyby Tadeusz Konwicki zechciał którąś ze swoich książek zacząć oczywistymi w jego ustach słowami "Litwo, ojczyzna moja" wedle formuł, jakie przez lat z górą czterdzieści stosowała cenzura PRL, godziłoby w sojusze, bo zgodnie z ustaleniami Konferencji Jałtańskiej i Poczdamskiej jego ojczyzna mieści się pomiędzy Bugiem a Odrą i Nysą, a na dodatek takie jej umiejscowienie wszystkich szalenie cieszy i absolutnie nie ma mowy, aby ktokolwiek mógł się w nim dopatrywać czegoś tragicznego.

A Konwicki to przede wszystkim człowiek, którego nie tylko wygnano z ojczyzny, ale jej pozbawiono. Można skonfiskować to zdanie, ale nie można zmienić tego faktu. Kiedy Adam Mickiewicz pisał w Paryżu swoją litewską epopeję, nie mógł do ojczyzny wrócić, ale miał wszelkie prawo sądzić, że ona nadal istnieje i będzie istnieć, a mógł mieć nawet nadzieję, że uwieczniając jej obrazy i obyczaje w swoim poemacie, mającym trafić pod strzechy, może nawet wpłynąć na przedłużenie tego istnienia w swojskim, najbardziej sobie znajomym, domowym kształcie. A ta Litwa, która była ojczyzną Konwickiego, miejsce dziwnego przenikania się rozmaitych kultur i języków, ojczyzna Polaków i Litwinów, Białorusinów, Żydów i Ormian, przestała istnieć i już jej nigdy nie będzie. Konwicki nie tylko utracił ojczyznę - utracił prawo mówienia o tym, bo przez całe dziesięciolecia było to jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic państwowych.

Konwicki przegrał również wojnę, w której walczył w partyzanckich oddziałach Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Kiedy się wojnę przegrywa, to zawsze jest bardzo nieprzyjemnie, ale kiedy własną klęskę

trzeba nazywać zwycięstwem i głośno wyrażać swoją z niego radość - wtedy mamy do czynienia z tragedią. Dziesiątki tysięcy żołnierzy Armii Krajowej walczyły o zupełnie inną Polskę niż ta, która powstała w wyniku II Wojny Światowej i wielu z nich znalazło się na Syberii jeszcze przed zakończeniem działań wojennych. Samemu pisarzowi udało się przypadkiem uniknąć tego losu, ale też nie wolno było o nim wspominać, bo losy wileńskiej AK należały przez dziesięciolecia do państwowych tajemnic.

Konwicki, człowiek który utracił ojczyznę i przegrał wojnę, był gotów do kompromisu i nie ma w tym chyba zasadniczo nic dziwnego. Podkreślamy jednak, że słowo kompromis oznacza ustępstwa obu stron i jest czymś sgoła odmiennym od bezwarunkowej kapitulacji. A etos polskiej narodowej tradycji, zespół wartości, w którym się pisarz w swojej ojczyźnie wychował i ukształtował, bezwarunkowej kapitulacji nie zna.

"... jeżeli pielgrzymuję z miejsca na miejsce, jeśli nigdzie nie mogę znaleźć spokoju, to nie dlatego, że pragnę jakiejś rekompensaty, że szukam czegoś, czego nie można znaleźć. Ja budzę się co dzień i zasypiam z lękiem, przerażeniem, okropnym poczuciem bezsiły. Mogę wybrać rezygnację. Trakt jałowej vegetacji, stan otępienia spowodowany biologicznym przeżuwaniem dni, oszukiwanie pamięci starczymi przyjemnościami w popychaniu krąków warcabowych. Czy to jest ta jedyna możliwość? - mówi bohater "Sennika współczesnego".

I w tym miejscu ustaliła się linia frontu. Nie przypadkiem pierwsze lata powojenne są okresem, w którym władze przykładały tak wielkie znaczenie do spraw kultury; mówiło się wtedy o w a l c e o n o w e' g o c z ł o w i e k a, a rzecz

w swojej istocie sprowadzała się do walki z człowiekiem dotychczasowym, człowiekiem ukształtowanym w kręgu kultury europejskiej, walki z etosem polskiej inteligencji. "Więcej Osmańczyka, mniej Grottgera, a wszystko będzie cacy" - jak formułował to literacki kondotier wynajęty do reprezentowania stanowiska władz. Wartości najwyższe miały być nie tylko odrzucone, ale wyśmiane. Przez całe lata starano się nas rozśmieszać obrazem księcia Józefa rzucającego się do Elstery, Ordona wysadzającego redutę, czy - to już specjalność reżysera Bułata z "Małej Apokalipsy" - białego konia.

Ów nowy człowiek, o którego walczy, miał być przede wszystkim bardzo zadowolony z własnego losu i otaczającej rzeczywistości i to jest punkt, w którym Tadeusz Konwicki powiedział nie i nigdy oczekiwanej radości nie zdołano z niego wydusić. On się nie chciał cieszyć, i nie był gotów produkować radosnych bohaterów. Postaci z jego książek choć do radości tęsknią, cieszyć się nie umieją, nie umieją nawet kochać, chociaż tak bardzo miłości pragną.

Jedynym wyjątkiem jest tu debiutancka powieść "Przy budowie" z roku 1950. Choć nic nie warta w porządku literackim, jest ona jednak mimo wszystko w twórczości Konwickiego ważna - "Przy budowie" to beletryzowany reportaż z budowy Nowej Huty, gdzie autor 3 miesiące pracował jako łopaciarz; jeżeli jednak ktoś miał nadzieję, że posyłając Konwickiego do Nowej Huty wybije mu się z głowy etos inteligencki - zawiódł się na całej linii. Dziś wiemy, że stało się akurat odwrotnie: to nowohuckim robotnikom ów inteligencki etos stał się bliższy, niż można było w najśmielszych marzeniach przypuszczać.

Jak wielu jego rówieśników, szczególnie tych, którzy należeli do kręgów

inteligencji twórczej, wstępuje Tadeusz Konwicki do PZPR, zapewne w przekonaniu, że tędy właśnie wiedzie droga ku szklanym domom i w nadziei, że ten wybór nada sens jego pokiereszowanej przez wojnę biografii, że przegrana wojna i utracona ojczyzna zostaną zrekompensowane przez te oczekiwane lada dzień szklane domy.

Polski inteligent tego pokolenia, do którego należy Tadeusz Konwicki, chował się na Żeromskim - "Czytałeś 'Popioły' Żeromskiego, biblię twojego pokolenia oprawną w granatowe płótno." - powie w "Senniku współczesnym"^{4/}, a z tego wynikają oczywiste konsekwencje: ostatnia rzecz, jakiej się po ludziach na Żeromskim wychowanych można spodziewać, to tępe zadowolenie z własnego losu, zgoda na zastany świat. "Jemu zawsze było mało, nie znał swojej miary i swojego miejsca"^{5/} - ta opinia o głównym bohaterze "Dziury w niebie" wygłaszana w powieści przez jego ideowego adwersarza określa w lapidarnym skrócie tak charakterystyczną dla pisarza postawę człowieka niepokornego.

Świadomość miała być określana przez byt, a warunki tego bytu określały stosowne organa państwowe w złudnej nadziei zapanowania również nad świadomością. Konwicki był jednym z tych, którzy przenosili w czasy nam współczesne wzór dokumentnie odwrotny: moralny nakaz kształtowania świata wedle swojej świadomości, swojego sumienia, przez siebie uznawanych wartości.

A stało się tak, że zamiast oczekiwanych szklanych domów stanął na środku miasta Pałac Kultury, gmach górujący nad śródmieściem Warszawy, gdzie toczy się akcja znacznej części książek Konwickiego, gmach, od którego narrator jego książek nie jest w stanie oderwać wzroku, symbol bardzo wielu bardzo niedobrych rzeczy. Konwicki szybko zauważył różnicę pomiędzy szklanymi

domami a Pałacem Kultury, i zanim budowę tego ostatniego ukończono, już zdawał sobie sprawę, że jeśli chce dalej pozostać wierny "biblii swojego pokolenia oprawnej w granatowe płótno", musi być z tym gmachem i wszystkim, co on symbolizuje w istotnym konflikcie.

Jeśli próba zerwania z AK-owską przeszłością i tzw. włączenia się w nurt budownictwa socjalistycznego niosła za sobą konieczność odniesienia tej decyzji do Conradowskiego imperatywu wierności, jeśli powodowała wyrzuty sumienia i zmuszała do odpowiedzi sobie na pytanie, co jest wiernością, a co zdradą, rok 1956 i następujące po nim procesy zmian politycznych i świadomościowych powtórzyły te pytania w nowej konfiguracji i ze znacznie większą siłą. Konwicki wystąpił z partii i teraz już nie mogło być wątpliwości, że w którymś momencie pokręconego życiorysu zdrada miała jednak miejsce i następnych lat kilkanaście będzie dla pisarza okresem borykania się z własnym życiorysem, analizy pokręconej swojej świadomości. Lubi on z ironią i pewnego rodzaju dwuznacznością powtarzać, że jest kimś bardzo zwykłym, nie wyróżniającym się z tłumu - i jest to o tyle prawda, że te wszystkie jego wspomniane problemy, owo pokręcenie życiorysu i świadomości przytrafiło się w tym czasie nie jemu jednemu tylko, a znacznej części współczesnych mu Polaków.

Przy tym, że tak skupiony wokół problemów samotnej jednostki, jest zarazem Konwicki pisarzem uwikłanym w problemy społeczne; z jednej strony doświadczenia jego bohaterów, nawet jeśli tak wielką ich część czerpie pisarz z biografii własnej, są doświadczeniami wspólnymi dla wielu, z drugiej zaś ci samotni bohaterowie książek Konwickiego nieustannie poszukują sposobów integracji z innymi, pragną gdzieś

przynależeć, być z innymi, chcą się z tej swojej samotności wyzwolić.

Od "Dziury w niebie", poprzez "Sennik współczesny", "Nic albo nic", aż do "Małej Apokalipsy", a może i do "Rzeki podziemnej" jednym z centralnych motywów powieści Konwickiego jest obawa przed zagładą. Szczególnie przejrzyste widać to w "Senniku", zresztą jednej z najwyższ cenionych książek Konwickiego: dolina, w której toczy się akcja książki, będąca z jednej strony zupełnie zwyczajną polską /choć i trochę litewską/ doliną, z drugiej zaś Doliną Jozafata - otóż dolina ta ma zostać zalana wodą, zniszczona na zawsze, z całą swoją historią, z obyczajami i wartościami wyznawanymi przez jej mieszkańców. Stary, dotychczasowy świat ma ulec zniszczeniu i choć pisarz nie jest jego bezkrytycznym apologetą, widzi z całą jasnością, że zniszczenie owo odbywa się w imię wartości znacznie bardziej problematycznych niż te, które zniszczone być mają. Chodzi tu o rzeczy wyjątkowo proste, i do znudzenia oczywiste - dobro, piękno, prawdę i wolność. O to, że w centrum świata arkadyjskiej doliny Konwickiego znajduje się zawsze człowiek, a nie abstrakcyjne idee, i nawet jeśli problemy tego człowieka przedstawiane są z ironią, nawet jeśli ten człowiek jak Polek Krywko z "Dziury w niebie" jest 12-letnim chłopcem, to przecież on i jego problemy są najważniejsze.

Zagrożenie wartości elementarnych, groźba pogrzebania naszego świata pod wielką a najpewniej nikomu i do niczego niepotrzebną budową, jak właśnie w "Senniku współczesnym", odebranie nam możliwości stanowienia o swoim losie, jak bohaterowi "Zwierzoczekoupiora", wreszcie najbardziej beznadziejna alternatywa, jaka daje się pomyśleć: "Nic albo nic" - to tematyka książek Konwickiego z lat

sześćdziesiątych. Jest dla nich charakterystyczne, że ich bohaterowie nieodmiennie cierpią na jakiś rodzaj choroby świadomości, mozolnie i na różne sposoby starając się zrozumieć lub choćby zrekonstruować własny życiorys, jawiący się im jako coś niepojętego, coś, co im się przydarza bez udziału ich woli czy świadomości. Amnezja, epilepsja, białaczka - wszystkie te strasze przypadłości są przecież w końcu figurą polskiej kondycji tamtego czasu; tytuł "Nic albo nic", książki pisanej w roku 1970, w beznadziei i rozpacz, jest jakże bolesnym nawiązaniem do opowiadania "Wszystko i nic" Stefana Żeromskiego, opowiadania podejmującego wątek "Popiołów" i ukazującego Rafała Olbromskiego, już ojca rodziny, na chwilę przed wybuchem Powstania Listopadowego.

Rafał stoi przed wyborem trudnym, ale jednak na ludzką miarą: jego udziałem jest nie tylko przerażenie, ale i heroiczna nadzieja, gdy Polak z roku 1970 przekonany jest, że zależy od niego **n i c a l b o n i c**, i chyba ma wiele racji. Na kartach powieści obécne jest dławiące przeczucie mającej się dopełnić pod koniec tego roku tragedii, której zapobiec nie sposób, ale przecież nie sposób też żyć ze świadomością takiej strasznej własnej niemocy, więc jest ta książka zapisem męki, nasycają ją już nie tylko myśli o śmierci czy samobójstwie, ale dosłownie cytowane fragmenty Apokalipsy.

Wedle komunistycznej doktryny, tej w każdym razie, która funkcjonowała w praktyce, nie było w opisywanym przez Konwickiego świecie miejsca na tragizm, podczas gdy dla samego pisarza właśnie tragizm był najbardziej istotną cechą ludzkiej kondycji, a w każdym razie kondycji polskiej.

Konwicki nigdy nie był pisarzem politycznym z własnych zainteresowań,

własnego temperamentu, własnej woli - jego pisarskie zainteresowania koncentrowały się zawsze wokół pojedynczego, samotnego człowieka, jego losu i jego wyborów. I tu już zaczynała się polityka, bo przecież obowiązywała doktryna, że "jednostka zerem, jednostka bzdurą, jednostki głosik cieńszy od pisku", a pisarz całą siłę swojego talentu zaangażował w to właśnie, aby głos jednostki był jak najlepiej słyszalny.

Jeżeli więc wszystkie kolejne książki pisarza okazywały się w politykę uwikłane, to dlatego, że jego bohaterowie starali się bronić swojego prawa do własnej osobności, nie zgadzali się, aby ktoś inny określał ich bez reszty. "Idę drogą, na której skrajach czekają na mnie ludzie z chomątami. Staram się umknąć im głową, usiłuję postąpić kilka kroków o własnych siłach, a oni upończywie wypychają rzemieńne, twarde obręcze"⁴/- mówi bohater powstałej w roku 1954 mało znanej powieści Konwickiego "Z obłąkanego miasta".

Bohater kolejnych książek Konwickiego jest w gruncie rzeczy zawsze tą samą osobą, człowiekiem o biografii i doświadczeniach podobnych do tych, które były udziałem samego pisarza. Jego dorosłą biografię rozpoczynają wydarzenia związane z II Wojną Światową, o których już wspominaliśmy, a z upływem lat przyrastają doświadczenia peerelowskie i stopniowo ich tragizm zaczyna dominować nad wojennym. Jest to tragizm bardzo powszedni, bo pisarz nie posyła swoich bohaterów tam, gdzie akurat strzelają - robi to dopiero w "Rzece podziemnej".

Dlatego apokalipsa Konwickiego jest "mała" - i właściwie nie wiadomo, czy to lepiej, czy gorzej, bo wprawdzie taka mała apokalipsa nie jest jeszcze końcem świata, ale straszna jest w swoim skarleniu, w pomniejszeniu wszystkiego i upowszednieniu. "Nie oczekujcie Antychrysta - mówi bohater

książki - bo on już jest na ziemi. Antychryst rozcieńczony, rozdrobniony, zgranulowany. Miniantychryst w każdym z was i we mnie". Więc może taka pomniejszona apokalipsa codzienna, ta "mała" jest jeszcze straszniejsza od wielkiej?

Uwikłanie Konwickiego w politykę jest nie większe niż każdego ze współcześnie żyjących Polaków, jego bohater jest polskim everymanem, jednym z nas, udreńczonym daremnością swoich wysiłków, poczuciem zmarnowanego trudu i zmarnowanych lat, przekonany, że mimo wszelkich wysiłków nie jest w stanie żyć godziwie, żyć w taki sposób, aby to życie nie budziło jego najgłębszego protestu. Wyjątkowo wyraźnie widać to na przykładzie napisanego w roku 1968 "Zwierzoczekoupiora", którego bohater jest obdarzony świadomością współczesnego intelektualisty a jednocześnie możliwościami działania dziesięcioletniego chłopca, co każde go traktować jako figurę kondycji, jaką narzucono polskiej inteligencji.

"Mała Apokalipsa" powstaje 10 lat później, u schyłku epoki gierkowskiej, w czasie dziwnym i straszynym. Nie trzeba było wówczas wielkiej przenikliwości, aby dostrzec, że klęska już się właściwie dokonała, że na naszych oczach rozlatuje się kraj, w którym żyjemy, a grozę pogłębiały dekoracje, w których się to odbywało. Wedle znanej formuły Marksa bóstwa tragedii umierają na scenie operetki; Konwicki w swojej książce pokazał w sposób wstrząsający, że ta operetka jest jednak nadal tragedią.

W ten sposób "Mała Apokalipsa" stała się bodaj najważniejszą książką, jaką napisano w Polsce po II Wojnie Światowej - Konwicki zdołał w niej bowiem naraz sforsować wiele barier, z którymi borykała się nasza współczesna literatura. Powieść Konwickiego była pierwszą książką z góry przeznaczoną

do druku w wydawnictwach niezależnych, a więc w pełni ignorującą istnienie cenzury, której ówczesne uroszczenia miały wprowadzić operetkowo absurdalny charakter, ale jednoznacznie tragiczne skutki. Polskiemu społeczeństwu starano się odebrać nie tylko wszelkie nadzieje na godną egzystencję, ale nawet prawo do przyjmowania swojej klęski z powagą, jaka klęsce przystoi i właśnie "Mała Apokalipsa" była książką pozwalającą nam odzyskać poczucie własnego tragizmu.

Konwicki pisze ją 10 lat po "Zwierzoczekoupiorze"; jeżeli możliwości działania jego bohatera są dalej nie wiele większe, niż możliwości 10-letniego chłopca, szczególnie w stosunku do tego, co jest do zrobienia, to jednak przez te 10 lat polskie społeczeństwo, a w każdym razie jakaś jego część zrozumiała, że działać musi. I tak się właśnie stało: nielegalne publikacje zaczęto wydawać przy pomocy urzędów, jakie na świecie sprzedaje się w sklepach z zabawkami.

Dorośli Europejczyk z końca XX wieku, składający jakieś teksty na dziecinnej drukarence a następnie biorący udział w zabawie w policjantów i złodziei - to obraz żałosny, a może i śmieszny, ale jeżeli jedyną jego alternatywą jest drukowanie na nowoczesnych maszynach takich głupstw, z których już dzieci się śmieją, to ten Europejczyk jest postacią tragiczną.

"strzeż się jednak dumy niepotrzebnej
oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz"
- ta formuła Herberta nie jest obca i Konwickiemu, poczuciu tragiczności towarzyszy postawa ironii, będącej pryzmatem, który przełamuje w sobie obraz opisywanego świata, wyostrażając jego tragizm.

Ironia i groteska - to podstawowe narzędzia, jakimi się Konwicki posługuje opisując świat "Małej Apokalipsy", a przecież sens tej książki wykracza daleko

poza najbardziej zjadliwy obraz wchodzącej w wielki kryzys Polski końca lat 70-tych. Odpadają kawałki Pałacu Kultury, zawala się most Poniatowskiego, zapałki trzeba kupować w Peweksie a wódkę pędzić z importowanych kartofli, zaopatrzenie dla prominentów dowożone jest pancernymi chłodniami, szaleje inflacja i reglamentacja, jawni i tajni policjanci co krok zatrzymują, legitymują i przesłuchują - a wszystko to na tle wszechobecnego hasła "Zbudowaliśmy socjalizm". Nie zostaje oszczędzona i opozycja - śmieszna, żałosna i ograniczająca się do jałowych protestów, a nawet i sam bohater książki, w którym na pierwszy rzut oka też więcej widać śmieszności niż tragizmu.

Groteskowe skróty dokonywane przez pisarza niejednokrotnie dają tego rodzaju syntezę naszej rzeczywistości, której nie dałoby się osiągnąć cierpliwym a rzeczowym odpowiadaniem na najlepiej postawione konkretne pytania; tak jest np. z wprowadzonym przez niego rozróżnieniem dotyczącym metod mierzenia czasu - można to robić przy pomocy k a l e n d a r z a, można też posługiwać się k l e p s y d r a.^{5/}

Implikacje stosowania tych dwu odmiennych metod są niezwykle poważne; kalendarz jest jednym z najbardziej elementarnych narzędzi kultury etymologicznie oznaczającej przecież mozolną, rozciągającą się w czasie z pokolenia na pokolenie uprawę, która staje się niemożliwa bez kalendarzowej dyscypliny - ale wiedza o tym dostępna jest dla tych tylko, którzy do owej kultury należą, niezrozumiała zaś dla żyjących poza kalendarzem barbarzyńców, nie umiejących ani korzystać z doświadczenia przeszłości i szanować wiedzy o niej, ani, co za tym idzie, zdawać sobie sprawy z ich implikacji na przyszłość.

Jeżeli więc w świecie przedstawianym przez Konwickiego - poczynając chyba od "Nic albo nic" - tyle jest zamieszania z kalendarzem, które osiąga swoją kulminację w "Małej Apokalipsie", gdzie wszystkie kalendarze zostały zlikwidowane, a jeden jedyny jest podobno zamknięty w specjalnym sejfie w gmachu KC, gazety wychodzą bez daty i nie ma sposobu, aby ją ustalić - to przecież nie chodzi o jakieś żarty czy pure nonsensy, a raczej o odwzorowanie świata, w którym postanowiono zlikwidować pamięć, a kalendarz zastąpić klepsydrą dowolnie odwracaną przez najętego do tej pracy urzędnika.

I chociaż ta ironia i groteskowe sceny miały niebagatelny wpływ na powodzenie książki, a powodzenie to rosło w miarę spełniania się czarnych proroctw Konwickiego, nie one są w "Małej Apokalipsie" najważniejsze, nie one stanowią o wadze i znaczeniu tej książki. Mnożąc swoje apokaliptyczne opisy polskiej rzeczywistości, kreując najzłośliwszą możliwą groteskę nie idzie Konwicki śladem Orwella, nie tworzy negatywnej utopii, obrazu straszliwego świata, który mógłby się gdzieś kiedyś zdarzyć, ale pozostaje pisarzem-realistą, odmalowującym w trochę tylko wyostrożony sposób swoje tu i teraz.

Z wielką łatwością dostrzega się w "Małej Apokalipsie" to zło, które zrobili "oni", odpowiedzialni za rozpadnięcie się państwa i społecznych struktur - ale przecież mówi ta książka również i o tym, jak na owo zło godziliśmy się "my", na których oczach i za których milczącym przyzwoleniem się to wszystko odbywało. Rozpadającą się, zdruzgotaną entropią Warszawę z "Małej Apokalipsy" zaludniają tłumy manifestantów, wiończących się z transparentami o zbudowanym socjalizmie, często pijanych, ale bez protestu przystosowujących się do otaczającego ich

koszmaru. Polsce tamtej epoki potrzeba było na gwałt wielkiej idei czy przynajmniej wielkiego wstrząsu i Konwicki krzyczy te słowa Żeromskiego każdym zdaniem "Małej Apokalipsy".

Powiedzieliśmy, że apokalipsa to objawienie, to nadzieja na lepsze czasy, na tryumf Dobra nad Złem. "Mała Apokalipsa" jest taką nadzieją: lata zniewolenia umysłów, lata poczucia absolutnej beznadziei, przekonania, iż jedyną dostępną alternatywą jest nic albo nic - odchodzą w przeszłość. Może to jeszcze bardzo niewiele, może nawet nie obejmujemy rozmiarów zła, jakie się dokonało i które trzeba będzie mozolnie odpracowywać, może dramatyczny protest, jakim jest samospalenie się bohatera książki, nie jest w stanie rozwiązać żadnego konkretnego problemu, ale oto dokonuje się wstrząs i już wiadomo, że nie będzie dalej tak, jak było dotychczas.

Bohaterowie wcześniejszych książek pisarza mają nieustanne kłopoty z własną świadomością, męczą ich koszmary wojennych wspomnień i wyrzuty sumienia z powodu niedopełnienia obowiązku, uciekają w przeszłość, tam tylko, w kraju lat dziecinnych, znajdując pewne i godne zachowania wartości. To wszystko znika w "Małej Apokalipsie"; z chwilą, kiedy jej bohater dostrzega dla siebie "możliwość działania, nawet jeżeli jest to działanie tak specyficzne jak samospalenie pod Pałacem Kultury - świadomość ulega uzdrowieniu.

Samobójstwo bywało istotnym motywem w wielu poprzednich książkach Konwickiego - kończył się nim "Ostatni dzień lata", cień samobójcy unosił się nad pozornie beztróskim światem Polka Krywki z "Dziury w niebie", rzucał się pod pociąg bohater "Sennika współczesnego", chocholim tańcem upiórów kończyło się "Wniebowstąpienie",

zabijał się Darek z "Nic albo nic", ale wszystko to były samobójstwa prywatne niejako, będące wyrazem beznadziei, biorące się z umęczenia, gdy samobójstwo z "Małej Apokalipsy", będące wyzwaniem i wezwaniem, tę trudną nadzieję zawiera, nie jest bowiem aktem desperacji, ale ofiarą.

W napisanym o dziesięciolecie przed "Małą Apokalipsą" "Wniebowstąpieniu" - "szukamy wzrokiem nieba skomlać o ratunek. I wtedy właśnie dostrzegamy ludzi powracających z dalekiej wędrówki, której celem było poznanie nieba: jedyny prawdziwy kompleks człowieczy. Lecz ci ludzie, niektórzy żywcem spaleni, mówią, że nieba nie ma. Że to jest wieczna śmierć"/6/. Bezpośrednio po tej konstatacji bohater wchodzi do kościoła, znajduje czyjaś zapomnianą książkę, otwiera na chybił-trafił i zaczyna czytać: "Bodaż był zginął dzień, któregoś się urodził i noc, w którą rzeczono: Począł się mężczyzna" /7/ - więc nieba nie ma, a Biblia sama otwiera się na przekleństwie Hioba.

W zakończeniu "Małej Apokalipsy" czytamy natomiast: "Tak, widzę, pamiętam wczorajszą noc. Nagłą światłość na progu jesiennej albo letniej nocy. Raptowną, wszechogarniającą pewność, że to my, ludzie, ta płynąca znikąd donikąd rzeka materii biologicznej, że to my stworzyliśmy Boga. Nie w siedem dni, ale przez wieki lodowców i tropików, przez wieki rodzących się kontynentów i wysychających mórz, przez wieki rozwoju półkul mózgowych i zamieranie skrzeli, przez wieki zła i dobra, przez ery ujawnione i okryte dotąd tajemnicą, przez całą naszą człowieczą wieczność stworzyliśmy mozolnie, z bólem, z męką naszego Boga, Boga miłosierdzia i dobra, aby nas uchronił przed złem wszechświata, kosmosu albo choćby tego niebieskiego nieba, które razi nas piorunami. Żeby nas uchronił przed nami.

Bóg istnieje. Bóg ulepiony z naszych fal elektromagnetycznych albo jakichś innych, fal rozedrganych naszym cierpieniem, naszą rozpaczą, naszym gniewem. Bóg przeciw innym Bogom.

Bóg nasz potężnieje, ogarnia najdalsze galaktyki, wreszcie zapanuje nad całym wszechświatem, naszym wszechświatem, bo nic nie wiemy o innych wszechświatach, i uczyni nas rodem wybranym z ziemi obiecanej. Bóg miłosierdzia. Bóg ludzi".

Apokalipsa - objawienie - św. Jana jest jednym z centralnych punktów chrześcijaństwa, centralnych punktów naszej tradycji kulturowej. Odkupienie przez cierpienie, przez ofiarę z siebie - jest istotą czynu Chrystusa i wielokrotnie bywało w dziejach przykładem i wzorem. W literaturze polskiej z inspiracji mesjanistycznej powstała "Dziadów" część III - i Tadeusz Konwicki jest w "Małej Apokalipsie" spadkobiercą i kontynuatorem mickiewiczowskiego przesłania. Jego bohater jak Konrad kocha i cierpi za miliony, gotów wziąć na siebie ciężar największy.

Jan Walc

1/ por. T. Konwicki, "Sennik współczesny", Warszawa 1963, str. 294.

2/ por. T. Konwicki, "Sennik współczesny", Warszawa 1963, str. 71.

3/ por. T. Konwicki, "Dziura w niebie", Warszawa 1959, str. 322.

4/ por. T. Konwicki, "Z obleżonego miasta", Warszawa 1956, str. 147.

5/ por. T. Konwicki, "Kalendarz i klepsydra", Warszawa 1976.

6/ por. T. Konwicki, "Wniebowstąpienie", Warszawa 1967, str. 225.

7/ ibidem, str. 228. Jest to fragment Księgi Hioba. Konwicki cytuje III, 3-9.

Tekst zamówiony przez wydawnictwo "ALFA" jako wstęp do pierwszej oficjalnej edycji "Małej Apokalipsy" Tadeusza Konwickiego. Wydawnictwo zrezygnowało /przed zasięgnięciem opinii urzędu cenzury/ z publikacji "Wstępu". /red./

JACEK TRZNADEL

TEATR, HONOR I PLAMA

Przybyło nowe, podstawowe źródło do poznawania życia teatralnego w Polsce okupowanej podczas drugiej wojny światowej: to tom rozmów Małogrzaty Szejnert z Bohdanem Korzeniewskim /"Śława i infamia", Wydawnictwo Pokolenie, Warszawa 1988, stron 127/. Nie pierwsza to wypowiedź wybitnego reżysera na ten temat, w roku 1963 ukazał się zeszyt specjalny "Pamiętnika Teatralnego", pod jego także redakcją, poświęcony teatrowi polskiemu pod okupacją, tam też znajduje się redakcyjna rozmowa Bohdana Korzeniewskiego i Zbigniewa Raszewskiego na ten temat. Rozmowy Małogrzaty Szejnert z Bohdanem Korzeniewskim nie ograniczają się do okresu okupacji. Ale tutaj będzie mnie interesował tylko pierwszy, tytułowy rozdział książki, właśnie okupacji poświęcony. Jak wiadomo, okupant niemiecki zakazał w Polsce teatru wysokiego repertuaru /zgodnie z planem eliminacji wysokiej kultury i nauki/, na co środowisko aktorskie zareagowało zrealizowanym częściowo bojkotem wszelkiego życia teatralnego, poza kawiarnią. Bohdan Korzeniewski był jednym z głównych podziemnych animatorów warszawskiego bojkotu, przypomina zdarzenia tamtego

okresu barwnie i z wierną pamięcią.

Książka nasuwa wiele refleksji. Zacznę od pewnego skojarzenia. Sprawa bojkotu przypomniła mi słynną swego czasu nowelę francuskiego pisarza Vercorsa "Milczenie morza" /Le silence de la mer/. Mowa w niej o pewnym zdarzeniu z życia okupowanej Francji. Oficer niemiecki, przebywający na kwaterze w mieszczańskim domu na prowincji, przychodzi codziennie ze swojego pokoju do pokoju właścicieli i usiłuje prowadzić rozmowę z młodą kobietą. Francuzką. Ale odpowiada mu tylko milczenie zamieniające jego słowa w jednostronny monolog. Ta nowela miała być symbolem Francji lepszej, tej która nie poszła na współpracę z hitlerowcami, nie okazała się Francją Pétaine'a i Laval'a, Francją Vichy. Pozostała nietknięta, nieczuła na namowy, jak Dziewica Orleańska, uratowała honor narodowy. Odcięła się od kontaktu z niemiecką ingerencją. To odcięcie oznaczało także: tak jak dziewczyna nad swoją robotką trzeba się zachowywać, tam gdzie można, jakby i c h nie było. Zacząłem myśleć o teatrach. Normalnie biegło życie teatrów, teatrzyków i kabaretów francuskich, i nie przejmowano się tym, że w szatniach widowni rzędami leżały czapki nie tylko żołnierzy Wehrmachtu, ale i formacji SS. We wspomnieniach Andrzeja Bobkowskiego chodzącego z namietnością do teatru w okupowanym paryżu wiele jest zjadliwości wobec licznych aktów kolaboracji, ale nie ma on nic przeciw działającym teatrom, korzysta z nich zachłannie. Można powiedzieć, że tam było wszystko normalnie, kręciło się filmy, grało w teatrze i wysokim, i rozrywkowym. Ale wiadomo, że nie wszystko można było grać i kręcić. Jednak nawet "lepsy" Francuz nie bojkotował tego, co pozostało z normalnego życia. Czy to, co jest tylko fragmentem, jest pozorem całości, czy jej częścią? To zależy.

W Polsce, w kwestii teatru, uważaliśmy, że pozorem. Jak wiadomo zresztą, było tu pod każdym względem inaczej, i od strony niemieckiej, i polskiej. Książka pęka w szwach od relacji zdarzeń i faktów. Na każdej prawie stronie scenka na nowelę, na jakieś polskie "Milczenie morza". Ale raczej książka opowiada nie o spontanicznym "milczeniu", ile o jego wymuszaniu, o walce. Oto mały przykład: "Teatr Polski zmieniony został przez Niemców na Theater der Stadt Warschau. Występy na tej scenie były przez nas szczególnie źle widziane. Ale w gmachu był bazar prowadzony przez byłych aktorów Polskiego. Pracował tam Samborski, pracował Wierciński. Kiedyś odwiedziłem tam Wiercińskiego. Właśnie w tym czasie objął stanowisko nowy niemiecki intendent teatru. Nagle Wierciński zbladł. Wskazuje mi okno. I widzę, jak przed budynkiem wychodzi para. Wysoki dorodny intendent ze swoją grubą niemiecką żoną. Kroczą dumnie pod rękę, a trzy kroki za nimi idzie uśmiechnięty Jerzy Leszczyński prowadząc na smyczy pieska. Zrobiłem to samo, co wtedy, kiedy dowiedziałem się o "Heimkerze". Napisałem list do Leszczyńskiego i przystawiłem pieczęć. Opisałem zdarzenie i pogroziłem w imieniu Polski Podziemnej." /s.19/.

Tak to jest. Można tolerować jałmużnę, ofiarowaną przez niemieckiego okupanta, który pozwala aktorom - byłym gospodarzom teatru - prowadzić w nim bazar, ale nie można już znieść wyprowadzania niemieckiego pieska na spacer. Skaza to tak szalona, że wymaga ingerencji i pieczęci Polski Podziemnej! Takiemu wyostreniu uległo poczucie honoru. Bo nie pamiętam, aby panie łamiące bojkot kolorów w Warszawie po styczniu 1863 roku otrzymywały listy z pieczęcią tajnego Rządu Narodowego... Co najwyżej lud warszawski naderwał zbyt kolorową spódnicę. I tak weszliśmy w sedno

opowiadanych przez Korzeniewskiego spraw i komentarza Małgorzaty Szejnert. Temat to szerszy od problemu niemieckiej okupacji podczas drugiej wojny światowej. Honorowe bojkoty ciągną się bowiem poprzez cały ciąg dziejów Polski zniewolonej, już od końca XVIII wieku, aż po Polskę zniewoloną doby obecnej. Zasluguje na osobną książkę. Bo i poczucie honoru to sprawa zasadnicza. Temat ten tylko fragmentarycznie pojawia się w pracach historyków i w literaturze pięknej. Książka Szejnert i Korzeniewskiego traktuje o faktach, ale i micie bojkotu niepodległościowego i związanego z nim poczucia honoru, tak jak kształtował on różne zachowania na obszarze życia interesującym autorów. Temat ważny i otwarty dla dyskusji, mogę tu do niej dopisać co najwyżej kilka uwag.

Ta sprawa okupacyjna bojkotu teatralnego wydaje się na pierwsze wejście prosta i jednoznacznie określona. Niegodna prywatnie kolaboracji i ci, którzy z nią walczą w imieniu praw i wysiłków przetrwania narodu. Książka podważa przy tym zakorzeniony mit o bohaterstwie narodu polskiego i nieistnieniu kolaboracji w szerszym zakresie, a tutaj, proszę: tak wielu ludzi z określonego środowiska, i to środowiska ważnego w kulturze, nie stosuje się do podziemnych zaleceń. Jeśli jednak dążeniem Bohdana Korzeniewskiego jest demitologizacja naszych pojęć o wyłącznym heroizmie Polaków w czasie okupacji, to nie ulega podważeniu najwyższa norma moralna, jaką grupa ludzi przykładła do pojęcia patriotyzmu i związanego z nim pojęcia honoru. To byli ci, którzy reprezentowali "sławę przeciw infamii". Zaraz jednak powiem, że po pierwszym uczuciu zadowolenia z wymowy faktów przedstawionych w książce - bo jakże tu nie być zadowolonym, że odczarowaniu ulega cikliwy obraz powszechnego heroizmu - zaczęły mnie

ogarniać liczne wątpliwości. Trzeba o nich coś powiedzieć.

Korzeniewski mówi, że na ostrzeżeniu wysłanym do Jerzego Leszczyńskiego "przyłożył pieczęć Polski Podziemnej" /nie było to jedyne ostrzeżenie/. Nie wiemy dokładnie, jaka to była pieczęć /"pieczęć, którą sam zrobiłem", s. 16/ i jakim prawem tej Polski Podziemnej posłużył się autor, wysyłając ostrzeżenie czy "groźbę". Bo przecież, jak wynika z książki, a także innych dostępnych nam źródeł historycznych, uchwałę o niewystępowaniu aktorów polskich w teatrach podjął nie rząd podziemny, czyli delegatura rządu lub któryś z jej organów, lecz zdelegalizowany w wyniku działań okupanta zarząd ZASP. I tutaj pierwsze nasuwające się spostrzeżenie czy podejrzenie: być może to dlatego tak wiele osób nie podporządkowało się uchwale o bojkocie, ponieważ nie uważali tej uchwały za słuszną i ich obowiązującą w okupacyjnych warunkach. Sam Korzeniewski waha się i woli nie używać słowa "kolaboracja" i "zdrada", mówi o braku "elementarnej przyzwoitości" /s.4/. Znajdujemy się więc na płaszczyźnie ważnego, ale semantycznie rozchwianego pojęcia honoru. Jeśli jednak tak, to jak oceniać ostrzeżenia w imieniu Polski Podziemnej, nasuwające zgola inne skojarzenia? I czy wolno z kolei używać słowa "infamia", również dosyć semantycznie rozchwianego, już zresztą w czasu pierwszej Rzeczypospolitej, ale znaczącego w owych czasach także zbrodnią najwyższą: zdradę ojczyzny, crimen laesae maiestatis. Oznaczało to, że kogo sądy skazały na infamię, ten mógł i powinien być, napotkany w granicach Rzeczypospolitej, zostać zabity. Nie ma więc racji Korzeniewski, że "odwołanie się od starych obyczajów Rzeczypospolitej" oznaczało "orzeczenie kary infamii, ogolenia, chłosty" /s.5/. I

dla czego wykroczeniem miało być już nie tylko występowanie w teatrze, lecz nawet spacer z niemieckim pieskiem?

Im szczegółowiej wczytuję się w uwagi Korzeniewskiego, tym więcej budzi się moich wątpliwości. Mówi on, że o karach orzekał Sąd Rzeczypospolitej. Jaki Sąd? O jakich wykroczeniach orzekał? Czy chodzi o organ Delegatury? Wątpię, aby sąd podobny zbierał się i orzekał o przewinieniach tak małych, że podlegały tylko karze "chłosty" lub "ogolenta". A jeśli o tych wykroczeniach decydowała tajna rada ZASP, to na podstawie jakich uprawnień? W tekście nie ma na te pytania jasnej odpowiedzi. Bądź co bądź uchwała ZASP o niewystępowaniu w oficjalnych teatrach, to uchwała środowiskowa, koleżeńska wręcz, a Polska Podziemna to coś więcej. Niepodporządkowanie się uchwałom środowiskowej może spowodować wykluczenie z danego środowiska /nie z zawodu/, a dopiero czyn niegodny obywatela kraju, choćby kraju podziemnego, interesuje podziemne władze. Zachodziła tutaj zresztą ta podstawowa trudność, co jest prawem obowiązującym obywatela polskiego w czasie okupacji? Obok stref oczywistości musiała tutaj istnieć pewna strefa nieoczywistości. Za oczywiście naganne w rozumieniu sądów podziemnych zniewolonej społeczności musiał się wydawać akty oczywistej kolaboracji, a nie "nieprzyzwoitości". Jeśli poszczególni aktorzy polscy wzięli udział w filmie "Heimkehr", stanowiącym propagandowy oręż nazizmu, uzasadniającego swój podbój Polski i tę Polskę i jej obywateli szkalującego, to mamy do czynienia z oczywistym elementem kolaboracji, sprawą dużej wagi. Choć i tutaj o wymierzeniu kary powinien decydować przewód sądowy /odbywały się przecież rozprawy podziemne/ - na przykład aktor mógł nie zdawać sobie sprawy z funkcji

poszczególne ujęcia w całości. Wydaje mi się jednak, że u Korzeniewskiego sprawy oczywistej kolaboracji i tylko "nieprzyzwoitości" - pomimo chęci ich rozłączenia - zachodzą jakby nieraz na siebie. Miesza się więc sprawy zgoła innej rangi. Jak wiadomo, ludzie powinni być równi wobec prawa. Tymczasem znajdujemy u Korzeniewskiego tak zaskakujące i szokujące wyznanie, że karę różnicowano w zależności od talentu i zasług artystycznych /"Infamia wobec osób o zasługach artystycznych, chłosta dla podrzędnych", s. 5/. Ale: czy infamia była gorszą karą, czy chłosta? Dziwi, że także a posteriori Korzeniewski, spełniający wówczas rolę "prokuratora" tajnej rady ZASP, zostawia to bez komentarza. Uderza zapobiegawczy jakby charakter tej kary /bardziej utalentowani groźniejsi?/. Ale kto wymierzy rangę kreacji?

A przecież przewietrzaniem mitów narodowych mogłoby być nie tylko ujawnianie aktów nie-heroicznych czy niehonorowych lub wręcz kolaboracyjnych w środowisku aktorskim w czasie okupacji. Należałoby także mówić o heroizacji przesadnej, czyli sytuacji, w której za akt wymierzony w naród uważało się czyny, o których nie orzekały prawa podziemne delegatury i które naruszały tylko sporne czy niesporne nawet pojęcia przyzwoitości. Naród stoi przede wszystkim posłuszeństwem wobec praw stosujących się do wszystkich i przez ogół przyjętych. Tak więc podstawową troską człowieka honoru powinno być przede wszystkim funkcjonowanie demokracji, zasad demokratycznych. Zrobić ile się da w tym kierunku, nawet w warunkach okupacyjnych.

Pod tym względem historia okupacyjnego bojkotu pozostawia wiele niejasności. Dlaczego odsądzać od czci i wiary aktorów z teatrzyków, a nie robić tego w stosunku do pracowników fabryk służących

niemieckiemu przemysłowi zbrojeniowemu, Baudienstu, czy kolejarzy prowadzących niemieckie transporty wojskowe? Praca taka niewątpliwie pomagała czy sprzyjała zwycięstwu Niemiec hitlerowskich. Polska Podziemna była nastawiona w tych sytuacjach na sabotaż, ale nie karała tych ludzi. Podobnie - z niesmakiem patrzono na wyjeżdżających dobrowolnie na roboty do Niemiec, ale nie groziły za to wyroki sądów. Wydaje się, że sądy Polski Podziemnej wiedziały, kto podlega rzeczywistej karze wobec prawa, a w czasie okupacji kary takie były najsurowsze: wyrok śmierci. Tak zastrzelony został aktor Igo Sym, przedzierzgnięty w Reichsdeutscha i pracownika niemieckiej propagandy. Tak zginęła żona Junoszy - Stępowskiego, narkomanka i rzeczywista agentka Gestapo /przy tej okazji, w tragicznie powikłany sposób zginął Junosza - Stępowski/. A sekretarz Teatru Polskiego Eugeniusz Świerczewski został powieszony za udział w denuncjacji Grota-Roweckiego. Te wyroki śmierci nie zapadły zresztą za pracę w teatrze. Nie wiemy jednak dokładnie, kto karał za pracę w teatrze, skoro jak mówi Korzeniewski: "ani ZASP, ani Tajna Rada Teatralna nikogo nie karały. Karał niezmiernie szacowny, tajny Sąd Rzeczypospolitej...". I to ten właśnie sąd /czy podlegał Delegaturze?/ zbierał się, aby wymierzać kary jedynie moralne /bo i infamia, i chłosta, i ogolenie, to przecież były kary moralne/? Mam podejrzenie, że Małgorzata Szejnert nie potrafiła tu wprowadzić należytej jasności i niezbędnych szczegółów w tekst książki.

Z dzisiejszej perspektywy nie przekonuje mnie argument Korzeniewskiego za bojkotem i karami, uważany przez niego za "najważniejszy". Że teatrzyki - przy braku teatru "wysokiego" - dowodziły także, również dla dziennikarzy z Zachodu, że

Polska nie ma kultury /"dziki naród", s.5/. Po pierwsze, byli to zapewne kolaboracyjni dziennikarze, po drugie, Zachód wiedział już coś niecoś o Polsce przed wojną. Jak widać, Korzeniewski i dzisiaj odrzuca argumentację Stefana Jaracza, który - choć ciężko chory - żywo interesował się po wojnie sprawami weryfikacji aktorów. W kwietniu 1945 roku złożył w tej sprawie memoriał, z którego warto przytoczyć kilka zdań: "Przypuszczam, że wielu nie umiało sobie jasno wytłumaczyć, dlaczego wolno występować w kawiarni, a nie wolno na scenie. Robiono więc zarzuty, że w myśl wskazań propagandy niemieckiej kierownicy są zobowiązani dbać o umyślnie obniżenie poziomu artystycznego. Zarzuty te wydają mi się bezpodstawne. Rewiowe teatrzyki nie różniły się od Włastowskich, a teatr Komedia stał na poziomie dawnego teatru Letniego. Nikt nie może przyznać, że był to poziom wysoki, ale taki poziom widywało się w Polsce przedwojennej i nikt się nim specjalnie nie gorszył" /.../ "niejednokrotnie przychodziło mi na myśl, czy nie lepiej patrzeć przez palce na pracę aktorów w teatrze, w którym nie dzieje się przecież nic takiego, co by obrażało uczucia narodowe, a ostatecznie utrzymuje się sprawność aktorską w jakiejś takiej formie. I daje się możliwość przeżycia w najcięższych nieraz warunkach materialnych, niż uważać owych aktorów-knajpiarzy, kawiarzy, kelnerów, handlarzy, często dzięki stosunkom z Niemcami świetnie prosperujących, za reprezentantów bohaterskiej postawy życiowej" /"Pamiętnik Teatralny" 1963, z.1-4/.

Uwagi Jaracza godziły także w tużpowojenną praktykę sądów weryfikacyjnych ZASP, przeciw niej były wymierzone i - jak przyznaje Korzeniewski - praktykę tę złagodziły. Jaraczowi chodziło jednak nie tyle o łagodność, ile o zasadę: "O ile fakt udziału aktorów w filmie niemieckim

zohydzającym Polskę posiada cechy przestępstwa narodowego, o tyle praca aktorów w teatrach, w których repertuar nie posiadał cech obrażających godność narodową, tej kategorii nie podlega. Pozostaje więc kwestia wykroczenia przeciw uchwale związkowej, ale takie wykroczenie nie może doprowadzić do pozbawienia kogoś możliwości pracy na całe życie" /tamże/. Czy jednak aktorzy nie zweryfikowani przez ZASP nie mogli grać dalej nie będąc członkami ZASP? Tutaj trzeba znów powiedzieć parę słów o demokracji. Korzeniewski przyznaje, że już w okresie dwudziestolecia ZASP zdobył i zmonopolizował, nieprawnie zresztą, prawo do wyłączności wykonywania zawodu aktora tylko dla swoich członków: "ZASP naruszał w ten sposób konstytucyjne prawo do swobody zrzeszania się i wyboru pracy. Taki był mocny!" /s.2/. Ten "totalizm" ZASP, jakby autorowi nie przeszkadza, traktuje to chyba z aplauzem.

Ten "totalizm" ZASP był jednak chyba na rękę okupacyjnemu reżymowi komunistycznemu, który nastał po 1945 roku. Pomagał bowiem akcentować okupacyjne problemy hitleryzmu i przesłaniać problemy sowieckiej okupacji ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Korzeniewski wspomina zresztą, jak łatwo wywikływali się z zarzutów ludzie współpracujący z Niemcami, jeśli włączali się od razu w propagandę komunistyczną. Wiąże się z tym bardzo ściśle sprawa aktorów występujących w teatrach pod okupacją sowiecką, w Grodnie, Białymstoku, Wilnie i Lwowie. Nie podlegali oni po wojnie żadnym weryfikacjom ZASP z tego powodu, było im to raczej powodem do chwały. Na tę niekonsekwencję zwracał uwagę Jaracz w wyraźnej aluzji swojego memoriału: "Wydane wyroki skazują kolegów na ciężkie kary za branie udziału w przedstawieniach teatrów funkcjonujących na terenie okupacji niemieckiej. Postawa aktorów na innym

terenie lub w innych okolicznościach nie jest przedmiotem osądu. Dlaczego? Nie wiem. Jest to już tajemnicą Komisji" /tamże/. W "Sławie i infamii" Korzeniewski nie wycofał się w zasadzie z sądu wyrażonego w rozmowie z Raszewskim w roku 1962, kiedy utrzymywał, że: "Już wtedy /tzn. w czasie okupacji - J.T./ wiedzieliśmy, że są to dobre teatry, a postawę tamtejszych aktorów uznaliśmy za słuszną. /.../ teatru polskiego na Wschodzie nie wolno kojarzyć z prymitywnym instrumentem propagandy faszystowskiej" /"Pamiętnik Teatralny", 1963/. Wobec zastrzeżeń Małgorzaty Szejnert przyznał jednak, że "wątpliwości rosną" i że "straszenie to powikłane" /s. 33/. Mocno to niewystarczające. Jeśli by przyjąć argument Korzeniewskiego o jakichś dziennikarzach przyjeżdżających tym razem do Lwowa pod okupacją sowiecką, to oczywiście po obejrzeniu sztuki "wysokiego repertuaru" nie przyznaliby wprawdzie, że Polacy to naród dziki, ale mogłoby to być dla nich argumentem, że życie toczy się "normalnie", podczas gdy elitę tego narodu mordowano, więziono i wysyłało do obozów. I nie tylko elitę.

Ja jednak wolałbym nie oskarżać aktorów za występowanie w "podrzednych" teatrzykach warszawskich, uznałbym też występowanie aktorów w "wysokim" repertuarze, pod okupacją sowiecką, za rzecz normalną. Rzecz jednak w tym, że ci aktorzy, np. lwowscy, grali nie tylko sztuki polskiego "wysokiego repertuaru", ale także sowieckie czy prorewolucyjne propagandówki. W jednej ze sztuk o sowieckim życiu na lwowskiej scenie, jak to można przeczytać w innych źródłach, pojawia się nawet Stalin. Ta propaganda godziła w żywotne interesy narodu polskiego, to samo byłoby mniej więcej, gdyby na scenie warszawskiej aktorzy zagrali pochwalną sztukę o... Hitlerze. Dlaczego jednym sława a drugim

infamia? Dotyczy to w równej mierze wystawionej we Lwowie sztuki Wandy Wasilewskiej, "socrealistycznej", jak przyznaje Korzeniewski. Nie ferujemy wyroków, ale naprawdę granie w warszawskim okupacyjnym "Niebieskim motyłu" uważam za mniejszą plamę na honorze, niż wystawienie sztuki o Stalinie we Lwowie. Było to w czasach, gdy po parodii głosowania przyłączającego Lwów do Związku Sowieckiego i po parodii wyborów do Rady Najwyższej ZSRR, Boy-Żeleński atakował w "Czerwonym Sztandarze" wybory w Polsce sanacyjnej... Ale to nie zdejmuje plamy z aktorów, jak pozostaje ona na Boyu.

Lwów to już prawie przedsmak Polski powojennej. Tej samej okupacji, choć już pod szyldem narodowej władzy komunistycznej i w warunkach formalnej, "geopolitycznej" niezawisłości. I jasne, że byłoby absurdem bojkotowanie teatru ze względu na nową okupację. Im normalniejsze życie kultury, tym lepiej. Ale czy to znaczy, że można nie uważać za plamę na honorze granie w tym okresie powojennym, aż po dzień dzisiejszy, propagandówek wychwalających rewolucję sowiecką, Stalina, ukazujących nową okupację Polski, jako sprawiedliwy, socjalistyczny ład? Te problemy dotarły, jak się zdaje w pełni do środowiska teatralnego po grudniu 1981 roku, kiedy środowisko aktorskie zastosowało bojkot wobec polskiej rządowej telewizji stanu wojennego. Na tej scenie, zniesławionej propagandą stanu wojennego, nie chcieli występować aktorzy nawet w "wysokim", klasycznym repertuarze. Ten bojkot przejdzie do historii polskich bojkotów, tak jak przeszła do niej walka kobiet o czerń w czasie powstania styczniowego. Ten ostatni bojkot aktorski oceniam jako sprawę honorową, przyjąłem go z aplauzem, choć nie poddawałbym żadnej weryfikacji tych, co do bojkotu nie przystąpili, choć postępowanie

ich było mi niemiłe. Inaczej jednak osądzam propagandystów władzy komunistycznej i ludzi kultury wychwalających stan wojenny. Oni zniesławili się wobec narodu.

Wróćmy do "Sławy i infamii" Małgorzaty Szejnert i Bohdana Korzeniewskiego. Jeśli wyciągnąć z niej właściwe wnioski, zdaje się ona stanowić ostrzeżenie przed sztuczną heroizacją gestu walki o narodowe przetrwanie, takim zadęciem się, które nie pozwala ludziom normalnie żyć, widząc w samej normalności coś nagannego. To ostrzeżenie także przed narzucaniem uzurpowanej heroizacji przez jakąkolwiek elitę. Historia uczy nas bowiem wyraźnie, że za podobny, najczęściej próżny i niepotrzebny wysiłek, przychodzi potem płacić znieczuleniem w momentach, gdy rzeczywiście zachodzi potrzeba choćby cywilnego tylko heroizmu. Uleganie przez teatr polski presji komunistycznej propagandy w okresie powojennym - nie będę tu wskazywał palcem i podawał przykładów, gdyż nie należy to już do tego tematu - jest tego najlepszym dowodem.

Jacek Trznadel

DROGI I BEZDROŻA REFORMY

Interesujący referat prof. Pajestki stanowi zapewne najpełniejszy z prezentowanych dotąd przegląd dylematów towarzyszących wielokrotnym już przecież próbom reformowania gospodarki socjalistycznej. Ale mimo to pomija on, a w każdym razie w sposób niedostateczny eksponuje fakt, który wydaje się najbardziej znamienny dla dotychczasowych niepowodzeń tych poczynąń, nie tylko w Polsce zresztą. Warto więc na wstępie zwrócić uwagę na istotną okoliczność: mianowicie na to, iż owe próby trwają już znacznie dłużej niż "życie" systemu, jaki mają zreformować. Ograniczając się do Polski można początek reform datować umownie na 1956 rok. Oznacza to, iż reformy obejmują okres 32-letni, podczas gdy system trwa ledwie 40 lat, jeśli jego rzeczywisty początek datować na 1948 rok.

Droga donikąd

W istocie podobny rachunek da się przeprowadzić dla ojczyzny systemu, a jego wynik - jeśli z historii gospodarki radzieckiej odjąć czas komunizmu wojennego, NEP-u, wojny, reform Chruszczowa i pomniejszych - będzie zbliżony. Otóż z tego punktu widzenia najistotniejsze pytanie sprowadza się nie do analizy licznych zmian cząstkowych, jakie w ciągu minionego czasu usiłowano wprowadzić do systemu, ale próby wyjaśnienia dlaczego wszystkie one zakończyły się niepowodzeniem. Zwykle na tak postawione pytanie odpowiedź jest mglista. Jako powody podaje się np. błędne założenia reform, opór starej struktury, interesy różnych grup nacisku, aparatu władzy itp. Zapewne są to po części motywy

prawdziwe, ale nie sądzę by wyjaśniały one istotę rzeczy. Co więcej: sądzę, iż bez próby rozpoznania rozdroży, na jakich następuje wybór fałszywego kierunku reform, nigdy nie dojdziemy do celu.

To rozdroże ma dwa podstawowe drogowskazy. Na jednym widnieje strzałka z napisem: reforma, na drugim: zmiana. Jak dotąd wybierano właśnie ten pierwszy kierunek, uznając drugi za bezowocny, bowiem kwestionujący dogmaty. A że wyboru drogi dokonywali jak dotąd zawsze ci sami, którzy ustanawiali te dogmaty, a w każdym razie je utrwalali, czy tylko przedłużali ich ważność, więc nie dziwnego, iż taką drogę wybierać musieli. W rezultacie jednak nigdy nie mogli wyjść z błędnego koła, w obrębie którego się poruszali, bowiem obrana droga prowadziła zawsze do punktu wyjścia, choć czasem rzeczywiście usiłowano znaleźć nieco inne ścieżki dojścia doń.

Na czym bowiem polegała /i/ polega nadal/ metoda reformowania gospodarki socjalistycznej? Na próbach wmontowywania do mechanizmu stworzonego przed laty elementów z uzupełnieniem innego systemu. Warunek był zawsze ten sam: reforma nie może naruszyć podstaw starej konstrukcji. W rezultacie jednak system reagował tak, jak reagować musiał. Odrzucał przeszczepy jako całkowicie niefunkcjonalne dla jego istoty. Wszystkie inne przyczyny, jak właśnie opory polityczne czy społeczne tych grup, dla których reformy oznaczały zagrożenie interesów, bądź błędne założenia wdrażanych modyfikacji systemowych, jedynie przyśpieszały odrzucanie przeszczepów, ale nie stanowiły czynnika sprawczego takiej reakcji.

Powtarzam: istota niepowodzeń zabiegów reformatorskich wynika z obrania fałszywego punktu wyjścia. Ow fałsz założeń ujawnia nawet słownictwo, jakim się oficjalnie nadal posługujemy: właśnie reforma, odnowa.

plan konsolidacji i podobne. Odnowiać można historyczny monument, jeśli oczywiście osoba lub idea, jaką on reprezentuje, warta jest takiego zabiegu. Nie da się tego powiedzieć o systemie gospodarki zwanej socjalistyczną. On wymaga zmiany, nie reformy, a tym bardziej konsolidacji. Powiada się często, że reforma ma nas doprowadzić do gospodarki rynkowej ale jednocześnie jakby zapomina się, iż system, jaki niby chce się reformować, powstał jako całkowite zaprzeczenie takiej gospodarki, jako jej antyteza!

Stwierdzenie, że "król jest nagi" stanowi więc punkt wyjścia dla realnego dyskusowania o uwarunkowaniach sensownych zmian systemowych. Oznaczać to musi stwierdzenie, że eksperyment nazwany gospodarką socjalistyczną okazał się nieudany. Nie jest to oskarżenie, tylko stwierdzenie faktu: w gronie ludzi nauki nie trzeba uzasadniać praw do eksperymentu, nawet jeśli jego wynik jest inny niż oczekiwano. Można wyrazić żal, iż pole eksperymentu było zbyt rozległe i że odbywał się ona na ludziach, a nie zwierzętach, ale to już inna sfera dociekań. Póki tego, co wyżej, nie powie się publicznie, póty obracać się będziemy w obszarze mitów i półśrodków i w rezultacie utrzymywać, nawet pogłębiać dramat gospodarki. Pogłębia go bowiem owa sprzeczność między dwoma punktami widzenia, dwoma punktami wyjścia w kierunku pożądanym, które symbolizują słowa: reforma i zmiana.

Jest to nasz wspólny dramat, dramat niszczący obie strony umownej barykady. Niestety, ciągle jesteśmy nań skazywani mimo licznych pozornych zmian, jakie - tego nie da się zaprzeczyć - obserwujemy. Ciąg niekorzystnych zjawisk mogą przerwać tylko nowe okoliczności umożliwiające zmianę zaczarowanego języka jakim posługuje się

zarówno większość profesjonalnych ekonomistów jak i reprezentatów ekipy rządowej, w których rękach znajduje się klucz do oczekiwanych zmian, i którym wydaje się, że naprawdę chcą reform /a często rzeczywiście chcą/, no i "konsumenci" ich propozycji, to znaczy społeczeństwo. Przez zmianę języka rozumiem po prostu nazywanie rzeczy po imieniu.

Łyk optymizmu: wiele wskazuje, że takie okoliczności mogą się pojawić, a w każdym razie oczekiwany język przenika - powoli, ale systematycznie - do różnych sal dyskusyjnych, słychać go w czasie niektórych zebrań, choć jeszcze nie zdołał przełamać cenzorskich barier i przedostać się do oficjalnej publicystyki. Stąd też trudno mówić o odejściu od doktrynalnych stereotypów, które stwarzają nieprzekraczalną granicę dla zmian systemowych.

Zanim jednak przypomnę, chciałbym na jednym choćby przykładzie wskazać, jak ewidentna jest droga donikąd po jakiej nadal kroczy gospodarka. I jak silnie jest ona właśnie zniewolona doktrynalnymi uwarunkowaniami. Otóż niemal każde dziecko obudzone z głębokiego snu na pytanie o istotę "socjalistycznych reform" odpowie, że polegają one na stałym zwiększaniu uprawnień i stopnia samodzielnych decyzji podejmowanych przez przedsiębiorstwa. Każdy propagandzista rządowy też tę odpowiedź zna, więc ma na podorędziu liczne przykłady wzrostu owej samodzielności. I są to przykłady na ogół prawdziwe. W powodzi takich przykładów przemilcza jednak najczęściej, że kwestie najważniejsze znajdują się nadal poza zasięgiem decyzyjnym pozornie samodzielnych przedsiębiorstw.

Jakie? Oczywiście profil produkcji i dyspozycja majątkiem - te sprawy leżą w gestii organu założycielskiego i są

zapisana w akcie erekcyjnym każdego przedsiębiorstwa. Może ono rzecz jasna wystąpić do organu założycielskiego o zmianę tego zapisu i prosić o to, ale tylko prosić. Cóż to znaczy jednak w praktyce? Otóż tyle, że niby samodzielne przedsiębiorstwo - mimo, że działa ponoć w "drugim etapie" - nie może elastycznie dostosowywać się do zmiennych warunków rynku zewnętrznego i wewnętrznego i to także wówczas, gdy dobrze wie co robić powinno. Nie może tego uczynić, bowiem to właśnie oznacza konieczność zmiany profilu produkcji, zbycie części majątku niepotrzebnego dla nowej wytwórczości, oraz kupno w zamian innego.

Idźmy dalej tym tropem. Wskazuje on, że np. restrukturyzacja gospodarki, co oznacza przecież - o tym też wie już, dziecko nawet - klucz do przełamania kryzysu, nadal znajduje się w rękach administracji gospodarczej i centrum planistycznego. W tych warunkach mówienie o zbawczym wpływie inicjatyw gospodarczych, czy działaniach przedsiębiorczych, staje się fikcją. Tym bardziej, że centrum zachowało w swych rękach kilka innych strategicznych decyzji, jak choćby rozdzielnictwo podstawowych materiałów.

Jak widać, ten pozornie poboczny trop prowadzi do potwierdzenia tezy, że dotychczasowe reformy nie naruszyły struktury systemu i to mimo, iż pozornie poszły dość daleko. Jak można sądzić, owa widoczna niekonsekwencja reform wynika z faktu, iż władze zdając sobie całkowicie sprawę z niesprawności systemu i konieczności jego zmiany, jednocześnie nie potrafią sobie wyobrazić jak w innych warunkach można tę władzę sprawować? Póki wszystko jest "własne", póty wydaje się im, że one rządzą. Inaczej mówiąc, władze nadal intelektualnie nie dojrzały do zrozumienia na czym w istocie rzeczy powinny polegać

zmiany, jakie - także w ich rozumieniu -
nastąpić muszą.

W niewoli stereotypów

W ten sposób wracamy do stereotypów
stwarzających ciągle nieprzekraczalną
granice reform. Spróbujmy przynajmniej
skatalogować podstawowe grupy tych
systemowych barier tamujących myślenie o
zmianach.

Zacząć trzeba od przypomnienia, że
żyjemy w całkowicie wymyślonym systemie
gospodarczym. Jeśli ktoś woli określenie
delikatniejsze, to można napisać, że
całkowicie zaprojektowanym. Historia
gospodarczą świata nie zna, jeśli odrzucić
sześć dni boskiego wysiłku, podobnego
przypadku: wszystkie inne formacje
społeczno-gospodarcze rozwijały się w
sposób ewolucyjny, kształtując narzędzia
sterowania i regulacji w sposób naturalny,
zgodny z rytmem rozwoju.

Rewolucja październikowa otworzyła
rzeczywiście zupełnie nowy rozdział
historii gospodarczej. Nie Marks czy Engels
- raczej Lenin, a właściwie Stalin, jeśli
już posługiwać się symbolicznymi
nazwiskami, ten rozdział pisali.

Na czym - w największym skrócie
oczywiście - polegać miał system gospodarki
socjalistycznej? Miał to być system
stanowiący zaprzeczenie tego kapitalizmu,
jaki był wówczas znany, a więc kapitalizmu
z końca XIX czy początku XX wieku, z
wszelkimi podręcznikowymi jego cechami:
marnotrawstwem, nadprodukcją, wyzyskiem
itp. Tamten obraz dawno przestał już
istnieć, jego resztki znaleźć można
oczywiście na peryferiach rozwiniętego
świata /niezależnie od tego jak te pe-
ryferie są rozległe/ a w klasycznej formie
na kartkach wielkiej literatury. Ale mimo
tego socjalistyczne /i - niestety - nasze
także/ myślenie stale operuje zbitką czy
przeciwstawieniem: socjalizm-kapitalizm.

To dziś już nic, a w każdym razie bardzo niewiele, znaczy!

Wróćmy jednak do założeń. Twórcy socjalizmu zwanego dziś realnym wyimaginowali sobie, że można wymyślić mechanizm skutecznie zastępujący - w ich przekonaniu złe zarówno ze społecznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia - regulatory życia gospodarczego, jakie identyfikowano z kapitalizmem, choć w istocie ich rodowód jest bez porównania starszy: pieniądź, rynek, kapitał, własność i wszystkie pochodne tych pojęć. To prawda, że formacja zwana przez marksistów kapitalizmem owe regulatory życia gospodarczego znakomicie rozwinęła, ale przecież pojawiły się one znacznie wcześniej, wraz z pieniądzem, a więc znane już były Fenicjanom. Są to bowiem "wymysły" gospodarki towarowo-pieniężnej a nie kapitalizmu, któremu walkę wydał socjalizm.

Jak go chciał pokonać? Lenin twierdził, że wyższą wydajnością, ale dziś mało kto już się powołuje na te słowa. Przy okazji zapomina się jednak, iż źródłem owej wyższej wydajności systemu miała być nie tylko inna relacja do własności środków produkcji, czyli inna - jak byśmy współcześnie to określili - motywacja pracy, ale przede wszystkim wyższa efektywność ogólna, jaką miała zapewnić planowość gospodarki. Plan a i to najbardziej dyrektywny plan - miał stanowić jądro nowego systemu.

Najbardziej schematycznie rzecz ujmując ten plan miał z jednej strony bilansować wszystkie społeczne potrzeby, a z drugiej ustalać sposób ich zaspokojenia przez ilościowe zadania produkcyjne i rozdzielnik wytworzonych dóbr. Optymalizacja gospodarki miała więc następować przez plan, wszechogarniający plan centralnie ustalany. Ale skoro tak, to zbędne stało się całe instrumentarium ekonomiczne stworzone przez

gospodarkę towarowo-pieniężną
Przypuszczenie, iż ignorowanie np. prawa wartości, rynku i jego wymogów, wreszcie spodlenie pieniądza itp., to błędy systemu, jest oczywistym nieporozumieniem. System świadomie wyrzucił te narzędzia za burtę jako całkowicie mu niepotrzebne.

Można i trzeba w tym miejscu zapytać, czy niepowodzenie tej skądinąd frapującej intelektualnie koncepcji wynika z wad tkwiących w założeniu, czy może tylko ułomność narzędzi jakimi dysponował - i dysponuje nadal - centralny planista sprawia, że model funkcjonuje fatalnie? Jest to centralne pytanie reformy, które oficjalnie nadal nie zostało postawione, choć od odpowiedzi na nie zależy wszystko! Póki co jesteśmy więźniami stereotypu "dobrego systemu" i złej jedynie jego realizacji, skazani na "dalsze doskonalenie" wymyślonego modelu, choć cel powinien być przecież zupełnie inny!
W niewoli zasad

Powtórzmy: to kluczowe pytanie nie zostało dotąd oficjalnie postawione. Tego pytania nie zadała po Sierpniu także Solidarność, zdając sobie zapewne sprawę z programowych konsekwencji wynikających z odpowiedzi, a także nie mając wówczas, prawdę powiedziawszy, żadnej koncepcji pozytywnej. Ale właśnie dlatego złudzeniem od początku było oczekiwanie na reformę prawdziwą. System jest bowiem rzeczywiście niereformowalny, lub - mówiąc ściślej - jego autentyczna reforma musi prowadzić do zakwestionowania przynajmniej części jego doktryny.

Tym bardziej, że gospodarka planowana centralnie idealnie służy monopolowi partii, grupy czy jednostki. Jeśli bowiem plan ma zapewniać optymalizację /w tym miejscu nieważne czy rzeczywiście temu służy/ to jej warunkiem jest arbitralne określenie celów społecznych przez centrum.

Proszę zwrócić uwagę jaką karierę, nie tylko u nas, zrobiło określenie "interes ogólnospołeczny" i pochodny od niego system norm, normatywów, limitów i szczegółowych przepisów służących ujednoliceniu ludzkich zachowań. Mamy tu do czynienia z niezwykle ważnym sprzężeniem konieczności i zamysłu. Plan, by skutecznie regulować procesy gospodarcze musi uwzględniać nieobliczalną ilość zmiennych - zmienną w tym przypadku jest zachowanie się milionów ludzi w tysiącach życiowych sytuacjach: produkcyjnych, konsumpcyjnych, obyczajowych, cywilizacyjnych, kulturowych itd. Musi więc dążyć do minimalizacji wzorców takich zachowań, a więc do maksymalnego ujednolicenia ludzkich wyobrażeń o życiu i szczęściu. Z punktu widzenia wszechogarniającego planu ideałem byłoby, by każdy miał takie samo mieszkanie, identyczne jego wyposażenie, by chodził w typowym ubraniu - tę wyliczankę można prowadzić bez końca.

Krótko mówiąc, zaprojektowany system gospodarczy znakomicie wespółgra z jego nadbudową polityczną, trudno nawet precyzyjnie określić co z czego wynika. Dotyczy to np. również fundamentalnego założenia systemu, jakim jest teza o wyższości własności państwowej, którą dla lepszego brzmienia nazywa się ogólnospołeczną czy ogólnonarodową, nad wszelką inną, w tym także spółdzielczą czy grupową. Nobla przyznać temu, kto logicznie udowodni tę przewagę! Poza jednym wyjątkiem: mianowicie umożliwia ona najlepiej rozerwanie związku między celem i kosztem jego osiągnięcia na rzecz priorytetu celu, który osiąga się za każdą cenę. Tyle, że ten cel najczęściej ma charakter polityczny, a w każdym razie wynika często z doktryny, a nie z przesłanek ekonomicznych.

Inaczej mówiąc nasz typ upaństwowienia zapewnia całkowitą władzę nad gospodarką. Nie sposób sobie nawet wyobrazić tylu głupstw gospodarczych, podjęcia tylu decyzji nieracjonalnych, marnotrawnych, czy tylko nieefektywnych w przypadku innej struktury własności. W chwilach słabości określa się te decyzje mianem woluntaryzmu.

Cóż to jednak jest ten woluntaryzm? Nieoceniony Kopaliński w "Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych" wyjaśnia, że jest to kierunek filozoficzny uważający wolę za główny czynnik poznania, a nawet za istotę bytu. Socjalistyczne plany są więc w swej istocie woluntarystyczne, bowiem stanowią wyraz woli centrum materializacji własnej wizji kraju, życia, ludzkich potrzeb.

Pomijam już kwestię funkcjonowania nomenklatury, rozdziału dóbr i przywilejów itp. w przypadku innych form własności i zarządu nad nią, chcę jedynie wskazać na skutki zależności ekonomii i polityki i stwierdzić, że zerwanie tej zależności podważa system. Wówczas przecież nawet społeczna, czy w istocie polityczna hierarchia zawodów sytuująca górników i hutników na szczycie piramidy uległaby w innej sytuacji rozbić.

Jak zresztą silne są te więzi, dowodzą perypetie samorządu. On również obrócił mitami utrudniającymi zrozumienie istoty walki jaka się toczy wokół niego. Niektórzy uwierzyli nawet, że samorząd to najdoskonalsza forma kierowania przedsiębiorstwami i z wyraźną niechęcią odrzucają donosy świadomie eksponujące niską sprawność samorządowego kierowania i podsycające konflikty na linii dyrekcja-samorząd. Tymczasem w modelu samorządowym chodzi o coś zupełnie innego, w każdym razie w najmniejszym stopniu o sprawność menadżerską. Po prostu trzeba znaleźć kuchenne drzwi prowadzące od

"najwyższej" formy własności państwowej do... No właśnie: dokąd? Niektórzy faryzeuszowsko odpowiadają, że do prawdziwego społecznienia. Brzmi to ładnie, ale znaczy niewiele. W każdym razie jest sporo innych możliwości rozwiązań, tyle, że aby je znaleźć trzeba najpierw wyraźnie powiedzieć czego się szuka i co to znaczy społecznienie? I czy społecznienie jest warunkiem sprawiedliwości? Może w ogóle należy mniej się zajmować kwestią tworzenia dóbr - to zostawiając tym, którzy produkują najefektywniej, a uwagę skupiać na sprawiedliwym podziale?

Jak na razie samorządowe zagrożenie najlepiej rozpoznała administracja, dla niej bowiem mniej ważna jest efektywność, bardziej możliwość utrzymania jej atrybutów w postaci nomenklatury i narzucania celów ustalonych przez plan, więc szybko zbliżyliśmy się do znanej formuły KSR. Bowiem w gospodarce na straży interesu zwanego ogólnospołecznym, arbitralnie, żeby nie powiedzieć woluntarystycznie, ustalanego przez centrum, musi ktoś stać. Aby ta straż była skuteczna, własność musi być "własna".

W niewoli struktury

Inny aspekt doktrynalnych uwarunkowań reformy stanowią struktury gospodarki. Znow totalnym nieporozumieniem jest przypuszczenie, że tak powszechnie krytykowana hierarchiczność i branżowa czystość życia ekonomicznego jest wynikiem błędu. Tymczasem to nie błąd, a po prostu logiczna konsekwencja systemu. Jak pisałem, plan najpierw musi sobie poradzić z ludzką indywidualnością, zmuszając nas do możliwie schematycznych zachowań, co jest oczywiście warunkiem koniecznym, tyle że niewystarczającym. Im jednak prymitywniejsze były narzędzia, jakimi mógł się posługiwać centralny planista, jeśli

chciał opanować żywioł gospodarczy, tym bardziej naturalne okazywały się jego dążenia do minimalizacji podmiotów, jakimi zarządza za pośrednictwem planu. Jego marzeniem stał się schemat organizacji zapewniający najpłynniejszą drogę przekazywania nakazów planu i systemu kontroli ich wykonania. Nie jest więc przypadkiem, że socjalizm nie kocha małych, ani to, że cała gospodarka jest zorganizowana jednolicie, a organizacja ta przypomina strukturę wojskową. Tysiąc profesorów o naukowej organizacji mogło udowadniać, że sposób kierowania powinien zależeć od branży, że czasem zasadne są powiązania pionowe, a czasem poziome itd. - nic z tego. Zawsze na górze musiał być resort, po drodze zjednoczenie, dalej kombinat i na końcu przedsiębiorstwo; tak samo musiało być w hutnictwie i w drobnej wytwórczości, czy spółdzielczości, niezależnie od oczywistej specyfiki tych dziedzin. Te dwie ostatnie musiały zresztą polec, bo utrudniały jednolitą zależność i branżową czystość. Proszę zwrócić uwagę, że nawet organizacjom spółdzielczym socjalizm narzucił terytorialną i branżową jednolitość - "Społem" mogła działać tylko w miastach, "Samopomoc Chłopska" na wsi, choć między małym miasteczkiem a gminną wsią nie ma różnicy w sensie konsumpcyjnym. Ale w planie jest podział na ludność wiejską i miejską, więc bilansowanie wymaga przestrzennej czystości.

Ditto, monopolizacja, która nawet w skrajnym stadium kapitalizmu nie zaszła tak daleko jak w socjaliźmie. Znowu nie jest to błąd, ale konsekwencja systemu. Warunkiem względnej sterowalności gospodarką w tym wymyślonym modelu było to, by jeden producent wytwarzał jeden typ wyrobu. Podobnie trwałe są skutki doktrynalnego założenia o przewadze produkcji środków produkcji nad środkami

konsumpcji - niby na ten temat powiedziano już wszystko, ale wystarczy analiza listy 500 największych przedsiębiorstw czy systemu dotacji lub ulg podatkowych, by uświadomić sobie jak stabilne są strukturalne elementy systemu gospodarki socjalistycznej.

Centrum ubezwłasnowolnia gospodarkę właśnie przez ukształtowanie jej struktury. Proszę zwrócić uwagę, że proces reform systemu, czy może raczej próby jego reform, trwają już niemal tak długo, jak istnieje system. Reformatorom wydawało się, że wystarczy wymusić pewne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw, by niejako automatycznie poruszyć podstawy scentralizowanego systemu. Rozmawiano pozornie słusznie, że przecież suma decyzji, jakie podejmuje się w gospodarce jest zawsze ta sama, więc zwiększenie pola samodzielności na dole musi spowodować jego ograniczenie na górze. Realizacja tego założenia okazała się jednak trudna. Centrum decydując się na reformę dość szybko zrozumiało, że zbyt głębokie zmiany mogą skuteczniej niż społeczne wybuchy podważyć jego istnienie. Stąd tak szybko wycofano się z prób reformy centralnych szczebli zarządzania gospodarką i wyraźnie zastopowano podejmowaną początkowo dobrowolność tworzenia struktur jej organizacji. Przeciwnie, nawet w latach 1983-86 stale wzmacniano zarówno ministerialne jak i pośrednie szczeble zarządu przez zwiększenie ich uprawnień w dziedzinie rozdzielnictwa oraz podnosząc ich wagę w różnych negocjacjach o dotacje, ulgi, przydziały i udziały w beneficjach dzielonych przez centrum. Czy, i na ile to się teraz uda - zobaczymy.

W każdym razie nadal jesteśmy w sytuacji najtrudniejszej. Skoro bowiem nie zakwestionowano doktryny, to reformatorzy

muszą udawać, że najwyższym szczęściem dla gospodarki jest totalna niezależność przedsiębiorstw i bronić je przed jakąkolwiek strukturą. Są oczywiście śmieszni, można ich pomawiać o cofanie się do początków ubiegłego wieku, wyśmiewać, że nigdzie na świecie nie ma całkowicie samodzielnych przedsiębiorstw itd. A jeśli próbują argumentować, że nie chodzi o związki strukturalne w ogóle, ale o administracyjną podległość, wówczas powiada się, że to demontaż państwa, anarchoindykalizm i Bóg wie co jeszcze. Wtedy udają, że nie, że wiernie stoją na straży socjalizmu, tyle że chcą, by był on lepszy, sprawniejszy. Wówczas jednak dyskusja schodzi na boczny tor.

Drogi wyzwolenia

Na tym polega też dramat naszych reformatorów, że udają oni - a może tak myślą naprawdę - że stoją twardo na gruncie gospodarki realnego socjalizmu, tyle, że wyobrażają sobie, iż może on być inny niż jest. W rezultacie operują systemem pojęć tworzonych przez projektantów systemu, mimo iż one niczego nie wyrażają, niczego nie tłumaczą, przeciwnie nawet, deformują rzeczywistość, a nawet świadomie ją kamuflują. Nie można więc naprawdę niczego zreformować, jeśli najpierw nie zdefiniuje się tego, co zmienić się pragnie, później nie powie wyraźnie na czym polegają błędy, które chce się wyeliminować, a wreszcie nie ustali precyzyjnie, o co w reformie chodzi rzeczywiście, a nie pozornie.

Jest to elementarz. Sztuczność oficjalnego życia publicznego sprawia jednak, że o nim się zapomina, albo udaje się, że wszystkim jest on znany i nie trzeba porozumieć się, co do jego znaczeniowych symboli. Póki tak jest, póty dyskusje naszych reformatorów przypominają rozmowę dziada z obrazem. Z tym jednak, że i dziad, i obraz udają, że mówią o tym

samym, i że dochodzą do wspólnych konkluzji. Następnego dnia okazuje się jednak, że każdy chciał powiedzieć coś innego. Spotykają się ponownie i znów każdy swoje. Po drodze załatwiają jakieś drobne sprawy, ale istota jest ciągle poza dyskusją.

A co trzeba powiedzieć? Choćby to, co próbowałem napisać na początku. Mianowicie, że nasza gospodarka to całkowicie wymyślony sztuczny system. Tak jak nie ma ekonomii kapitalizmu, tak nie ma ekonomii socjalizmu. Obie te kategorie niczego nie oznaczają w sensie ekonomicznym, nawet kwestia własności nie jest wyróżnikiem, bowiem kapitalizm zna własność państwową, a socjalizm prywatną. Inaczej mówiąc, że oba quasi systemy są tylko mutacjami gospodarki towarowo-pieniężnej, nie ma więc żadnych obiektywnych powodów, by różnice między nimi w sferze ekonomicznej były konieczne. Tylko, że jedna z tych mutacji jest efektywniejsza od drugiej, przy czym nie ma wątpliwości, o którą tu chodzi.

Różnica dotyczy właściwie jednego - skali własności państwowej. Jednakże doświadczenia tzw. kapitalizmu wskazują, że nawet ten sprawniejszy system nie radzi sobie z nadmiarem upaństwowionego szczęścia. Kolejne socjalistyczne rządy we Francji czy Anglii padały m.in. dlatego, że ciążył na nich ekonomiczny balast nacjonalizacji. Z powyższego wynika, że kluczową dla reformy w państwach obozu socjalistycznego kwestią jest sprawa własności. Trzeba odrzucić dogmat o niższości czy wyższości różnych form własności, a jedynie próbować odpowiedzieć na pytanie co koniecznie powinno być państwowe, a co nie i jakie znaleźć sposoby "odpaństwowienia" znacznej części aparatu wytwórczego, by nie wrócić /jest to nawet niemożliwe/ do wyłącznej własności prywatnej. Okaże się wówczas zapewne, że

Samorząd niekoniecznie jest jedyną formą państwowienia.

Idźmy dalej. Otóż zakwestionowanie tego, co nazywamy systemem gospodarki realnego socjalizmu i uznanie, że jest to tylko mutacja gospodarki towarowo-pieniężnej oznacza odrzucenie obecnego - powszechnego, i to niezależnie od motywacji - myślenia o reformie jako o próbie zaprojektowania jakiegoś innego modelu, może nawet teoretycznie lepszego. Doświadczenie już prawie 70 lat reform socjalizmu powinno uświadomić wszystkim, że systemu gospodarczego nie da się wymyślić czy zaprojektować. Śmieszą mnie gorączkowe wysiłki naszych luminarzy ekonomicznych, ich wielogodzinne narady, naukowe konferencje i sympozja poświęcone sporom o taki czy inny "regulator", o to czy lepszy jest podatek liniowy czy progresywny, w sytuacji, gdy gospodarka ginie. Tak jakby nie wiedzieli, że inne gospodarki wychodziły szybciej ze znacznie gorszych stanów kryzysowych. Stąd wniosek, że reforma nie powinna polegać na wymyślaniu czegokolwiek, ale tworzeniu warunków, w jakich zaczną funkcjonować mechanizmy systemu towarowo-pieniężnego, którego naprawdę nie trzeba odkrywać od nowa, tak jak nie trzeba od czasów Kolumba odkrywać Ameryki.

Natomiast trzeba się skupić na dwóch zespołach zagadnień. Po pierwsze, nad możliwie szybkim odtworzeniem infrastruktury gospodarki. To znaczy nad tym, by pieniądź był pieniądzem, cena ceną, bank bankiem, kapitał kapitałem itd. Tego wszystkiego też wymyślać nie trzeba, jako że świat zna te pojęcia, natomiast trzeba znaleźć sposób przywrócenia do życia tych kategorii. Po drugie, trzeba podjąć dyskusję nad tym, jak wkomponować w mechanizm gospodarki towarowo-pieniężnej pewne, przez społeczeństwo wynegocjowane,

elementy sprawiedliwości społecznej. A także nad tym, w jakie uprawnienia wyposażać centrum, by mogło ono oddziaływać na strukturalne procesy gospodarcze, i jak zapewnić społeczeństwu wpływ na konieczne decyzje centrum.

Strzał z boku

Taki powinien być program reformy, jeśli ma ona naprawdę coś zmienić. Nietrudno zauważyć, że to co proponują oficjalni reformatorzy całkowicie rozmija się z potrzebami. Oni nadal projektują nowy system. Być może jednak świadomość dotychczasowych niepowodzeń skłoni ich do zmiany taktyki, a przynajmniej do nazywania rzeczy po imieniu oraz poszukiwań metod sprawowania władzy w zmienionych warunkach systemowych. Być może doczekamy się więc szybko "trzeciego etapu".

Póki co jednak, znacznie skuteczniejszą metodę podważenia istniejącego mechanizmu niż działania oficjalnych jego reformatorów ujawniają różne organizacje gospodarcze wyrosłe na tak nawet jałowym gruncie zmian. Mam na myśli wszelkiego rodzaju spółki kapitałowe i podobne organizacje.

Nie ulega wątpliwości, że pojawiła się moda na tego typu twory. Jak każda moda i ta ma zapewne przemijającą wartość, ale na razie wywołuje ona niezwykle pozytywne efekty. Po prostu organizacje te wciskają się w coraz przecieź liczniejsze i bardziej dostrzegalne luki, szczeliny oraz wyrwy w systemie i skutecznie je rozszerzają. Zapewne część z nich okaże się efemerydami, część splajtuje, ale część stworzy nowe elementy krajobrazu polskiej gospodarki.

Moda na spółki ma kilka, niewątpliwie godnych wsparcia, pozytywów. Podstawowy dotyczy tworzenia się nowego wzorca działalności przedsiębiorczej; nowo powstające spółki spełniają obecnie zbliżoną rolę do pierwszych firm

polonijnych z końca lat siedemdziesiątych. Co ważniejsze, nie są to już przykłady oparte o kapitał obcy, ale działalność czysto rodzimą. Wskazuje ona na jedną z licznych możliwości aktywności gospodarczej.

Jeszcze większe znaczenie ma tworzenie wzorca dla firm państwowych. Jak pisałem, jednym z głównych mechanizmów uzależnienia przedsiębiorstw państwowych od centrum decyzyjnego i ich - w konsekwencji - ubezwłasnowolnienia, jest podległość wobec organu założycielskiego i podporządkowanie podstawowych decyzji dotyczących profilu produkcji i dyspozycji kapitałowych od jego woli. Otóż wejście firmy państwowej w spółkę z inną jednostką, nawet również uspołecznioną, wyraźnie rozluźnia istniejący gorset. Oczywiście wymaga to również zgody organu założycielskiego, ale jest to zgoda jednorazowa; po zawiązaniu spółki rządzi się już ona innymi prawami i jest bez porównania bardziej niezależna. W jeszcze większym stopniu dotyczy to przypadków powiązań z kapitałem obcym, a nawet prywatnym.

Niekiedy pojawiają się głosy obawy, że państwo w każdej chwili może ukrócić ową modę spółkową, że jeśli tworzone w ten sposób organizacje okażą się zbyt prężne, zbyt niezależne, lub choćby zbyt liczne, to przecież wystarczy odpowiednio ukształtować przepisy prawne i podatkowe, by stworzyć skuteczną tamę przed spółkową inwazją. Taka możliwość zawsze istnieje, choć nie sądzę, by należało przeceniać zagrożenie z tej strony. Jak na razie aparat gospodarczy, a nawet państwowy i partyjny jest w sporej części zainteresowany powstaniem spółek, dostrzega bowiem dla siebie miejsce w różnych radach nadzorczych tych instytucji, a nawet coraz śmielej myśli o posiadaniu w nich udziałów. To zaś nie jest groźne jeśli idzie o profil

i działalność gospodarczą spółek; aparat jest zainteresowany zyskami jakie one mogą mu zapewnić, więc nie tylko nie narzuca swego zdania, ale raczej ułatwia działanie, rozpinając nawet parasol ochronny nad nimi. Można uznać, że z moralnego punktu widzenia jest to zjawisko dwuznaczne, że stanowi przejaw korupcji działającej w obie strony, ale z punktu widzenia destrukcji systemu efekt jest wyraźnie jednostronny. W każdym razie mamy już pierwsze spółki powstałe właśnie z inicjatywy aparatu, nawet grup reprezentujących średnie ogniwa instancji partyjnych, mamy prezesów rad nadzorczych pochodzących z najściślejszych kręgów władzy:

W taki oto sposób niekonsekwentna reforma zyskała niespodziewane - ale dynamiczne - wsparcie z boku. Można również oczekiwać, iż w miarę szybko nastąpią istotne zmiany w ustawodawstwie związanym z działaniem kapitału obcego w Polsce; mówi się o rozwiązaniach rzeczywiście atrakcyjnych dla firm obcych. Jeśli rzecz nie rozpiśnie się w toku ustawodawczej obróbki - a nie powinna się rozpiąć ze względu na dewizowy dramat kraju - to wsparcie tego typu zostanie zwielokrotnione. Być może więc otworzy się w ten sposób nowa droga, a przynajmniej ścieżka, gwarantująca skuteczniejsze dojście do zmian, niż wszelkie dotychczasowe oficjalne poczynania reformatorskie.

By jednak była to droga czy ścieżka skuteczna, i trwała - konieczne jest właśnie wyzwolenie się z niewoli doktryny i stereotypów kształtujących dotąd wyobrażenia i zakreślających dopuszczalne granice zmian systemowych. Obecnie to jest najważniejsze.

Aleksander Paszyński

ŚWIADECTWA

DOŚWIADCZENIA WĘGIERSKIE

Zamieszczone dalej materiały ukazały się w piśmie "Uncaptive Minds. A journal of information and opinion on Eastern Europe", vol. I, nr 1 oraz nr 3, 1988. Jest to nowe pismo wydawane przez The Institute for Democracy in Eastern Europe, którego siedzibą jest Nowy Jork. Zespół redakcyjny pisma tworzą: Astrid Benedek, Eric Chenoweth, Jakub Karpiński, Josef Kucio, Irena Lasota, Arch Puddington, Jerzy B. Warman.

Tytuł pisma /"Niezniewolone umysły"/ nawiązuje do słynnej książki Miłosza "Zniewolony umysł" /w przekładzie angielskim: "The Captive Mind"/. Celem pisma jest prezentacja niezależnych od władz inicjatyw, postaw i opinii w Europie Wschodniej i w Związku Radzieckim. Dotychczas - tzn. do jesieni 88 - ukazały się trzy numery tego pisma./red./

x x x

RACZEJ POLITYKA NIŻ PRAWA CZŁOWIEKA /Wywiad z Gáspárem Miklósem Tamásem/

Gáspár Miklós Tamás jest pisarzem i intelektualistą, który 10 lat temu wyemigrował z Rumunii na Węgry. Publikuje

w niezależnych pismach węgierskich takich jak "Beszélő", "Hír-mondo" i "Demokrata", a także w wielu naukowych pismach zachodnich. Tamás, aktywny obrońca węgierskiej mniejszości narodowej w swej rodzinnej Transylwanii, był jednym z głównych mówców podczas trzeciego Forum Demokratycznego w Budapeszcie poświęconego temu tematowi. Rozgłoszyskał dzięki swej krytycznej ocenie programu pisma "Beszélő" nazywanego "Umową społeczną" - zajął znacznie bardziej radykalną i konserwatywną postawę polityczną. "Uncaptive Minds" przeprowadził z Tamásem wywiad w jego mieszkaniu w Budapeszcie. Tematami rozmów były: węgierska tradycja polityczna, różnice między jego poglądami a programem przedstawionym w "Umowie społecznej" oraz jego przekonanie, że obrona praw człowieka nie tworzy wystarczającego programu dla opozycji politycznej na Węgrzech.

x x x

UNCAPTIVE MINDS: Spośród węgierskich koncepcji opozycyjnych pańskie poglądy nie są dobrze znane na Zachodzie i wydaje się, że nie były szerzej omawiane. Czy świadomie wybrał pan taką izolację?

GÁSPÁR MIKLÓS TAMÁS: Jestem i nie jestem osamotniony - co jest bardzo dziwną sprawą. Ludzie, którzy zgadzają się z moją postawą polityczną, z moją sympatią dla Zachodu, z konserwatyzmem wielu moich poglądów, zazwyczaj nie są zbyt aktywni politycznie i można ich zaleźć w wielu dziedzinach życia społecznego, a przez to trudno ich zaklasyfikować. Natomiast ci, którzy są gotowi wziąć udział w politycznym działaniu przeciw reżimowi zazwyczaj należą do lewicy. Oczywiście, nie ma

w tym nic nadzwyczajnego a ja sam przychodząc z lewicy wcale się tym nie gorszę.

U.M.: W jaki sposób odszedł pan od lewicy?

TAMÁS: Nawet od całkiem niezwyklej lewicy. Byłem lewicowym indywidualistą i do dzisiaj pozostaję w mniejszym lub większym stopniu indywidualistą konserwatywnym. Mogłoby użyć wobec siebie określenia Orwella: "konserwatywny anarchista" /"a Tory anarchist"/. Co zaś do mojej nieprzejednanej postawy, to jest ona wyjątkiem na tle politycznej aktywności węgierskiej inteligencji.

U.M.: A na czym polegają te różnice? Czy chodzi o niezgodę na pańskie uzasadnienie antykomunizmu, tak jak je sformułował pan ostatnio w rozmowie z George 'm Schopflin 'em w "East European Reporter"? Czy chodzi o to, co pan nazywa swoim konserwatyzmem?

TAMÁS: Wielu ludzi mogłoby prywatnie twierdzić, że oczywiście są oni antykomunistami, ale ponieważ termin ten został skompromitowany podczas zimnej wojny, więc... etc. Jednak nie sądzę, żeby to był rzeczywisty powód niechęci do otwartego nazywania tej postawy. Ludzie instynktownie odkryli, że na Zachodzie ich wezwanie, szczególnie w mediach, trafia do lewicy. Ludzie bardzo chcą mieć sprzymierzeńców i ja to doskonale rozumiem. Więc jeśli się jest nieprzejednanym i kategorycznym w takich sprawach, a zwłaszcza jeśli ma się własny pogląd na to, co dzieje się na Zachodzie, to oznacza to koniec popularności u zachodnich sprzymierzeńców. Jest to sprawa całkiem przegrana - a ja doświadczyłem jej osobiście, gdy moi poprzedni sprzymierzeńcy odkryli, że moje poglądy nie odpowiadają ich wyobrażeniom. Jest to całkiem zrozumiałe,

jako że, oczywiście, ludzie pragną popierać ludzi, którzy mają poglądy zbliżone do ich własnych. Nie sprzeciwiam się temu: nie ma w tym nic niemoralnego.

U.M.: Ale czy to jest jedyna przyczyna pańskiego osamotnienia?

TAMÁS: To jest przyczyna pierwsza. Inna przyczyna dystansowania się od mojego programu politycznego, tkwi w tym, że odwołuję się do tradycji, która została przerwana. Moje poglądy są podobne do tych, które w latach trzydziestych i czterdziestych głosili na Węgrzech Chrześcijańscy Demokraci. A ta tradycja została tu wyrwana z korzeniami. Dzisiaj, nawet ci którzy są chrześcijanami i którzy znajdują się w opozycji wobec reżimu, nie wiedzą, czym była ta tradycja. Jest to zdumiewające, jeśli pamiętać, że Partia Chrześcijańskich Demokratów była po drugiej wojnie światowej największą partią polityczną na Węgrzech. Lewica, to znaczy partia komunistyczna, partia socjaldemokratyczna, partia chłopska oraz partia drobnych właścicieli były silniejsze jedynie w koalicji. Ostatnia z tej czwórki miała początkowo najwięcej członków, ponieważ służyła jako parasol organizacyjny, natomiast podczas drugich wyborów, gdy różnice polityczne nabrały większej jasności, partia demokratyczna, która stała się ruchem chrześcijańsko-demokratycznym, zdobyła najwięcej głosów. Członkowie tego ruchu nigdy nie nazywali się Chrześcijańskimi-Demokratami, ponieważ kardynał Mindszenty tego zabraniał, a był on postacią nieustępliwą, która połączyła ruch Chrześcijańsko-Demokratyczny z aktywnością typu socjalistycznego. Kardynał Mindszenty był bardzo dzielnym człowiekiem, chociaż, niestety, politycznie niezbyt przenikliwym. Jednakże przywódcy znajdujący się na czele tej partii tworzyli

wspaniała grupę, myślę o takich ludziach, jak na przykład Barankowics.

U.M.: Co się z nimi stało?

TAMÁS: Większość została aresztowana, wyemigrowała albo po prostu zrezygnowała z działalności politycznej. Historia tej partii jako partii była oczywiście bardzo krótka. Wcześniej ta grupa istniała jako kółko intelektualistów, a ja próbuję teraz wydobyć na światło dzienne ich dorobek. Jest ciekawym faktem historycznym, że grupa ta zorganizowała się wokół ankiety przeciw antysemityzmowi ogłoszonej w późnych latach trzydziestych.

U.M.: Co było wówczas wyjątkowe w Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej...

TAMÁS: Ale nie na Węgrzech. Była to partia zupełnie nowoczesna i w typie zachodnim. A to jest dla mnie bardzo interesujące. Ponieważ wartości i polityka, które tradycyjnie były związane na Węgrzech z konserwatyzmem, reprezentowały interesy starego ziemiaństwa, konserwatywnego świata, uprawiającego politykę szowinistyczną i prostacką. Ludzie, którzy go tworzyli w latach trzydziestych, zostali prześcignięci przez radykałów w typie Falangistów, ściśle powiązanych z nazistami. Staromodny nacjonalizm tradycyjnego konserwatyzmu nie był już interesujący i mógł oddziaływać jedynie na postaciach dziewiętnastowiecznych, które teraz są uważane raczej za niewinne, jeśli porównać je z dzisiejszymi rzecznikami nacjonalizmu.

Co zaś do tego politycznego spektrum, trzeba pamiętać, że chrześcijańscy socjaliści, którzy wywodzą się z wewnątrzkościelnego ruchu, i którym patronuje papież Leon XIII, byli bardzo typowi. W politycznym życiu katolicyzmu po pierwszej wojnie światowej ruch ten rozdwaja się, gdy biskup Prohászka staje na czele grupy zmie-

rzającej do ekstremizmu prawicowego a przywódca chrześcijańskich socjalistów praktycznie przyłącza się do komunistów.

Grupa ludzi, o których mówię, to znaczy tych, których można nazwać Chrześcijańskimi Demokratami, należała do klasycznej formacji liberalnej nie przywiązanej do społecznej doktryny Kościoła, mającej wówczas charakter feudalno-socjalistyczny i antykapitalistyczny, czy jak ją tam nazywać. Grupa ta była ściśle związana z koncepcjami Lorda Actona. Z tego powodu członkowie tej grupy nie cieszyli się sympatią kleru, ponieważ byli nowocześni, zwróceniu ku Zachodowi i, oczywiście, znajdowali się w radykalnej opozycji wobec antysemityzmu. We wszystkich krajach Europy Wschodniej zawsze istniał tzw. "problem żydowski", a kler przed wojną - chociaż wojna potem wszystko zmieniła - był w dużej swej części nastawiony antysemitcko. Jednak żadna z ważnych cech tego ruchu nie przetrwała do dnia dzisiejszego.

I podczas gdy ja - protestant - odkryłem, że nie jestem jedyną osobą, która sympatyzuje z tą tradycją węgierskiej polityki, inni, na przykład, wywodzący się z tradycji luterańskiej i którzy są mi życzliwi, nie są zbyt czynni w działaniach dysydentów.

U.M.: Być może zacznę od początku - po tym opisie Chrześcijańskiej Demokracji z lat trzydziestych i czterdziestych i jej roli najważniejszej opozycji wobec komunistów w polityce węgierskiej. Jakie idee polityczne, wywodzące się z tamtej tradycji proponuje pan dzisiaj i co je wyróżnia spośród innych pomysłów opozycji na Węgrzech?

TAMÁS: Gdyby można było wyodrębnić to, co mnie wyróżnia spośród dzisiejszych Węgrów, to byłby nim fakt, że mój konserwatyzm ma charakter zachodni. Nie

jestem nacjonalistą i nie jestem Populistą. Jestem z całej duszy "zapadnikiem" a nie "narodnikiem". A jest to bardzo rzadkie połączenie.

U.M.: Ale . . . Niekoniecznie na Węgrzech, gdzie Populiści nie mieliby nic do roboty razem z ruchem Chrześcijańskiej Demokracji tak jak to pan opisał.

TAMÁS: Zupełnie nic. Poza tym Populiści byli i nadal są ruchem lewicowym, jakkolwiek, oczywiście, są także nacjonalistami. W latach trzydziestych i czterdziestych nie było jeszcze jasne, czy będą ewoluować ku ekstremizmowi prawicy czy lewicy, gdyż byli przeciwnikami demokracji parlamentarnej, wolnego rynku i kapitału. Pragnęli państwa autorytarnego w służbie biedaków. Niektórzy z nich stali się faszystami, inni komunistami. Ale nie jest przypadkiem, że Populizm był jedynym ruchem idei tolerowanym przez reżim komunistyczny, nawet w okresie stalinowskim, i tak jest do dzisiaj z powodu ciągłości jego związków z przeszłością.

U.M.: Gdzie by się pan umieścił na mapie opozycji węgierskiej, którą tu szkicujemy?

TAMÁS: Powinienem być razem z grupą pisma "Demokrata", ponieważ akceptuję ich podstawowe zasady, Niemniej wolę drukować w "Beszélo", nawet jeśli kłócę się z nimi. Chciałbym jednak odpowiedzieć na to pytanie jeszcze inaczej. Dysydenci na Węgrzech - "twardzi" jak ich nazywają tu partyjni - są przeważnie byłymi makrystami i zapewne w zachodnich demokracjach byłiby nazywani liberałami. Może jedna lub dwie osoby mają inny rodowód.

Co zatem w takiej sytuacji mam do zaproponowania? Z jednej strony, to co głoszę jest dość krytyczne i destrukcyjne, ponieważ twierdzę, że powinniśmy zerwać z tą sławną "trzecią drogą", która nadal jest jeszcze bardzo popularna. Ta trzecia droga

wywodzi się z tradycji Istvána Bibó, wybitnego myśliciela węgierskiej demokracji, który sądził, że istnieje trzecia droga dla Europy Wschodniej. Moim zdaniem, nie jest to prawda. Możemy albo ożywić naszą tradycyjną duchowość i związki polityczne z Zachodem albo pozostać na Wschodzie. A ten pierwszy wybór oznacza oczywiście ożywienie naszej tradycji chrześcijańskiej, w której żyjemy już od tysiąca lat. Jednak w historii Węgier, istniała zawsze także druga tradycja, wywodząca się ze Wschodu i każdy Węgier zawsze musiał wybierać pomiędzy Wschodem a Zachodem. Co do mnie, wybrałem tradycję zachodnią.

Nie mam najmniejszych wątpliwości co do możliwości zreformowania tego systemu i to jest najważniejsza kwestia, która odróżnia mnie od kręgu pisma "Beszélő". Wolę komunizm zreformowany niż niezreformowany. Jest oczywiście lepiej, że nie siedzę w więzieniu i że moi przyjaciele nie siedzą w więzieniu, i że możemy podróżować. To jest ważne, i dobrze, że tak się złożyło. Ale w końcu, to nam nie pomoże - i to nie tylko w sensie pragmatycznym.

Nie podzielam również zadowolenia wielu zachodnich obserwatorów, zwłaszcza teraz, z nastaniem Gorbaczowa, który pragnie nas uwieźć wewnątrz łagodnie zreformowanego systemu komunistycznego, w którym władza nadal należy do partii, a tylko niektórzy ludzie mogą sobie trochę pokrzyczeć. Myślę, że jest to sytuacja niemoralna, która nawet podkopuje naszą moralność. Jeśli ludzie nie muszą cierpieć za ich poglądy, niemniej nadal nie mają żadnego realnego wpływu na to, co się dzieje, na dłuższą metę taka sytuacja spowoduje jeszcze powiększenie się różnicy między słowami a czynami. Nie możemy budować przyszłego normalnego życia politycznego na takiej podstawie.

"Gorbaczewizm" ma swoje niebezpieczeństwa i już tworzy nowy rodzaj monstrualnego kłamstwa, to znaczy kreuje iluzję wolności, w której ludzie naprawdę mogą się wypowiedzieć. Oczywiście, istnieją znaczne różnice, a na Węgrzech ludzie mogą całkiem dużo powiedzieć. Ale jeśli ludzie mówią tylko w jeden sposób, a jeszcze w życiu zawodowym są zmuszani do zachowywania się inaczej, to stwarza to okropną hipokryzję polityczną w naszym życiu. A jej początki są już widoczne na Węgrzech.

U.M.: W czym?

TAMÁS: Spójrzmy na to co się zdarzyło podczas Forum Demokratycznego w ostatnią niedzielę w sprawach dotyczących mniejszości narodowych. Czy sądzi pani, że ludzie, którzy tam przemawiali mogliby przekazać swoje teksty do opublikowania w samizdacie? Nigdy. Oni wiedzą, że mogą się wypowiedzieć ustnie i ograniczają się wyłącznie do tego, co jest dozwolone. Tak więc, w słowach są radykałami, krytykując władze, ale poza tym, ograniczają się do zaleceń partii. Jedynie mój tekst będzie opublikowany. Mój przyjaciel János Kis podsumował to następująco: "Wszyscy oni mówią, że chcą, aby Rosjanie stąd sobie poszli i że nie lubią tego systemu, ale jeśli poprosić ich o podpisanie petycji w obronie jakiegoś biednego faceta, którego gdzieś aresztowano, to odmawiają twierdząc, że będą spaleni w swojej pracy." I to właśnie jest głęboko niemoralne.

U.M.: Ale czy to jest typowa węgierska opozycja? I czy pan twierdzi, że jest to coś podobnego do "Umowy społecznej" grupy "Beszélő", która opowiada się za demokracją wielopartyjną a jednak akceptuje, przynajmniej na razie, kierowniczą rolę partii?

TAMÁS: Tak - i to właśnie skrytykowałem brutalnie w "Hírmondo". Uczyniłem to z najwyższym szacunkiem dla Jánosa Kisa i

"Beszélő", które jest wspaniałym pismem. Ale w jednej sprawie oni mają całkowitą rację. W "Umowie społecznej" powiada się, że niemoralne jest głoszenie żądań, których realizacji się nie oczekuje, i od których wymuszenia na partii nie ma się siły. Zgadza się z tym i mam w najwyższej pogardzie tych, którzy głoszą programy radykalne, ale nie robią nic, aby je poprzeć czynem. Nie mniej, nie wyciągam identycznych wniosków z takiego punktu widzenia. Porównałem program grupy "Beszélő" z 17-wiecznym ruchem w Anglii, którego celem było ograniczenie władzy królewskiej. Parafrazując Engelsa, stwierdziłem, że socjalizm rozwija się od utopii do monarchii.

U.M.: Oni robią identyczne porównanie.

TAMÁS: Oczywiście, po opublikowaniu mojej krytyki stało się ono popularne. Ale sama idea jest wewnętrznie pęknięta, ponieważ trzeba pamiętać o naturze władzy absolutnej - jej natura pozostaje przecież taka sama, nawet jeśli ta władza jest słaba. Tu tkwi podstawowy błąd polityczny i stąd wywodzi się zasadnicza odmienność mojej koncepcji. Oni rzeczywiście myślą, że osłabienie dyktatorskiej władzy partii oznacza zmianę istoty tej partii, a tymczasem ona się nie zmieniła i nie może zmienić. Partia bardzo szybko pójdzie na ustępstwa, ale nigdy nie zgodzi się na prawne gwarancje ograniczające jej władzę. Te bowiem wymierzone są właśnie w samą naturę systemu komunistycznego. Natomiast w programie grupy "Beszélő" zakłada się, że osłabiona partia, pozwoli społeczeństwu cywilnemu stać się drugą władzą. A przecież, jak to widzieliśmy w Polsce, nawet najsłabsza partia komunistyczna nie zrobi takiej rzeczy. I nawet, gdy chcą tego sami komuniści, to nie mogą tego zrobić, bo taka jest natura ich władzy. Bo albo

mają władzę absolutną, albo ją tracą.

Taki pogląd czyni mnie, oczywiście, pesymistą. Ale dlaczego grupa "Beszé18" zaproponowała tego typu program? Ponieważ chcą oni proponować coś, co można by zrealizować, zgodnie z artykułem Michnika pt. "Czego chcemy i co można osiągnąć?" Jest to idea szlachetna, ale on nie do11ódi, że jest słuszną; a idea "samoograniczającej się rewolucji" przegrała, co w polityce jest najważniejszym dowodem. Mogę zrozumieć powracanie do takich idei oraz twierdzenie, że Węgry są inne i że partia tutejsza działa nieco rozsądniej. To prawda: intelektualna jakość przywódców naszej partii jest lepsza niż ludzi w typie Gierka czy Kani, ale co z tego, że są oni bardziej dalekowzroczni niż inni komuniści? Bardzo niewiele.

Autorzy programu opublikowanego przez "Beszé18" nie są nieinteligentni. Wręcz przeciwnie. Twierdzą oni, że ich program jest jedynie projektem działania i nie zakładają nawet, że ich program jest możliwy do zrealizowania, ale raczej, że tylko kształtuje podstawy realistycznego działania. Ale jeśli ten program nie daje się zrealizować lub jeśli nawet prawo ograniczające przywileje partii jest tylko marzeniem, to dlaczego nie marzyć w wielkim stylu? Jeśli rzecz sprowadza się do marzeń i aspiracji, to dlaczego nie wypowiadać się bez ograniczeń? Oczywiście, zgadzam się z opinią, że ludzie nie są dostatecznie radykalni i nie są przygotowani, aby teraz ponosić ofiary i że możemy jedynie robić małe kroki. Jak już wcześniej powiedziałem - źle jest, gdy istnieje tak wielka niewspółmierność między słowami a czynami.

Dlaczego jednak nie wypowiadać się z naszych rzeczywistych marzeń, które polegają po prostu na pragnieniu, aby Węgry były wolnym, niepodległym państwem i

demokracją parlamentarną, aby ponownie stały się częścią zachodniej wspólnoty narodów. Oto co chcielibyśmy zobaczyć. Być może, nigdy tego nie zobaczymy. Ale to właśnie jest naszym marzeniem i jest bardzo ważne, by otwarcie wypowiedzieć jakie są nasze rzeczywiste cele i marzenia; a to mogłoby mieć realne polityczne konsekwencje.

U.M.: I to właśnie zaproponował pan w "Beszélő"?

TAMÁS: Tak, ale mój następny artykuł opublikowany w tym piśmie - który bezpośrednio dotyczy tematu naszej rozmowy - ma tytuł "Pożegnanie z lewicą" i piszę w nim o moim rozczarowaniu ideą praw człowieka, której nigdy nie byłem entuzjastycznym rzecznikiem. W pewnym sensie głęboko wierzę w prawa człowieka jako w przedłużenie zasady praw naturalnych. Jednak w moim artykule przedstawiam pogląd, że powinniśmy myśleć - i nie powinniśmy tego myślenia zaniechać - o dwóch sprawach, które są zaniedbane w polityce dysydentów z powodu restrykcji narzuconych przez ideę praw człowieka wszędzie z wyjątkiem Polski. Tymi dwiema ważnymi sprawami są władza i tradycja.

Musimy zacząć myśleć w kategoriach legitymizacji władzy, która w erze Hookera, Hobbesa i Spinozy była główną ideą nauki o polityce i nadal pozostaje ważna. Musimy ponownie przemyśleć, co chcielibyśmy uważać za polityczną legitymizację władzy. Każdy myśli dzisiaj, że chcemy ograniczyć władzę, że chcemy odebrać państwu tak dużo władzy jak to jest możliwe i zwrócić ją ludzkości albo narodowi, albo cemukolwiek. W porządku, ale wszyscy będą twierdzić, że ze względu na naturę człowieka, władza zawsze pozostanie w czyichś rękach.

A jak my jesteśmy przygotowani do uznania legitymizacji władzy? Co ma być jej źródłem? Może to być kontrakt, w znaczeniu

nadany mu przez Rousseau, ale może też być coś zupełnie innego.

A tu pojawia się kwestia tradycji, którą uważam za najważniejsze źródło władzy świeckiej. Krótko mówiąc, władza świecka nie może być uprawomocniona, jeśli moralność nie łączy jej z sacrum lub, jeśli pani woli, z boską podstawą. Nie uwzględnianie tych spraw uczyniło nasze myślenie jałowym, bezużytecznym i płacziwym. Na czym bowiem polega polityka praw człowieka prowadzona przez dysydentów w Europie Wschodniej? Polega na protestowaniu, protestowaniu, cały czas protestowaniu. Jest to polityka obronna i nie ma w niej nic konstruktywnego. Oczywiście, ze względów moralnych jest to polityka konieczna i sądzę, że musimy kontynuować tego typu działania. Ale to nie wystarcza.

U.M.: Czy pana zdaniem uzasadnieniem sprawowania władzy jest demokracja, czy jakiś inny system rządzenia?

TAMAS: Nie mógłbym powiedzieć, że sama demokracja. Demokracja nie jest warunkiem legitymizacji władzy, jest natomiast jej rezultatem. Mówiąc to jestem liberałem w znaczeniu, jakie temu pojęciu nadał wiek XIX. Zasada większości nie jest sama w sobie źródłem legitymizacji władzy; jest to zło konieczne. Sam wołabym taki system polityczny, w którym podejmowane są trafne decyzje i w którym nie ma gwarancji dla decyzji, o których decyduje większość. Co nas zmusza do akceptacji zasady większości i jaka racja stała za wyborem demokracji? Było to zwyczajne przekonanie o niedoskonałości natury ludzkiej. Nie mamy zaufania do rządzących i ich nieograniczonej władzy, ponieważ człowiek jest istotą omylną. Chcemy mieć możliwość kontrolowania władzy i jej równoważenia z powodu naszego sceptycznego poglądu na naturę ludzką. W demokracji ślepa wiara

fałszuje jej prawdziwe pochodzenie a nie możemy być prawdziwymi demokratami jeśli myślimy o demokracji jako o rzeczy świętej. Przeciwnie. Jest ona pozbawiona świętości i jest wynikiem naszego przekonania, że ludzie nie zawsze są zdolni do wydawania mądrych sądów i w ten właśnie sposób uniemożliwia się skupianie władzy.

Więc nie wierzę także w demokrację, której orędownikiem jest mój przyjaciel György Konrád uważający, że jeśli ludzi pozostawi się samych sobie, to staną się wspaniali, genialni, twórczy, pomysłowi, i zawsze będą mówili doskonałe dowcipy, i że założą bistra, warsztaty i kluby a jeszcze na dodatek nigdy nie zapomną o takich wielkich sprawach jak choćby państwo, słowem - wszystko stanie się cudowne. Nie wierzę w to. Zawsze będzie istniał problem władzy.

I właśnie dlatego musimy dokładnie rozważać wszystkie te kwestie. A to jest właśnie miejsce, w którym ważne stają się pytania o tradycję i o istotę naszego dziedzictwa. Węgry mają wiele różnych tradycji politycznych, co dodatkowo wszystko komplikuje. Po co tradycja, skoro można wybrać spośród różnych tradycji? Tradycja, w swojej istocie, nie jest czymś, co przyswaja się w akcie wyboru. Jest nam przekazywana jako całość dziedzictwa. A poza tym, z powodu osobliwości naszej historii, ludzie już sobie uświadomili, że Węgry mają różne dziedzictwa.

W pewnym sensie znowu jestem u początku naszej rozmowy. Jest sprawą pilną, aby zastanawiać się nad podstawowymi rozwiązaniami tych kwestii. Dwa są tego powody: mamy na to mnóstwo czasu. Nie będzie takich rozległych zmian politycznych, abyśmy mieli pełne ręce bezpośrednich, praktycznych politycznych rozwiązań. Więc dysponujemy ogromną ilością czasu, aby zajmować się kwestiami

podstawowymi. Powód drugi jest następujący: bez rozjaśnienia kwestii fundamentalnych nie będziemy w stanie działać skutecznie. Będziemy wpadać w nieuczciwe sojusze i zdawać się na przypadkowe kompromisy. A to jest dokładnie to, czego nam nie potrzeba i co nas w przeszłości zniszczyło. Błaczegóż więc powtarzać te same, stare błędy? Pani jest sceptyczna...

U.M.: Mój sceptycyzm nie dotyczy poglądów, w których wyraża się pańska filozoficzna praktyka. Natomiast, w tym co pan mówi, moje wątpliwości budzi przekonanie, że opozycja na Węgrzech pragnie zastanawiać się nad takimi fundamentalnymi kwestiami. Czy jest to rzeczywiście czas na tego rodzaju dyskusje, lub - czy nie lepiej zjednoczyć się wokół celów, co do których panuje wspólnota poglądów?

TAMÁS: Ma pani rację, ale istnieje też zgoda, że taka dyskusja jest potrzebna i pismo "Beszélő" zgodziło się ją poprowadzić. Na przykład, dyskutowany będzie mój tekst na temat mniejszości narodowych, który przedstawiłem podczas Forum Demokratycznego i który spowodował gwałtowne poruszenie.

Powiedziałem kilka brutalnych prawd. Nie myślę tu o Ceaucescu. Bo kto na Węgrzech nie mówi ich o Ceaucescu? Wiadomo, że pochodzę z Transylwanii. Więc powiedziałem, że domagam się wyrównania krzywd wyrządzonych Węgrom mieszkającym w Transylwanii i żądam, aby skończyło się obrzucanie Węgrów obelgami i deptanie ich praw. To było de rigueur /obowiązkowe/. Ale zadałem pytanie czy jestem w tym wszystkim szczerzy? Co jest marzeniem poza moimi politycznymi działaniami w tej sprawie. Czym jest to, co naprawdę chciałbym zobaczyć? Otóż chciałbym, aby moje rodzinne miasto Kolosvár /Kluj w Rumunii/, z tymi samymi starymi domami wokół wielkiego placu

targowego, było znów zamieszkane przez tą samą średnią klasę Węgrów, która tam mieszkała, gdy byłem dzieckiem; i chciałbym wykładać na węgierskim uniwersytecie w Kolosvárze, a po wykładach spotykać mojego przyjaciela Győgyi, który wychodzi właśnie z redakcji węgierskiego pisma naukowego. Oto moje marzenie.

A czy mam prawo, aby o tym marzyć? Oczywiście, że nie. Prawa człowieka nie wypowiedzą tego, co powstrzymuje polityka. Jeśli utknie się w tych abstrakcyjnych, moralnych i prawniczych rozważaniach nigdy nie będzie można wypełnić treścią polityki, którą się prowadzi. Sójrzmy prawdzie w oczy: kraje powstają i znikają. W historii są zwycięzcy i przegrani. I pozwólmy przyznać się do pragnienia, że chcemy, aby nasz naród zwyciężył. Powiedziałem stanowczo, że ten, kto nie pragnie, aby jego naród zwyciężył we współzawodnictwie z innymi narodami, nie powinien zajmować się polityką. I sędzę, że nie ma w tym nic amoralnego. Nie znaczy to, że pragnę wyrządzić krzywdę Rumunom czy komukolwiek, ale oczywiście bardzo bym chciał, aby Węgrzy odzyskali taką społeczną pozycję w Transylwanii, jaką utracili.

W imię czego pragnę tego wszystkiego? Po prostu - w imię poszanowania tradycji. Sędzę, że nie muszę tego dalej dowodzić. Żadne dodatkowe argumenty nie są tu konieczne, jeśli akceptuje się tradycję jako podstawę żądań politycznych. To, co jest potrzebne, to polityczna wola ich realizacji.

Ktoś potem stwierdził, że teraz nie ma Żydów w sąsiedztwie mego zamieszkania, które było tradycyjną dzielnicą żydowską, a w której wszyscy Żydzi zostali wymordowani. I zapytał mnie, czy sędzę, że Żydzi w Budapeszcie powinni czuć nie tylko odrazę ponieważ zamordowano wszystkich,

Chcą tu żyć, lecz także pragnąć znowu żyć w tym samym miejscu. Odpowiadam: "Dlaczego nie?". Dlaczego społeczności ludzkie nie powinny pragnąć dla siebie korzyści, jeśli te korzyści zostały wywalczone fair, w sposób otwarty i uczciwy. Dlaczego nie? Nie ma w tym nic niemoralnego. Nieuznawanie ważności symboli, miejsc czy grup jest ślepotą i nie znoszę doktrynerstwa dysydentów, gdziekolwiek i kiedykolwiek oni mówią, że wszystko czego pragną, mieści się dokładnie wewnątrz granic wyznaczanych przez prawa człowieka. Jest to po prostu nieprawda. Nikt tego nie chce. Ludzie nie są tacy i nie zachowują się wedle takich zasad, i nie jest w porządku ich namawiać, aby oparli swe działania po prostu na żądaniu praw człowieka. Moją moralną pasją jest rozpoznanie bogatej, żywej, całościowej i skomplikowanej struktury tradycji historycznej a także dostrzeżenie tego wąskiego pasemka, które oddziela to, co jest fair od tego, co nim nie jest. Dopiero wtedy polityka staje się interesująca.

Z angielskiego tłumaczył Jerzy Malewski



NADZIEJA JEST WTEDY, GDY SIĘ ŻĄDA
/Wywiad z Miklősem Haraszti/

Miklós Haraszti jest wybitną postacią węgierskiej opozycji. Sam uważa się za członka "opozycji odrzuconej" nazywanej tak w przeciwieństwie do "opozycji lojalnej", której miejscem działania jest państwo lub partia. Haraszti jest autorem pracy pt. "Robotnicy w robotniczym państwie" będącej zapisem jego doświadczeń z węgierskiej fabryki, gdzie pracował po wyrzuceniu go z uniwersytetu. Ostatnio opublikował

książkę pt. "Aksamitne więzienie", która ukazała się w wydawnictwie Basic Books; jest to, napisana w trzeciej osobie, relacja o miejscu artysty i intelektualisty na Węgrzech. "Aksamitne więzienie" to nazwa sytuacji, w której artyści i intelektualiści dobrowolnie akceptują patronat państwa i - we własnych utworach - rezygnują z przekraczania granic wyznaczonych przez władze.

Miklós Haraszti jest wydawcą "Beszélő", - najbardziej znanego niezależnego węgierskiego czasopisma, które - od czasu, gdy "Aksamitne więzienie" zostało opublikowane - stworzyło możliwość spełnienia pragnień, by, mówiąc słowami autora, "stworzyć dziennikarstwo na nowo" i uniknąć dławiącego uścisku państwowego mecenatu. Haraszti pisuje także dla innych czasopism niezależnych na Węgrzech i publikuje w prasie zachodniej.

Wywiad dla "Uncaptive Minds" został przeprowadzony podczas ostatniego pobytu Haraszti w Stanach Zjednoczonych.

x x x

UNCAPTIVE MINDS: W "Aksamitnym więzieniu" wielkie wrażenie sprawił na mnie pański opis metod, za pomocą których "powabny" model węgierskiego socjalizmu nadal sprawuje kontrolę nad społeczeństwem. Posługuje się on teraz subtelniejszymi metodami, które jednak dziś są równie skuteczne jak dawniej te stare. I dlatego określa pan Węgry jako nadal "państwo socjalizmu totalitarnego".

MIKLÓS HARASZTI: Muszę zwrócić uwagę, że słowa "totalitarny" nie ma w tekście węgierskim. Nie używam tego terminu opisując reżim postalinowski. Myślę, że dyskusja na temat, czy Węgry są lub nie są państwem totalitarnym jest mało ważna. Węgry są bowiem nadal komunistyczne, mają

administracyjnie kierowaną kulturę i są przez komunistów rządzone w każdym sensie. Tak więc rozstrzygającą kwestią nie jest, w jaki sposób wolno autorowi istnieć poza narzuconymi decyzjami cenzora, ale kierunek pozytywnej estetyki, czyli określone przesłanie do czytelników. To jest wyrazisty komunizm, niech będzie totalitarny, jeśli pani chce, ponieważ jeśli nawet pisarze nie stosują się do przepisów /narzucanych przez państwo/, to unikają tematów tabu, które są niedozwolone. Wyrażną postalinowską korzyścią jest zmniejszenie się zakazów, ale tematy tabu pozostają. Pisarze nie mają jednak żadnych środków, aby przemycać ich własne, nowe pozytywne przesłania. Jedyne konsensus, jaki może istnieć skupiony jest wokół tego post-stalinowskiego przesłania, nowego pozytywnego i wspólnego przesłania.

U.M.: Przez słowo "pozytywny" /positive/ rozumie pan...?

HARASZTI: Chodzi o charakterystyczne przesłanie komunistycznych dyktatur. Może ono nie mobilizować tak otwarcie jak dawniej, ale to pozytywne przesłanie nadal jest skupione wokół pojęcia wspólnego dobra, które opiera się na jedności. W ten sposób pisarze, artyści i intelektualisci, którym wolno zabierać głos w sprawach publicznych są nadal traktowani jako wychowawcy narodu i nauczyciele owego dobra wspólnego. A oni starają się spełnić ten postulat; nie chcą zrezygnować z ich statusu wychowawców narodu.

Nie nazywajmy tego systemu totalitarnym, jeśli to określenie oznacza, że państwo jest dyktatorem we wszystkich obszarach życia. W tym bowiem sensie żyjemy w państwie post-totalitarnym. Post-komunizm nie polega na tym, że aktorzy życia publicznego są nadal kierowani przez zinternalizowaną ideologię post-stalinowskiego państwa; a ono z kolei

może nadejść jedynie z totalitarnej przeszłości, co oznacza, że istnienie post-totalitarnego państwa można przywrócić - i można je z powrotem odesłać. W przeszłość. W dyktaturach trzeciego świata, społeczeństwo poddane jest uciskowi, jednak pod powierzchnią zdolne jest trwać przy swoich własnych wartościach. Istnieje bardzo silny nacisk odgórny, ale jest on ograniczony. Polska jest wyjątkiem w takim modelu państw post-totalitarnych.

U.M.: Więc zgadza się pan z tymi, którzy twierdzą, że ideologia komunistyczna jest martwa, ale istnieje jeszcze nowa, jakby praktyczna ideologia.

HARASZTI: "Aksamitne więzienie" skończyłem w 1981 r., tj. w chwili, gdy rozpoczął się rozpad komunizmu w Europie Wschodniej. To, co pani mówi jest prawdziwe wobec reżimów komunistycznych, znajdujących się w tej "post-totalitarnej", post-stalinowskiej fazie, którą opisuję; problem we Wschodniej i Środkowo-Wschodniej Europie polega na tym, że reżimy nie są całkiem spójne; znajdują się w stanie kryzysu. Związek Sowiecki i Chiny mogłyby w przyszłości stać się spójne - a wtedy "Aksamitne więzienie" byłoby dobrym opisem ich kultury, która ma nadejść. Spójny post-stalinowski reżim komunistyczny oznacza komunizm, który nie jest podtrzymywany jedynie przez terror: to jest już cywilizacja, poniekąd finał i właściwy cel, jaki zamierzali twórcy komunizmu. Stalinizm jest anomalią. Właśnie w momencie, gdy nomenklatura zaczyna krytykować przeszłość z powodu używania niepotrzebnego terroru, zaczyna się faza post-stalinizmu a oświecony komunizm orzeka, czy ma być jeszcze wzmacniany, czy może stać się jeszcze bardziej wytrzymały i długotrwały i czy można już w nim widzieć normalny wzorzec dla komunistycznego świata.

U.M.: Czy w głośności i pierestrojce Gorbaczowa dostrzega pan dążenie do uczynienia Związku Sowieckiego państwem bardziej otwartym i demokratycznym czy też raczej nowe wzmocnienie i - jak pan to powiedział - "oświeconą" dyktaturę komunistyczną?

HARASZTI: W terminach bezwzględnych, mógłby to być, oczywiście, system bardziej otwarty, ponieważ jego siły trawienne są także większe. Sowieci mogą przejmować więcej rzeczy z Zachodu, mogą też więcej z Zachodu importować, ponieważ ich system staje się bardziej elastyczny. Nowi władcy powiadają: "Pozwólcie nam stać się cywilizacją". Oczywiście cywilizacja to coś, co może się reprodukować. Stalinizm nie mógł się reprodukować, musiał być cały czas społeczeństwu narzucany. Stawanie się cywilizacją wymaga, aby ci którzy rządzą wykazywali więcej otwartości, i by potrafili się poddać pewnym regułom i aby już dłużej nie posługiwali się terrorem przeciwko samym sobie. W komunizmie klasa rządząca zna najdokładniejszy sposób określania tego co jest a co nie jest dobrem. Dobrem jest zaprzestanie posługiwania się terrorem przeciw niej samej. Oto, co oferuje post-stalinizm. W tym sensie jest to komunizm i to zaawansowany. Oczywiście, może się on wydawać liberalny, jeśli go porównamy z tym, co było wcześniej. Ale problem klasy rządzącej polega na pytaniu, w jaki sposób przeciwdziałać politycznej porażce, gdy rezygnuje się z terroru, ponieważ wydawało się dotąd, że komunizm może być utrzymywany wyłącznie za pomocą terroru. Że nie jest to problem nie do pokonania pokazał przypadek Węgier, gdzie społeczeństwo wyuczone lekcji o niezwyciężalności władzy centralnej i w ten sposób uzasadniono dyscyplinę społeczną, którą w Związku Radzieckim i w Chinach jest

organizowana przez największy wymiar tych imperiów, tzn. przez ogromną siłę ich centralnych struktur. Polska jest oczywiście wyjątkiem, ponieważ nie powiodły się wysiłki stalinizacji części polskiego życia, a szczególnie rolnictwa i kościoła. A na dodatek Polacy nigdy nie zaakceptowali totalnej klęski w taki sposób, jak to uczyniły inne narody: Rosjanie, Węgrzy, Chińczycy.

U.M.: "Aksamitne więzienie" opisuje życie artystów w socjalizmie oraz sposób, w jaki "oświecony" komunizm jest w stanie posługiwać się artystą i intelektualistą - po prostu płacąc mu, nacjonalizując życie intelektualne i zmuszając artystę do spłacania długu państwu. Czy jest prawdą o społeczeństwie jako całości w ciągu ostatnich lat dwudziestu, że węgierski socjalizm został przyjęty, ponieważ miał sukcesy ekonomiczne? Czy jest to prawda o robotnikach, o kadrze zarządzającej, że byli w stanie ruszyć się z miejsca?

HARASZTI: Nie sędzę, że inteligencja została po prostu kupiona. To jest zaledwie pół prawdy o "aksamitnym więzieniu". Specjalnie zwracam uwagę na to, że inteligencja ma pozytywny etos służby społecznej, służby wspólnemu dobru, które ucieleśniło się w państwie.

Ale to nie jest przypadek narodu, a pojęcie narodu jest jeszcze bardzo ważnym pojęciem we wszystkich krajach socjalistycznych, ponieważ uważa się powszechnie, że klasa rządząca kształtuje ludzi, którymi rządzi. Jeśli ludzie nie walą pięściami w drzwi i są spokojni jest to podwójny efekt bycia pobitym a potem kupionym. A nie tylko tego ostatniego. Oba efekty są potrzebne, aby skutecznie zintegrować ludzi i utrzymać ich w spokoju. Ale zwyczajni ludzie nie mają żadnych ideologicznych iluzji, które ma intelektualista czasów post-stalinowskich.

Odpowiadając jednak na pani pytanie - poziom reform ekonomicznych nigdy nie przekroczył granicy tego, co nazywam "reformami dla uniknięcia reform". Poziom prywatyzacji był bardzo starannie zaprojektowany, aby utrzymać w równowadze dochody rodzinne a zarazem uniknąć rozwoju rzeczywistej średniej klasy przedsiębiorców. I z pewnością był on zaprojektowany, aby ograniczać znaczące przedsięwzięcia prywatne i rozwój kapitału w kapitalistycznym sensie, w którym jednostka jest odpowiedzialna za to, co ma, a nie tylko za zysk. Przede wszystkim, na Węgrzech nie ma prywatnych spółek poza nielicznymi, o niskim poziomie kapitału. Ten kapitalizm jest poziomy a nie pionowy. Po drugie, niezależność spółek węgierskich jest ograniczona do określonych towarów i, do pewnego stopnia, przez stałe ceny. Jednak nie pozwala się im ani zbankrutować, ani sprzedać, ani też zakupuć innej spółki. Nie istnieje swobodny przepływ kapitału; spółki nie mogą więc twierdzić, że są prywatne, ani że posiadają własność prywatną. Taka reforma mogłaby oznaczać realną strukturalną zmianę, pierwsze nieodwracalne uderzenie w prawa i we władzę partii, ponieważ oznaczałaby, że partia jest całkowicie zbędna dla funkcjonowania gospodarki.

U.M.: Wielu ludzi uważa, że nowe reformy wprowadzone przez rząd wykraczają daleko poza to, co dotychczas robiono w kraju socjalistycznym - chodzi o wprowadzenie bankructwa przedsiębiorstw i stabilizację rynku papierów wartościowych. Czy to jest prawda?

HARASZTI: Rząd nie obiecywał wprowadzenia reformy rzeczywiście potrzebnej, która stale jest proponowana przez ekonomistów. Maksimum postawy premiera Grosza polega na zbliżaniu się do propozycji radykalnych reform w sposób jak

najbardziej stopniowy, ale nie oznacza to likwidowania przedsiębiorstw, które są bankrutami. Jest to nadal zastrzeżone dla swobodnej decyzji rządu.

U.M.: Skoro więc jakiś projekt oznaczać będzie stratę pieniędzy, tak jak w przypadku zapory wodnej Gabčíkovo-Nagymaros, która była zbudowana w celu eksportu energii do Austrii i Czechosłowacji, to czy nie będzie on zatwierdzony?

HARASZTI: Niezupełnie. Gospodarka jest nadal rygorystycznie sterowana przez państwo. Poczawszy od wprowadzania nowej reformy w 1968 r., ostro krytykowanej przez ekonomistów będących zwolennikami zmian, interesy ograniczone planami zostały zastąpione przez interesy ograniczone cenami i podatkami, co pozwala na utrzymywanie gospodarki pod ścisłą kontrolą.

U.M.: Jaka jest w tej sytuacji perspektywa dla rozwoju opozycji na Węgrzech, dla rozwoju niezależnych instytucji i niezależnej kultury. Czy mógłby pan przedstawić obecną sytuację tej opozycji?

HARASZTI: Zmieniła się gwałtownie w ciągu ostatniego roku, ponieważ kadaryzm znalazł się w fazie kryzysu.

U.M.: Chodzi o tak zwaną "umowę społeczną", która polega na zaspokajaniu potrzeb społeczeństwa pod warunkiem, że społeczeństwo nie pozostaje wobec rządu w opozycji.

HARASZTI: Kryzys obejmuje całość kadaryzmu. I nie tylko dlatego, że gospodarka państwa znalazła się w stanie bankructwa. I nie tylko dlatego, że relatywny liberalizm na Węgrzech został dogoniony przez zmiany w innych krajach Europy Wschodniej - przede wszystkim w Polsce - a to oznacza, że Węgry przestały już być centrum socjalizmu liberalnego. Ale

przede wszystkim dlatego, że pojawiła się nowa generacja, dla której dziesięciolecia rządów Kádara oznaczają kulturę kłamstw i ograniczeń. Ta nowa generacja nie porównuje dzisiejszych Węgier z okresem stalinowskim i terrorem. Jest to odrodzenie społeczeństwa, co prawda nie w takim sensie jak w Polsce, ale w sposób interesujący i nawet porównywalny z tym, co się dzieje w Polsce. Różne warstwy społeczne zaczynają się integrować, żądają uznania ich własnych praw - i to jest zmiana pozytywna. Stanowi dzieło opozycji, która ową zmianę poprzedzała i przygotowała. Gdyby nie było samizdatu, który przez lata był zjawiskiem odosobnionym, nie wiedzielibyśmy o powstających na Węgrzech klubach i stowarzyszeniach. Jest to więc także powstanie niezależnej prasy i wydawnictw. Jest to także istnienie stanu pośredniego pomiędzy nomenklaturą a opozycją, w której kluby i stowarzyszenia są rozmaicie uwarunkowane, ale są wolne publikując gazety i dzienniki i mając na to pewien rodzaj oficjalnej zgody.

Oznacza to dezaktualizację dawnego typu opozycji. Stara opozycja polega jeszcze na gromadzeniu różnych punktów widzenia, które nie są tolerowane i nie mogą być wyrażone. Ale my jesteśmy ponadto centrum tworzącym programy działania. Poprzednio powoływano się na prawa człowieka, niezależne myślenie i język, teraz zbieramy różne pomysły, aby wypracować nowe programy działania. A to jest centralna sprawa w kryzysie kadaryzmu: brak myślenia programowego, nieistnienie innej przyszłości niż kadaryzm.

Skoro powstają nowe polityczne grupy, to jest to już zarys rozwoju pluralizmu. Samizdat, albo opozycja demokratyczna jak ją się nazywa, przestaje być jedynym źródłem niezależnej myśli politycznej na Węgrzech.

U.M.: Istnieje więc nowa opozycja, w połowie drogi pomiędzy państwem a opozycją

odrzuconą - tak jak to pan opisał? Czy istnieją wewnątrz instytucji państwowych grupy, które działają niezależnie?

HARASZTI: To jest inna, trzecia droga. Rozmawiam z Zielonymi i z Populistami, którzy na ostatnim spotkaniu utworzyli koalicję. To oni próbują znaleźć odmienną drogę między państwem a "odrzuconą" opozycją.

U.M.: Opozycyjność Populistów, tak jak ją rozumiem, związana jest z grupą narodową, która usiłuje bronić węgierskich interesów narodowych wewnątrz istniejącego układu, na przykład przez obronę węgierskiej mniejszości w Rumunii. I w tej sprawie Populiści będą czasami współdziałać z rządem.

HARASZTI: Dokładnie tak. Baza Populistów związana jest z istnieniem węgierskiej mniejszości narodowej poza granicami Węgier. Jest to zarodek partii narodowej, ale nie w znaczeniu partii prawicowej. Podstawowa różnica między Populistami a "opozycją odrzuconą" polega na tym, że Populiści chcieliby utrzymać status legalny i działać w świetle jego niezbędności nawet gdy starają się podtrzymać swój niezależny charakter. Wywodzi się to z ich filozofii politycznej, w której najważniejszym uzasadnieniem działania jest podtrzymywanie narodowości. Każdy rząd, który jest gotowy do osiągnięcia celów narodowych - a obserwujemy, że to właśnie robią reformując się reżimy komunistyczne - jest lepszy dla podtrzymania narodowości na Węgrzech. Jest tu kontynuacja polityczna wywodząca się jeszcze z lat trzydziestych. Populiści znajdują się w "quasi-koalicji" z opozycją i w "quasi-opozycji" wobec reformatorów w rządzie.

U.M.: Czy pan jako uczestnik "opozycji odrzuconej" dostrzega dzisiaj rozwój grup niezależnych?

HARASZTI: Wewnątrz "opozycji odrzuconej" rozkwita w tej chwili wiele różnych punktów widzenia. Poprzednio, jednoczącym tematem były prawa człowieka. Teraz wyrażane są różne filozofie. "Beszélő" może być określone jako grupa lewicowo-liberalna, pozostałe są bardziej konserwatywne. Ale nie można jeszcze odnaleźć wyraźnie zróżnicowanych ugrupowań politycznych. Opozycja na Węgrzech organizuje się jeszcze wokół różnych przedsięwzięć i publikacji.

U.M.: Ile pism i publikacji ukazuje się teraz na Węgrzech?

HARASZTI: Istnieją cztery główne pisma polityczne i wielka liczba artystycznych, niepolitycznych. Oczywiście, przez sam fakt publikacji w formie samizdatu mają one charakter polityczny, ale nie ma w nich żadnej politycznej tendencji. Jest też duża ilość pism redagowanych przez ekologów i pism literackich. Jednak więcej nadziei pokładam w fakcie, że może być jeszcze wiele pism, o których po prostu nic nie wiem. Jest także wiele publikacji studenckich, które się pojawiły niedawno. Są one półoficjalne i mają zgodę władz, jednak przestałyby się ukazywać, gdyby poddano je cenzurze.

U.M.: Znam dwa pisma: "Beszélő" i "Demokrata". Czy mógłby pan wymienić kilka innych tytułów?

HARASZTI: Istnieje grupa o nazwie Vox Humana, jest to grupa młodych radykałów, którzy publikują pismo pt. "Égtájak Között". Ukazuje się także "Hírmondo" - dziennik, który jest najbliższy ideałowi magazynu złożonego z serwisu informacji.

U.M.: Jaki jest nakład tych publikacji?

HARASZTI: "Beszélő" ukazuje się w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy, pozostałe w mniejszym. Można jednak założyć, że jeden egzemplarz jest czytany przez pięciu czytelników. Pisma krążą

przede wszystkim wśród intelektualistów, a w mniejszym stopniu wśród robotników. Nie ma jednak gazety dla robotników i nie będzie jej dopóki nie nastąpi zmiana w postawie klasy robotniczej. W systemie stworzonym przez Kadarę robotnicy unikają polityki, chociaż nie akceptują kadaryzmu. Zawsze, oczywiście, istnieją wyjątki i wśród czytelników naszych pism zdarzają się także robotnicy. Jednakże jeśli porównamy tę sytuację z tym, co jest w Polsce, to Węgry znajdują się jeszcze w fazie sprzed roku 1976.

U.M.: Czyżby więc przykład Solidarności był nieistotny dla węgierskich robotników?

HARASZTI: Robotnicy węgierscy przyglądali się Solidarności z wielkim zainteresowaniem, ale także z wielkim pesymizmem. Ich punkt widzenia już w momencie wybuchu strajków w Sierpniu 1980 r. był następujący: całe to przedsięwzięcie jest przegraną sprawą, a Polacy nie nauczyli się lekcji, którą Węgrzy poznali wcześniej. Myśleli więc, że ich pesymizm został potwierdzony przez coup d'état Jaruzelskiego, który umocnił jeszcze syndrom roku '56 wśród robotników węgierskich.

To, co teraz obserwujemy jest całkowitą schizofrenią, i to nie tylko w środowisku robotników, lecz także we wszystkich warstwach społeczeństwa węgierskiego. Z jednej strony, wszystkie założenia i pojęcia kadaryzmu skończyły się ruiną. Ludzie otwarcie wyrażają swój stosunek do Kadarę. Są w opozycji do systemu. Nienawidzą go i doskonale wiedzą, co należałoby zrobić. Wiedzą, czego rząd nie jest w stanie zrobić i widzą jak bardzo jest on obłudny. Ale te postawy nie przekształcają się w społeczną aktywność. Z wyjątkiem kilku wyjątków, o których wspominałem. Interesujące jednak, co z tego wszystkiego wyniknie.

U.M.: Zapytam pana zatem o "Beszéls" - jakie są nadzieje redakcji na dalszy rozwój wypadków? Opublikowany ostatnio program pisma przedstawia się czytelnikowi z zewnątrz jako część tej politycznej nieokreśloności, którą pan opisał. Brzei on niemal tak jakby reprezentował jakąś frakcję w Partii. Na przykład, redakcja wykląda na wstępie swój program i żąda uznania Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej i jej przewodniej roli na Węgrzech - z tej racji, że partia ta dysponuje najlepszymi przywilejami wykonawczymi. W takich ramach "Beszéls" formuluje program reform, aby wywierać nacisk na rząd.

HARASZTI: Nie jest to najlepsza lektura tego tekstu. Sam program nie jest nakreślony dla rządu. Jest skierowany do ludzi, którzy zadają następujące pytanie: "Czy istnieje coś, czego możemy żądać?". Problem Węgier, problem węgierskiej psychologii politycznej polega na tym, że ludzie są schizofreniczni. Wiedzą doskonale na czym polega zło, ale nawet nie ośmielają się mieć nadziei, że to właśnie czyni sensownym formułowanie żądań. Boją się represji, jakie rząd może zastosować wobec społeczeństwa. A przede wszystkim boją się o siebie. Boją się takiej sytuacji, w której węgierska tragedia mogłaby się powtórzyć. Tak właśnie klęska roku '56 ujawnia się w postawach ludzi.

Próbujemy dotrzeć do tych ludzi, mówiąc im, że możliwe jest formułowanie żądań, bezceremonialne wyrażanie konieczności odrzucenia rządów partii. Że możliwe jest żądanie gwarancji w życiu społecznym i politycznym. I na tych założeniach oparty jest ten program. Możliwe jest domaganie się gwarancji, reguł prawnych, w ramach których partia podtrzymuje swoje przywileje, ale tylko tam, gdzie są one precyzyjnie określone.

W tym sensie znajdujemy się na etapie roku 1976 w Polsce i stosujemy taktykę Komitetu Obrony Robotników.

U.M.: Ale KOR ewoluował poprzez strategię tworzenia instytucji, w sferze życia społecznego, podziemną organizację, znajdującą się poza państwem i nie akceptującą systemu z zamiarem pracy wewnątrz niego. W tym właśnie punkcie, ze względu na uznanie kierowniczej roli Partii - co było, dodam przy okazji, źródłem wielkiego konfliktu w Polsce, gdy Sąd Najwyższy rejestrował Solidarność - opozycja wydaje się tracić swą tożsamość jako opozycja.

HARASZTI: Ma pani rację jeśli chodzi o KOR i koncepcję "nowego ewolucjonizmu". Ale jest to zbyt abstrakcyjne przeciwstawienie, aby wokół niego organizować i mobilizować ludzi; dla pracy poza systemem albo dla formułowania wobec niego żądań nie jest aż tak istotne rozstrząsanie tych różnic. Program pisma "Beszélő" nie jest ograniczony, lecz ekspansywny. Szuka on środków służących wyrażaniu żądań: aby powiedzieć rządowi, że takie a takie sprawy nie mogą być dalej prowadzone w taki a taki sposób, że niezbędne jest określenie reguł życia społecznego i politycznego, to znaczy konstytucyjna stabilizacja dyktatury partii po to, by przejść do monarchii absolutnej do, by tak rzec, jej konstytucyjnych ograniczeń. W realizacji tego programu może się nawet okazać niezbędne odwołanie do pomocy liberalnego, reformatorskiego skrzydła Partii, a przez to rozszerzenie zakresu gwarancji.

Podstawowy problem polega na tym, że silne społeczeństwo nie pomniejsza władzy partyjno-państwowej, jak tego byliśmy świadkami w grudniu 1931 r. Stan stworzony przez Jałtę nie zmienił się w wyniku działalności Solidarności czy na skutek

wydarzeń roku 1956. Widzieliśmy, co stało się z siłami, które zwały się w Polsce - tj. z władzami partyjno-państwowymi z jednej strony i z silnie zorganizowanym społeczeństwem z drugiej. Ten konfrontacyjny kurs doprowadził do roku 1981, kiedy to rzeczywista siła władzy państwowej stała się jasna. Niemożliwe jest wewnątrz istniejących ograniczeń jałtańskich wyobrazić sobie sytuację, w której władza partyjno-państwowa zrezygnowałaby ze swoich wszystkich przywilejów.

Nasza strategia polega nie tylko na organizowaniu silnego społeczeństwa, lecz także na obcinaniu, kawałek po kawałku, siły władzy partyjno-państwowej - poprzez żądania wolności, poprzez domaganie się, aby te wywalczone wolności były przynajmniej częściowo włączane w system prawny.

U.M.: To znaczy - bo żądania, które pan wypowiada są konfrontacyjne - że Partia Komunistyczna chętnie zrezygnuje ze swojej władzy do tego stopnia...

HARASZTI: Nie. Partia nigdy chętnie nie zrezygnuje z władzy. Zamiast tego proponujemy, żeby partia zrezygnowała z niektórych swobód. A to jest robione przez organizowanie silnego społeczeństwa. Spróbuję wyrazić się jaśniej: nie rezygnujemy w celu, jakim jest wolność - stwierdzamy to wyraźnie w naszym programie. Tutaj celem nie jest wymuszenie ostatecznego celu, lecz odrzucenie "aksamitnego więzienia", w którym intelektualista powiada: "Jestem wolny ponieważ milczę". Stwierdzamy coś przeciwnego: być wolny, to znaczy formułować żądania i wywierać presję na władze.

U.M.: Ale czyż tu nie kryje się właśnie niebezpieczeństwo, które opisał pan w

"Aksamitnym więzieniu", niebezpieczeństwo wpadnięcia w pułapkę zastawioną przez liderów oświeconego komunizmu? Drut kolczasty może zostać odsunięty na nowe tereny, ale nadal będziecie ogrodzeni kolczastym drutem.

HARASZTI: Trzeba tu rozróżnić dwie sprawy. Mieszkańcy "Aksamitnego więzienia" nie myślą o formułowaniu żądań, podczas gdy ci, którzy akceptują "umowę społeczną", stale mają te żądania w pamięci. Obie te postawy - nazwane tu "aksamitnym więzieniem" i "umową społeczną" - uznają, że nie sposób zmienić systemu w ostatecznym sensie; system jest bowiem wytworem umów jałtańskich. Natomiast wielka różnica polega na tym, że celem tej drugiej postawy jest żądanie wolności. Żądanie wolności ograniczonych nie jest jeszcze zdradą; zdradliwa jest natomiast sytuacja, gdy granice kompromisu nie są jasne wytyczone między partnerami.

Podstawową treścią "nowego ewolucjonizmu" jest idea, że społeczeństwo musi formułować żądania poprzez samoorganizowanie się. Abstrakcyjny problem organizowania się poza systemem nie przetrwa próby czasu, jeśli silnie zorganizowane społeczeństwo nie wtargnie w system prawny państwa.

U.M.: Sformułował pan wcześniej następującą analogię: monarchia absolutna ewoluuje ku monarchii konstytucyjnej. Czy rzeczywiście ta analogia jest właściwa?

HARASZTI: Oczywiście, być może Francja jest dobrym przykładem. Ale w tej chwili Anglia jest lepszym wzorcem.

U.M.: Jednak w Anglii potrzebna była przemoc rewolucyjna aby doprowadzić do takiej sytuacji.

HARASZTI: A następnie do Restauracji a potem jeszcze do powstania umowy społecznej. To jest klasyczny przykład. Nawet mimo różnicy czterech wieków ta

analogia doskonale pasuje do tego co pragniemy wypróbować we Wschodniej Europie.

U.M.: Pragnę na koniec zapytać o różnice między podobnymi ugrupowaniami opozycyjnymi na Węgrzech. Na przykład pismo "Demokrata" nie zaakceptowałoby konieczności uznania przywilejów partyjnych.

HARASZTI: Pismo "Demokrata" nie sformułowało programu jako takiego. Nie sądzę, żeby istniały między nami zasadnicze różnice polityczne. Podkreślamy natomiast, że istnieje przestrzeń, w której można działać politycznie - nawet jeśli twierdzi się - słusznie - że aparat partyjno-państwowy nie zrezygnuje na tym etapie historii ze swej władzy. Jednakże "Demokrata" w swoich programowych publikacjach podkreśla fundamentalne wartości demokracji. Jeśli pani woli oni byli bliżej koncepcji nowego ewolucjonizmu, budowania niezależnego społeczeństwa. W naszym programie stwierdzamy, że nie wystarczy budowanie silnego społeczeństwa; jest to zaledwie warunek wstępny i dlatego należy dążyć do pobudzania wszelkich możliwych niezależnych inicjatyw. Sugerujemy jednak robić coś więcej: budować niezależne społeczeństwo, ale także zdobywać każdy kawałeczek legalnego i politycznego życia, który jest możliwy do zdobycia. Nie rezygnować z tak podstawowej koncepcji walki tylko dlatego, iż sądzi się, że - w ostatecznym rozumieniu "władzy" - jest ona beznadziejna. Nadzieja jest wtedy, gdy się żąda.

Z angielskiego tłumaczył Jerzy Malewski

OPOZYCJA W PAŃSTWIE KOMUNISTYCZNYM
/Rozmowa z György'm Konrád'em/

/.../ 15 marca - w dniu narodowego święta upamiętniającego upadek powstania przeciw Austrii w 1848 r. - 10 tysięcy ludzi przemaszewowało ulicami Budapesztu i wysłuchało przemówień członków opozycji demokratycznej. Kilku działaczy opozycji zostało zatrzymanych podczas trwania manifestacji, ale poza tym policja nie interweniowała. Jednak 16 czerwca policja brutalnie i wielokrotnie atakowała grupę około 500 demonstrantów, którzy zebrali się w 30-tą rocznicę egzekucji Imre Nagya. 27 czerwca odbyła się największa demonstracja od czasów rewolucji 1956 roku: około 50 tysięcy ludzi udało się pod ambasadę rumuńską aby zaprotestować przeciwko planowi prezydenta Ceaucescu, którego celem jest zniszczenie przeszło połowy wsi rumuńskich - w większości zamieszkałych przez etnicznych Węgrów.

György Konrád, pisarz i uczestnik węgierskiej opozycji demokratycznej, rozmawiał z redakcją Uncaptive Minds w kilka dni po demonstracjach 16 czerwca.

x x x

UNCAPTIVE MINDS: Śledząc ostatnie demonstracje w Budapeszcie i inne wydarzenia tego roku, czy nie ma pan wrażenia czegoś w rodzaju déjà-vu? Czy jest dzisiaj na Węgrzech coś, co przypomina panu atmosferę roku 1956?

GYÖRGY KONRÁD: Tak, przypomina mi się wiosna i lato roku 1956, które były okresem wielkiego przyspieszenia zmian społecznych. Teraz, podobnie jak w roku 1956, idee zakazane w jednym miesiącu, w następnym pojawiają się jako powszechnie znane oczywistości. Jesteśmy dzisiaj świadkami

kolejnego okresu nadętej retoryki - i czasu, gdy ludzie, którzy dotąd jedynie przypadkiem ujawniali niezależność swoich poglądów, przyłączają się do opozycjonistów działających już wiele lat. I dzisiaj, jak i wówczas, jedność opozycji rozłamuje się; powszechne żądanie, aby podstawowe prawa ludzkie nie były gwałcone nie jest już wystarczające. Społeczeństwo staje się coraz bardziej upolitycznione - coraz więcej jest sprzecznych koncepcji, propozycji reform i samych grup opozycyjnych.

U.M.: Istnieją grupy, które pragną porozumienia z rządem, ale inne wolą działać niezależnie. Czy ta różnica jest przyczyną powiększającego się rozpadu jedności opozycji? Albo; czy te podziały nie odbijają po prostu normalnego procesu formułowania różnych żądań?

KONRAD: Myślę, że jest to proces normalny. Przeżywamy okres politycznego fermentu i różne grupy artykułują różne żądania. I oczywiście istnieją różnice w strategiach działania, jakie proponują te grupy. Sama partia komunistyczna jest podzielona na różne frakcje a główną kwestią w partyjnych dyskusjach jest pytanie jak wiele swobody powinny mieć te frakcje i w jakich granicach partia powinna zrezygnować z centralizmu demokratycznego. Pod tym względem konferencja partyjna, którą częściowo pokazano w telewizji, była bardzo interesująca. Nieznani dotąd członkowie partii okazali się ludźmi nieustępliwymi i bez ogródek krytykującymi swych przywódców.

U.M.: jakie są różnice pomiędzy sytuacją dzisiejszą a rokiem 1956?

KONRAD: przede wszystkim dzisiaj działaniami ludzi nie kieruje poczucie moralnego upokorzenia przez okrucieństwo reżimu - a tak było wówczas. Masowy terror

tamtych dni jest dziś tylko wspomnieniem. Dzisiaj nie walczy się o uwolnienie ludzi z więzień, ponieważ w więzieniach pozostaje niewielu więźniów. Natomiast coraz większy niepokój ludzi wywołuje fatalne kierowanie krajem przez tę władzę. Weźmy na przykład sprawę zadłużenia. Na początku roku 1970 wynosiło ono miliard dolarów, teraz sięga już 17 miliardów. Te pieniądze zostały zmarnowane na subsydiowanie takich zakładów i takich gałęzi gospodarki, które są po prostu nierentowne. A na dodatek mamy jeszcze teraz nowy system podatkowy. Każdy musi płacić podatki, obliczane jak na Zachodzie, no i portfele obywateli stały się bardzo lekkie. Ponieważ ludzie wściekli z powodu konieczności płacenia tych podatków, zaczęli pytać co się dzieje z ich pieniędzmi. I w ten sposób mamy nowe zjawisko: obywatel podatkowy. Tak oto opozycja jest w istocie rzeczy opozycją klasy średniej a nie ruchem robotników. Ta zmiana jest prawdopodobnie uzależniona także od faktu, że zakłady przemysłowe, które rozwijaliśmy w latach 50-tych teraz są całkowicie przestarzałe i, w skutek tego, wielu robotników obawia się, że rządowa polityka reform ekonomicznych doprowadzi w pewnych branżach do masowego bezrobocia. Dlatego robotnicy niekoniecznie popierają reformy, które prowadzą do gospodarki rynkowej.

Dzisiejsze żądania zmierzają do sprecyzowania zasad prawnych w życiu publicznym, do nowego porządku konstytucyjnego, do jakiegoś Rechtstaat /państwa praworządnego/. Istnieją żądania nowego porządku konstytucyjnego, który gwarantowałby swobodę prasy i swobodę stowarzyszeń. Budżet państwa powinien być kontrolowany przez podatników. Ruch, który początkowo domagał się respektowania praw człowieka, teraz żąda umowy społecznej

między państwem a społeczeństwem. Opowiedział się za zmianami stopniowymi i domaga się modyfikacji konstytucji jako pierwszego kroku w tym kierunku.

U.M.: Dziwi mnie, że budżet państwa odgrywa na Węgrzech tak wielką rolę. W innych państwach komunistycznych, nawet jeśli podatki są pobierane, są one przeważnie konstrukcją fikcyjną, ponieważ ceny nie mają sensu.

KONRAD: Nie powiedziałbym, że ceny są zupełnie bez sensu. Ceny rosły nie tylko z powodu inflacji, ale także dlatego, że różne fabryki podnosiły ceny swoich wyrobów. Można by powiedzieć, że na Węgrzech mamy teraz ograniczoną gospodarkę rynkową. Starając się zwabić zachodni kapitał wprowadzono nieco prawnych gwarancji dla zachodnich inwestorów. Rząd próbuje także przyciągnąć kapitał swoich własnych obywateli do różnych przedsięwzięć typu kapitalistycznego. Po 20 latach reform ten kraj osiągnął taki stan, w którym w ciągu następnych kilku lat do pomyślenia jest konkurencja w dziedzinie własności środków produkcji.

Wracając do pańskiej uwagi, budżet jest problemem rzeczywistym. Stał się czymś w rodzaju obsesji zwykłych ludzi, tematem rozmowy niemal z każdym kierowcą taksówki czy personelem sklepu, z którym się stykamy.

U.M.: Mówiliśmy o różnicach między dzisiejszą sytuacją a rokiem 1956...

KONRAD: Tak, kolejna różnica polega na tym, że nasza klasa średnia jest prawdopodobnie dziś lepiej przygotowana intelektualnie niż w latach 50-tych. Wówczas rewolucję rozpoczęli rozzarowani komuniści - nazywani "rewizjonistami". Dziś sytuacja jest inna. W partii komunistycznej są ludzie, którzy nawet uważają się za socjaldemokratów. Mogłbym także dodać, że sfera życia publicznego znajdująca się poza

kontrolą partii staje się coraz większa. I stało się powszechnie oczywiste, że ta partia nie ma już absolutnie żadnego intelektualnego wsparcia.

U.M.: Ale jeszcze grupa Beszélő, największa spośród grup opozycyjnych, adresowała swój program polityczny, tzw. "Umowę społeczną", nie do społeczeństwa, lecz do partii.

KONRAD: Trzeba jednak pamiętać, że wpływy partii pozostają nadal bardzo duże. Ale powoli maleją w sferze ekonomii, spraw dotyczących społeczeństwa czy kultury. Tak więc problem polega na tym, w jaki sposób obszary, z których partia stopniowo się wycofuje, podporządkować prawu. Tworzenie demokracji i systemu wielopartyjnego z systemu jednopartyjnego, bez fundamentalnych zmian tego systemu, wydaje się przedsięwzięciem raczej beznadziejnym. Więc prawdopodobnie będziemy świadkami powstawania wielu grup, wielu partii czy organizacji, jednakże żadna z nich nie będzie reprezentować rzeczywistej politycznej przeciwności. Ale będzie to nowa forma organizacyjna. Dzięki takim ugrupowaniom odkrywamy rzeczywiste interesy społeczeństwa - nie tylko podstawowe prawa ludzkie.

Nikt nie jest zainteresowany w powstaniu masowego bezrobocia, ale wszyscy są za likwidacją subwencji dla nierentownych przedsiębiorstw. Z 660 miliardów forintów dochodu narodowego, 200 miliardów wydaje się na subwencje dla przedsiębiorstw, które nie przynoszą zysków. Ten system ekonomiczny musi być radykalnie zmieniony, jednak sama zmiana mogłaby wytworzyć tak wielkie społeczne napięcie, że rząd nie będzie w stanie zrobić nic w sferze gospodarczej. Dlatego niezbędne są inne ośrodki darzone zaufaniem, mające autorytet moralny, po to, aby kontrolować proces zmian.

U.M.: Rozpowaszecznianie się ostatnio klubów dyskusyjnych wydaje się przypominać sytuację z roku 1956. Społeczeństwu służą one jako ośrodki, w których można formułować żądania, natomiast władzy pomagają zrozumieć jakie są rzeczywiste aspiracje społeczeństwa. Jaka jest pańska opinia o tych klubach?

KONRAD: Najciekawsze kluby biorą udział w Forum Demokratycznym, w którym działają tak zwani Populiści i Sieć Wolnych Inicjatyw, i które skupia opozycję demokratyczną, nowe demokratyczne organizacje młodzieżowe, nowy wolny związek zawodowy uczonych i badaczy, grupy wyznaniowe i ekologiczne. Na Sieć składa się wiele różnorodnych zjawisk politycznych, ale grupy, które do niej należą nie nauczyły się jeszcze efektywnie współpracować. Trwają okropnie długie dyskusje, których celem jest wypracowanie wspólnej deklaracji. Do głównych kwestii, które są przedmiotem dyskusji, należy przede wszystkim pytanie, w jaki sposób sformułować konkretne propozycje ekonomiczne. A następnie: w jaki sposób uporządkować problemy narodowe dotyczące zamieszkujących Węgry grup etnicznych, takich jak na przykład Cyganie. Spory toczą się wokół pytania, czy należy traktować serio propozycję tzw. "Umowy społecznej" - czyli propozycję akceptowania partii komunistycznej jako istniejącej realnie siły, ale z prawnymi ograniczeniami jej władzy. Ludzie, którzy są rzecznikami takiej społecznej umowy skłaniają się ku czemuś w rodzaju konstytucyjnej monarchii, przynajmniej w fazie przejściowej, i wydaje się, że w partii znajdują się zwolennicy takiego rozwiązania.

Z angielskiego tłumaczył Jerzy Malewski

KILKA UWAG O KOMPROMISIE Z PARTIA KOMUNISTYCZNA

Program opublikowany przez redakcję "Beszélő" jest w wielu miejscach dobrze pomyślany i budzi zainteresowanie. Jednakże jeden maleńki problem rzuca cień na tę propozycję: jest ona, mianowicie, bezużyteczna, ponieważ autorzy przez rozpoczęciem planów całej tej konstrukcji zapomnieli wyjaśnić jej podstawowe zasady.

"Umowa społeczna" zaproponowana przez redakcję "Beszélő" jest w swej istocie rodzajem kompromisu pomiędzy opozycyjnymi grupami. Jednak zamiast rzeczywistego kompromisu znajdujemy w niej coś zupełnie innego. Nie jest to przykład wzajemnego poszanowania interesów, ale raczej ponowne odgrzewanie starej zasady cuius regio eius religio. Ta nieświeża idea mogłaby być skuteczna w niezorganizowanym społeczeństwie średniowiecznym, w którym poszczególne prowincje miały pewien rodzaj autonomii. Ale dzisiaj, na Węgrzech, nie widzę dla takiego "podziału terytorialnego" żadnej szansy. Jeśli dobrze zrozumiałem, autorzy tego programu wyodrębniają trzy terytoria: Wasze, Nasze i To Co Leży Pomiędzy. Wasze - to obszar spraw zagranicznych, obrony oraz instytucji gwarantujących lojalność wobec sojuszników. To Co Leży Pomiędzy obejmuje sprawy wewnętrzne i wymiar sprawiedliwości, na których funkcjonowanie będziemy jednak starali się wpłynąć. A cała reszta - to Nasze. Ten podział jest atrakcyjny i miły dla oka. Klucz do obsadzania ministerstw pozostanie w rękach właścicieli - uzurpatorów? - natomiast z wszystkich innych się zrezygnuje; a te, które pozostaną, będą po prostu coraz bardziej ulepszone.

Niech tak będzie - ale czy cała ta konstrukcja może w ogóle funkcjonować? Moim zdaniem - nie może. Jedynie najbardziej brutalna siła mogłaby utrzymać razem zasady rządzenia i poglądy, które są sobie nawzajem przeciwstawne.

W moim przekonaniu kompromis nie może polegać na dzieleniu problemów - na przykład: wy rozwiązujecie dany problem na swój sposób a my rozwiązujemy inny zgodnie z naszymi koncepcjami - ponieważ żaden problem nie może być oddzielony i traktowany odrębnie od pozostałych. Kompromis musi obowiązywać pod każdym względem, musi być przestrzegany nawet w najmniej ważnych sprawach; inaczej powstanie chaos i rozpoczną się gwałtowne walki, które zniszczą obustronne korzyści. Problem jest sprowadzany ad absurdum: istnieje tylko jedna wolność i ona jest niepodzielna. Nie mogą istnieć takie rzeczy jak mniejsza i większa wolność bez groźby naruszenia wolności w ogóle.

Złem jest jednak zaniechanie jednej sprawy przy domaganiu się supremacji w pozostałych. Niestety, gdziekolwiek czujemy się prawie tak jak w domu, nie możemy uwolnić się od wpływu naszych przeciwników, ten. naszych potencjalnych partnerów. Mogło by to oznaczać z naszej strony niepotrzebną i nieuzasadnioną rezygnację z korzyści, których dotąd nawet nie mamy. Dyskusji musi podlegać wszystko - we wszelkich okolicznościach alternatywne rozwiązania muszą być porównywane z tymi, które istnieją. W przeciwnym wypadku nie będzie to żaden kompromis, a co najwyżej czasowe zawieszenie broni.

W tym właśnie miejscu program opublikowany w "Beszélő" prowadzi na manowce. Na dowód gotowości do kompromisu autorzy rezygnują z podstawowego warunku wszelkiego kompromisu. A mianowicie: całkowitym milczeniem pomijają

najważniejszą kwestię, czyli "fundamenty" tego systemu oraz możliwość ich wzmocnienia lub przekształcenia. Można mój pogląd odrzucić, niemniej jestem przekonany, że siła partii opiera się na stałej obecności armii sowieckiej. Byłoby głupotą milczeć na ten temat i nie możemy tej sprawy odsyłać do wyłącznej decyzji partii, ponieważ nie jest to sprawa partii, ale nasza. I nie jest ważne czy kwestia ta pojawi się jakoo "przedwczesna" czy "polityczna", bo nie da się uniknąć mówienia o niej, ponieważ ona jest właściwym przedmiotem dyskusji.

Ogromna armia, której przysługuje całkowita eksterytorialność - nawet na najwyższych szczeblach rządu węgierskiego nic o niej nie wiadomo: o jej wielkości, uzbrojeniu i jej ruchach - stanowi dla nas wszystkich nieustanne zagrożenie. Strach przed interwencją mogłaby spowodować nieprzewidywalne zachowania jednej ze stron umowy społecznej, z kolei ta, za którą stoi siła, mogłaby pokusić się o zmianę samej istoty kontraktu. Nienaruszalna umowa społeczna jest zatem przedsięwzięciem wątpliwym, ponieważ jej ważność mogłaby być stale kwestionowana.

Propozycja umowy społecznej musi być zatem uzupełniona o wstępny rozdział, w którym stwierdza się, że celem zawierających ją stron jest ochrona własności obywateli węgierskich w ich ojczyźnie, obrona ich suwerenności i śladanie wycofania wojsk okupacyjnych. Odpowiedni punkt dotyczący tej sprawy może tylko je przyspieszyć.

Z angielskiego tłumaczył Jerzy Malewski

List anonimowego autora; pierwodruk w niezależnym czasopiśmie węgierskim "Demokrata" /nr 7-8, 1987/

PROZA

HAING NGOR

KAMBODŻAŃSKA ODYSEJA /fragmenty/

"Kambodżańska odyseja" to coś więcej niż tylko autobiograficzna powieść o mrozących krew w żyłach przygodach jednego człowieka. To dokument ludobójstwa i oskarżenie przed trybunałem światowej opinii publicznej.

Haing Ngor /ur. w 1947 r./, do zamachu stanu Pol Pota dobrze prosperujący lekarz w stołecznym Pnom Penh, został przez Czerwonych Khmerów deportowany na wieś i wcielony do niewolniczej komuny robotników rolnych. Zataił wykształcenie i prawdziwy zawód, ukrył się pod nazwiskiem Samnag i spreparował życiorys, żeby ocalić siebie i swoich bliskich przed niechybnym wyrokiem śmierci. Więziony i torturowany przeżył cztery lata pod reżymem Pol Pota /którego nazwiska w owym czasie nigdy nawet nie słyszał; słyszał tylko o jednym z prowincjonalnych kacyków Angce/, stracił jednak całą rodzinę: rodziców, siostrę, małe dziecko. Po inwazji Wietnamu na Kambodżę udało się uciec z kraju i przez Tajlandię przedostał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie rozpoczął kampanię mobilizującą

światową opinię publiczną do pomocy dla znów rządzonej terrorem, okupowanej i wynaradawianej ojczyzny.

Wystąpił w filmie Rolanda Joffé o tragedii swego narodu pod rządami Czerwonych Khmerów; za rolę korespondenta "New York Times'a" w Pnom Penh otrzymał nagrodę Oscara. W całości obrócił ją na pomoc dla uchodźców z Kambodży. Popularność postanowił zdyskontować dla wypowiedzenia własnego świadectwa o Kalwarii swego narodu; to właśnie "Kambodżańska odyseja".

W wywiadzie dla "Paris Matcha" Haing Ngor powiedział: "Hitler był przerażającym monstrum, ale prowadził wojnę i zabijał - ze swego punktu widzenia - wroga. W Kambodży Pol Pot i jego Angka dokonali ludobójstwa na własnym narodzie. Mówili naszym językiem, kiedy odbierali nam nadzieję. Zgładzili połowę mojego narodu. Nie ma na świecie drugiego takiego kraju jak dzisiejsza Kambodża, której większość mieszkańców to wdowy, sieroty, kaleki i szaleńcy. /.../ Moja życiowa misja - to uratować to, co jeszcze zostało z Kambodży, zanim zostanie pochłonięte przez Wietnam. Rząd Hanoi zaplanował nasze zniknięcie z ziemi. /.../ Całe prowincje Kambodży zostały już skolonizowane przez Wietnamczyków. Powtarzam wciąż: nasza Kalwaria nie skończyła się jeszcze, ona trwa. Jesteśmy prawdopodobnie ostatnim pokoleniem Kambodżan. Nie przestaną o tym krzyżeć na całym świecie". Haing Ngor ma nadzieję, że uda mu się doprowadzić do powołania międzynarodowego trybunału - na podobieństwo norymberskiego - do osądzenia winnych

zbrodni ludobójstwa w Kambodży.

Fragmenty "Kambodżańskiej odysei"
podajemy w tłumaczeniu z wydania
francuskiego /Paris 1988, éd.
Fixot-Fillipacchi/; wydanie polskie
jest przygotowywane w Wydawnictwie
PoMOSi /Red./

x x x

Czerwoni Khmerowie obudzili nas o
czwartej nad ranem biciem w dzwony. Już
teraz zmęczeni, moja żona, Huoy, i ja
wstaliśmy z hamaków, by poszukać dzbana
z wodą i przetrzeć oczy. Na tle wygwieź-
dzonego nieba rysowały się sylwety innych
rodzin. Niektórzy próbowali jeszcze zyskać
na czasie, by zasnąć choć na minutę, ale
nie było takiego sposobu, który pozwalałby
na ucieczkę od jęków dzwona. Były one nie-
przejednane, zacięte, przeniakające na
wskroś.

Wkrótce zaczęły trzeszczeć i pogwiz-
dywać głośniki. Zaraz potem rozległy się
nad obozowiskiem pierwsze dźwięki narodo-
wego hymnu: "O, czerwona, świetlista krwi,
która pokryła miasta i równiny Kampu-
czy, naszej Matki-Ojczyzny; o, krwi szla-
chetna robotników i chłopów; o, krwi
wzniosła rewolucjonistów i bojowników;
mężczyzn i kobiet krwi pomieszana. O, krwi
naszej walki nieprzejednanej i zwycięs-
kiej; o, krwi, któraś 17 kwietnia, pod
sztandarem rewolucji, uwolniła nas z
niewolnictwa! Niech żyje nam błogosławio-
ny 17 kwiecień..."

Zaczął się nowy dzień na "froncie prac".

O czwartej trzydzieści dzwon zadzwo-
nił ponownie. Zrazu wolno, potem zwawiej.
Czerwoni Khmerowie dzwonili zwykle w ten
sposób trzykrotnie. Mnisi, przed rewolucją,
uderzali tak w bębny - zrazu wolno, by
skończyć przeciągłym warkotem. Też trzy-
razy z rzędu. Sygnałem tym nawoływali wier-
nych do modlitwy. Niewątpliwie nieświa-

domie, Czerwoni Khmerowie używali tego samego rytmu, by zaważać nas do pracy. W ramach nowej religii ustanowionej przez Angkę, ciężkie, przymusowe roboty, były oznaką rewolucyjnego oddania, poświęcenia.

Po drugim dzwonieniu, Huoy i ja, dołączyliśmy do ekipy, która kopala kanały irygacyjne. Małe grupki, złożone z kilkunastu osób, idących na indyjski sposób, jedna za drugą - zaczęły się kierować w stronę placu budowy./.../

Praca polegała na kopaniu ziemi, na podawaniu jej w koszach z rąk do rąk, aż na szczyt nasypu. Kanały ciągnęły się w nieskończoność w nieprzyjemnej poświacie. Tuż obok kopaly inne ekipy. Miała z tego kopania powstać mocno zagęszczona sieć irygacyjna.

Czerwoni Khmerowie twierdzili, iż sieć ta napełni się po wręby w porze deszczowej, by potem dać wodę w porze suchej. Czerwoni Khmerowie mieli dużo zaufania do tego systemu pozyskiwania wody. "Będziemy mieli po trzy zbiory rocznie! - przemawiało kierownictwo entuzjastycznie. - Nikt nie będzie cierpiał głodu! A jeżeli Stany Zjednoczone zaatakują nas, to podkopiemy się pod Pacyfikiem i zawojujemy Amerykę!"

Zaświtało. Horyzont zabarwił się na różowo. Tuż obok mnie westchnął człowiek. Wiedziałem, o czym myśli: nie będzie chwili oddechu, jednego dnia wolnego od pracy, ni jednej minuty radości. Tylko przymusowe prace na wieczność...

"Nie myśleć o tym. Podnieść tylko motykę i ją opuścić. Nie wyczerpywać sił; udawać. Patrzeć tylko na najbliższy szczyt. Kiedy go osiągniemy, skierują nas gdzie indziej. Ale gdzie? Na równinę, czy na pola ryżowe? Równiny są łatwiejsze do kopania, ale na polach ryżowych jest zwierzyna! Te węże, które nim zdołały schować się w szczelinie kawałkowaliśmy motykami! Jakże Huoy

była zadowolona, kiedy przyniosłem jej raz mój kawałeczek węża. Uśmiechnęła się, od dawien dawna, po raz pierwszy!".

Kopaliśmy, a głośniki nadawały hymn. Pac, pac, pac rozlegało się na wszystkie strony w gorące bezchmurnego dnia. Pot oblawał ciało bezustannie, ale nie czułem już tego.

-Towarzysze! Przerwa!

Wszyscy rzucili motyki i wyszli z kanałów. Poszedłem do Huoy, która czekała na mnie w cieniu drzewa /.../ Posiliłem się gorącą wodą /.../

- Do roboty, towarzysze!

/.../

Pod koniec poranka słońce zaczęło się nam wprost walić na głowy a z głośników płynęło bezustanne "O, czerwona krwi wzniosła..."

Znałem każde słowo tej pieśni na pamięć.

"... zjednoczyć siły, by zbudować Kampuczę wspaniałą i demokratyczną. By zbudować nowe społeczeństwo równości i sprawiedliwości. Podtrzymujmy linię niezawisłości i suwerenności i wiary w siebie! Brońmy stanowczo o odwagę naszej Matki-Ojczyzny, naszej ziemi uświęconej i naszej świetlanej rewolucji".

"I naszej straszliwej rewolucji" - zanuciłem cicho /.../

Po hymnie mieliśmy prawo do wysłuchania pieśni zatytułowanej: "Hurra żołnierzom-rewolucjonistom, odważnym, silnym i wspaniałym". Po niej, do pieśni: "Nowe bezpieczeństwo dla miast i wsi pod światłem wspaniałej rewolucji". A potem do: "Nasi wspaniali towarzysze walki walczą o naukę sposobu rewolucyjnego życia".

Znałem te wszystkie pieśni i nienawidziłem ich. Motyką, na dnie kanału rzeźbiłem głośnik, by zaraz potem porąbać go na kawałeczki; zaraz potem zaczynałem od nowa rzeźbić /.../

W porze śniadania zadzwonił dzwon. Natychmiast zaczęły się formować kolejki

idących w stronę wspólnotowej kuchni, by w niej otrzymać mizerne racje kaszy.

Bang, bang, bang!

Wszyscy powstali, by odnieść miski.

Ten dzwon doprowadzał mnie do szaleństwa.

Bang. Bang. Bang. Bang-bang. Bang-bang. Bang-bang. Bangbangbangbangbangbangbang...

Popołudnie podobne było do ranka, tyle że dłuższe i gorętsze. Ani tchnienia wiatru w kanale. Motyka wydała mi się dwa razy cięższa a prace ekipy niewiele posuwały się. Przyznano nam prawo do przerwy na papierosa, a po przerwie puszczone muzykę, by przyspieszyć rytm prac. Dałbym nie wiem co, by zagrano coś innego, ale kooperatywa miała tylko jedną kasetę.

"O, czerwona, wzniosła krwi!"

Nadszedł najgorszy moment dnia. Koniec popołudnia. Zwykle o tej porze przychodzili żołnierze, by aresztować ludzi. Nigdy nie było wiadomo, ilu tym razem będzie aresztantów i ile egzekucji. Ta niepewność sprawiała, że chwile oczekiwania na żołnierzy były nie do zniesienia.

Kiedy właśnie odłożyłem motykę, by po raz tysięczny odesłać kosz z ziemi na górę - zobaczyłem zbliżających się w świetle zachodzącego słońca żołnierzy... Było ich trzech. Maszerowali równiną prosto na mnie. Serce zabiło mi, napełniłem nerwowo kolejny kosz i odesłałem na nasyp, żołnierze skręcili w inną stronę, by zabrać dwu mężczyzn; ręce skrupowano im na plecach. Co zrobili ci nieszczęśnicy? Lepiej było sobie nie zadawać takich pytań.

Zakonem Czerwonych Khmerów było milczenie. Nie było tu innego trybunału, prócz trybunału Angki.

Ci dwaj mężczyźni, być może pracowali niezbyt wydajnie, a może podkradali żywność. Być może zadenuncjował ich jakiś szpicel... Mężczyźni zniknęli. Oto wszystko. Wiedziałem, że pewnego dnia

nadejdzie i moja kolej /.../

Pracowaliśmy do późna w świetle księżyca. Lub raczej, udawaliśmy, że pracujemy, wydobywając na powierzchnię tyle ziemi, by nie podeszli do nas wartownicy, właśnie wtedy, kiedy ktoś, kolejno, odpoczywał rozciągnięty na dnie kanału /.../

O północy poprzez pohukiwanie sów i cykaninę świerszczy przedarł się do nas dźwięk dzwonu. Otepiali, skierowaliśmy się ku naszym hamakom.

Cztery godziny później, dzwon znowu nas obudził. Teraz - jeść i spać. Myśleliśmy wyłącznie o tym /.../

Pewnego dnia znalazłem w lasku dzikie owoce i napełniłem nimi kociołek, którą ukryłem w krzaczkach w pobliżu naszego hamaka. Kiedy w jakiś czas potem wróciłem do kryjówki - kociołka nie było. Zapytałem o nią sąsiadów, ale nikt niczego nie widział. Huoy i ja, zjedliśmy stroskani naszą kaszę i wyciągnęliśmy się w hamakach. Podeszli do nas dwaj chłopcy; palili papierosy i przyglądali się nam, kręcąc w palcach tymi papierosami, w czym nieudolnie usiłowali naśladować starych palaczy.

- Towarzyszu, Angka chce ciebie widzieć, pośpieszcie się!

Usiadłem w hamaku. Serce zaczęło mi walić, wiedziałem już kim są ci chłopcy - szpiclami! Szpiclami!

Trochę byli już zbyt starzy jak na szpicli, mieli po około dwanaście lat. Ubrani byli w za obszerne pantaiony. W Battambang chłopcy w ich wieku nosili już mundury Czerwonych Khmerów. Rodzice tych tu musieli, widać, zadać sobie wiele trudu, by uzyskać dla nich odroczenie od wcielenia do wojska.

To śmieszne - myślałem, podczas gdy dwaj chłopcy obserwowali mnie - dzisiaj jedni młodziankowicie stają się szpiclami, innych wciela się do wojska. Nie istnieje

już dzieciństwo. Przed rewolucją ci sami chłopcy uczyliby się uprawiać pola ryżowe swych ojców, szliby do szkół, lub w świątyniach pomagali by mnichom. Uczyliby się szacunku dla starszych.

- Pospieszcie się, towarzyszu!

W ich krzykliwych głosach wyczuwało się irytację i niecierpliwość. Gdyby to byli moi synowie, spoliczkowałbym ich.

- Minutkę, proszę. Włożę tylko koszulę.

- Mój mąż zaraz z wami pójdzie. Dlaczego mówicie do niego tym tonem. Ubierz się tylko i pójdzie.

Huoy na chwilę powrócił sposób bycia nauczycielki. Wielu chłopców w wieku tych dwu, przeszło przez jej ręce.

- Do zobaczenia, kochanie!

Odszedłem pełen ufności. Chłopcy szli za mną. Nie byłem zbyt niespokojny. Gdyby chodziło o coś naprawdę poważnego, Angka wysłałby po mnie żołnierzy, by aresztowali mnie po południu. Szpicle byli zbyt młodzi, by powierzać im ważne zadania.

Chłopcy przyprowadzili mnie przed dom w stylu Czerwonych Khmerów - strzechą wspartą na czterech palach. Przed nią zobaczyłem szefa. Szef kooperatywy siedział w hamaku.

Tors miał nagi, stopy oparte o ziemię. Zaciągał się papierosem, którym kręcił w palcach. Był szczupły, smagły; włosy miał gładkie i sprężyste, usta szerokie a wargi grube. Uśmiechał się:

- Towarzyszu...?

- Samnag.

- Świetnie towarzyszu Samnag. Powinnościście powiedzieć Angce całą prawdę. Dzisiaj rano chłopcy zrobili inspekcję u was i znaleźli kobiałkę dzikich owoców. Oto moje pytanie. Dlaczego nie oddaliście tej kobiałki kooperatywie do kantyny? Dlaczego nie oddaliście kobiałki Angce, ku korzyści wspólnoty? Dlaczego chcieliście kobiałkę schować wyłącznie dla siebie?

- Towarzyszu komendancie, ostatniej nocy poszedłem szukać pożywienia do lasku, ale znalazłem tylko owoce. Było ich za mało dla wszystkich.

- Chcieliście zatem zachować je dla siebie jako rzeczy osobistego użytku? Wiecie dobrze, że to jest zabronione.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Chłopcy powiedzieli mi również, że nazwaliście swoją żonę "kochanie". Nie ma już więcej żadnych "kochanie" u nas. To zabronione.

Zbiegli się żołnierze. Komendant siedział nadal w hamaku spokojny i uśmiechnięty. Oskarżał mnie o przestępstwa małej wagi, postanowiłem więc złożyć uroczystą samokrytykę i obiecać, że więcej błędów nie powtórzę.

Usłyszałem zza pleców niski, autorytatywny głos żołnierza:

- Kto dał towarzyszowi zezwolenie, by szedł szukać pożywienia? Odpowiedzieć, towarzyszu!

- Nikt, towarzyszu. Poszedłem z własnej woli. Złe postąpiłem. Jestem pełen skruchy.

- Widzisz sam, że masz za dużo wolności. Ty uważasz chyba, że jesteś jak jakiś wolny ptak, ale tak naprawdę to ty jesteś reakcjonista.

- Towarzyszu, nie mówcie tak. Ja szanuję prawa ustanowione przez Angkę. Jeżeli Angka powie mi, że postąpiłem źle, to zgodzę się z tym i nigdy więcej już ni postąpię podobnie.

Komendant odezwał się słodziutko:

- Zatem sam rozumiesz, że postąpiłeś źle. Ale to za mało!

Żołnierz o autorytatywnym głosie rzekł:

- Towarzyszu komendancie, trzeba go odesłać do więzienia.

Żołnierze zabrali mnie.

Poszliśmy leśną ścieżką do więzienia. Żołnierze szli ze mną, trzymając mnie uwiązanego na sznurze tak, że krew z trudem

cyrkulowała.

Zatrzymaliśmy się na jakiejś polanie, której nie znałem. To było więzienie. Węzienie było długim domem z bambusa, z dachem ze słomy i falistej blachy. Kazano mi usiąść i żołnierze odeszli.

Z budynku dobiegły mnie jakieś przytłumione głosy. Z wewnątrz coś odrażająco śmierdziało. Jakiś czarny przedmiot, którego nie udało mi się zidentyfikować, zwisał z krawędzi dachu.

Godzinę później odnalazł mnie więzienny strażnik i poprowadził na plantację mangowców. Drzewa były tu wysokie, dobrze utrzymane, posadzone w regularnych odstępach. Do każdego mangowca przywiązany był więzień.

Siedziałem za strażnikiem wzdłuż szpaleru drzew. Przeszliśmy obok kobiety

przytroczonej za stopy i ręce do czterech rogów drewnianej ławy. Ubranie miała poszarpane, co obnażało ją w obsceniczny sposób.

Odwróciła ku nam głowę i spojrzała obłędnie: - Ratujcie mnie, błagam!

Czerwone mrówki pokrywały jej ręce i ramiona, z koniuszków placów ściekała krew.

Strażnik poprowadził mnie kilka metrów dalej i rozluźnił sznur, co wykorzystałem, by ruchami przywrócić krążenie krwi. Potem strażnik posadził mnie na ziemi, plecami do pnia drzewa; przywiązał mnie do rękami do tyłu. I odszedł bez słowa.

Zacząłem się modlić: "Jeżeli muszę umrzeć, to niech to się stanie z godnością".

Coś zaczęło mi łązić po szyi. Czerwona mrówka! Potarłem głową o pień drzewa, usiłując ją zabić. Poczułem inną na plecach.

Tuż przy drzewie było mrowisko. Siedziałem obok niego. Zacząłem się miotać na wszystkie strony, by uwolnić się od mrówek. Udało mi się zabić kilka palcami rąk, które

miałem związane w nadgarstkach. Inne - na piersi - zmiążdżyłem podbródkiem. Jeszcze inne - pocierając nogę o nogę. Ale mrówek było coraz więcej. I coraz bardziej agresywnych. Im bardziej z nimi walczyłem, tym bardziej na mnie nacierały. Czułem ich ukłucia nawet wtedy, kiedy wcale mnie nie gryzły.

To już była wystarczająca tortura.

Pod koniec popołudnia wynurzył się z lasku jakiś człowiek. Był wysoki i miał ufryzowane włosy. I czarne spodnie. Sandały kauczukowe. I zegarek na ręce. Pod czarną bluzą dostrzegłem błękitne polo: to Montagut. Przed rewolucją, polo Montagut było bardzo modne w Phnom Penh /tak jak teraz koszule Lacoste/. Polo to było made in France, bardzo wygodne i przewiewne. Czerwoni Khmerowie zaadoptowali je. Podobnie jak "kramas" z jedwabiu, takie polo było symbolem statusu społecznego. Khmerowie, którzy nienawidzili przedrewolucyjnej klasy rządzącej, pożąдали jej symboli.

Człowiek o ondulowanych włosach trzymał w rękach toporek i obcęgi. Usiadł na ławce obok przytroczonej kobiety, leżącej jak udręczony ptak o rozpostartych skrzydłach.

- Gdzie jest twój mąż?

Ich głosy dochodziły do mnie.

- Powinnaś powiedzieć prawdę Angce. Jaka rangą miał twój mąż w wojsku? Kapitan? Porucznik? Mów prawdę.

- Nie wiem, gdzie on jest. Ale nie był żołnierzem... ani kapitanem, ani porucznikiem... nie był wcale żołnierzem.

- Kłamiesz ciągle Angce!

Mężczyzna wstał, wszedł na ławę. Przydeptał nogą rękę kobiety, złapał za coś i pociągnął.

Przerażające wycie wypełniło polanę.

Mężczyzna wyprostował się. Z obcęg zwisało coś krwawego.

- Jeżeli nie powiesz prawdy, jutro wyrwę

ci drugi paznokieć, jeżeli powiesz - Angka cię uwolni.

Kobieta prężyła się z bólu na ławie:
- Mówię prawdę! Zabij mnie! Teraz! Nie mam już nic do dodania! O, matko moja! Matko! Zbaw mnie!

My Kambodżanie, zwracamy się do matki, kiedy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Mężczyzna odeszedł od niej i podszedł do mnie. Tak. To było błękitne polo Montagut. Z kieszeni na piersi wystawały mu dwa długopisy. Pochylił się nade mną:

- Powiedz mi prawdę. Kto ci pozwolił iść szukać pożywienia.

- To ja sam, z własnej woli, towarzyszu. Byłem głodny!

- To Angka nie daje ci wystarczająco jeść?

- Tak, tak... dosyć jeść... ale ja byłem ciągle głodny.

- Winienesz być pracować. Takie przechadzki, to niesprawiedliwość w stosunku do towarzyszy.

Zacząłem mówić, ale mnie nie słuchał. Zapytał mnie znienacka, czy jestem Wietnamczykiem, czy Chińczykiem. Odpowiedziałem, że ani jednym ani drugim.

- Co robiłeś przedtem? Czy byłeś kimś ważnym w rządzie Lon Nola?

- Nie! Nie! Byłem taksówkarzem!

- Jaki samochód prowadziłeś?

- 404. Peugeot 404.

- Trasy?

- Zwykle długie kursy. Phnom Peng - Takeo lub Battambang. Takie kursy, jakich żądali klienci. Tak było aż do czasu, kiedy drogi zostały zamknięte dla ruchu z powodu walk. Potem zostałem w Phnom Penh.

- Niestety. Nie byłeś taksówkarzem. Kłamiesz.

- Ależ tak, towarzyszu. Byłem. Naprawdę! A moja żona sprzedawała warzywa na rynku. Kiedy warzyw zabrakło sprzedawała cukierki i ciastka.

- Kłamstwo. Nie byłeś taksówkarzem. Powinieneś powiedzieć prawdę Angie, jeżeli chcesz jeszcze zobaczyć żonę.

- Mówię całą prawdę, towarzyszu.

Mężczyzna zawołał strażnika. Podczas, gdy strażnik trzymał mnie za głowę, mężczyzna w niebieskim polo, położył moją dłoń na korzeniu mangowca i zmiażdżył ją butem. Potem odciął mi toporkiem mały palec. Przerażający ból przeszył moją rękę i eksplodował mi w mózgu.

- Nie kradnij więcej pożywienia. Jeżeli zrobisz to jeszcze raz Angka będzie bezlitosny.

Puścili mnie, ale strażnik nie był usatysfakcjonowany:

- Powinno mu się jeszcze odciąć wielki palec u nogi. To by mu, żarkokowi, przeszкодziło w przechadzkach!

- To niezła myśl. Podtrzymaj mu nogę.

I człowiek o dwu długopisach zamierzył się na moją nogę. Walnął w nią toporkiem nie na tyle silnie, by odciąć mi stopę, ale zranił mnie do kości.

- I jeszcze jedno: nie nazywaj więcej twojej żony "kochanie". Masz ją nazywać "towarzyszko-żono". A ona ma cię nazywać "towarzyszu-bracie"/.../

Obejrzałem nogę: biała kość wychynęła z dwu warg rany pełnej krwi. Małego palca u ręki nie mogłem dojrzeć. Usiłowałem nim poruszyć. Pomimo wszechobecnego bólu czułem, że go nie mam. Czerwone mrówki, przywabione krwią, pożerały moją dłoń. Nie zwracałem już na to uwagi.

Myślałem gorączkowo: trzeba zatrzymać krwotok i zapobiec infekcji. Zacząłem kopać plecą ziemię tak, że udało mi się tą ziemią pokryć ranę na nodze. Zrobiłem to również mimo potwornego bólu, z kikutem małego palca u ręki.

Nie pamiętam reszty dnia. Półprzytomny spałem. Oprzytomniałem dopiero wtedy, kiedy mrówki zaczęły się dobierać do moich oczu.

Udało mi się je strząsnąć, pocierając twarzą o bark.

To była długa noc. Słyszałem jakiś kobiecy przytroczonej do ławy, czułem odór jej ekskrementów.

Rankiem, mój oprawca powrócił. Odwiązał mi ręce i podał miseczkę ryżu. Wreszcie zobaczyłem, co mi zrobił z małym palcem. Przeciął go na pół. Kikut pokryty był ziemią, przez którą prześwitywała kość.

Oprawca nakazał mi, bym się nie śmiał ruszyć. Nie było takiego ryzyka: nie miałem sił na ucieczkę, a poza tym myślałem, że i tak mnie uwolni.

Kiedy odeszedł, obejrzałem się i za drzewem zobaczyłem odciętą połowę mojego palca pokrytą mrówkami. Nie przerażyło mnie to: ten kawałek palca nie był już mój.

Usiadłem możliwie najwygodniej i lewą ręką obmacałem węzły chłonne; były nabrzmiałe. Zebrałem myśli. Udało mi się odszarpać kawałeczki bluzy i okręcić nimi nogę i kikut.

Strażnik więzienny przywiązał mnie na nowo po południu. Przyprowadził też ze sobą nowego więźnia: kobietę w ciąży. Kiedy przechodzili obok mnie, kobieta powtarzała, że jej mąż nie był żołnierzem. To chyba było główne oskarżenie w tym więzieniu. Kobieta błagała, by ją oszczędzić. Przywiązana została do drzewa tuż obok mnie.

W pewnym momencie jakiś nieznan mi Czerwony Khmer podszedł do niej z długim nożem w ręce i zaczął ją przesłuchiwać. Nie rozumiąłem wszystkiego. Ale to, co się potem z nią stało, sprawia, że do dzisiaj rzygam na samo wspomnienie. Nie mogę inaczej opisać tej sceny jak tylko rzeczowo: Khmer rozciął jej brzuch i wyszarpnął dziecko.

Odróciłem głowę, by nic nie widzieć. Ale nie mogłem nie słyszeć jej agonijnego wrzasku, który przeszedł w skwyt. Potem

zapadła cięza. Kobieta była martwa.

Zbrodniarz przeszedł spokojnie koło mnie, trzymając płód za pępowinę. Przywiązał ten płód do krawędzi dachu więzienia tuż obok innego płodu, już szerniałego, wysuszonego, zmumifikowanego.

Każde drzewo miało swojego więźnia a każdy więzień miał inny rodzaj kary. Mężczyzna, który odciął mi palec i ten, który rozciął brzuch kobiecie, byli tylko dwoma takimi od brudnej roboty. Dwoma pomiędzy wieloma z personelu więzienia.

Nigdy nie byłem świadkiem zabójstwa z premedytacją wykonanego przez zawodowych morderców przed sterroryzowanymi świadkami, oczekującymi swojej kolei. Nigdy, nigdy, nigdy. Okrucieństwo istniało także za Sihanouka i za Lon Nola. Wojska prorsądowe traktowały w sposób barbarzyński cywilów pochodzenia wietnamskiego i żołnierzy Czerwonych Khmerów. Ale nie nie dorówna tym tutaj haniebnym wyczynom: tej rozkoszy w eksperymentowaniu tortur, rozkoszy mordowania, wykonywania wyroków z taką zimną krwią. Nie spałem całą noc.

Cienie szakali przemknęły plantacją. Zwiastowały trupa kobiety. Zaczęły ją pożerać pomrukując i trzaskając szczękami. Widziałem je dobrze w świetle księżyca, jak szarpały ciało głośnie powarkując. Było ich ze cztery. Gdyby podeszły do mnie, nie byłbym w stanie się obronić. Nie mogłem opanować strachu: narobiłem w portki.

Oprawca w błękitnym polo powrócił rankiem, wyrwał kobiecie na ławce drugi pannokieć, mną zaś się przestał interesować. Po południu podeszło do mnie dwu nowych strażników i zapytało, co robiłem przed rewolucją. Odpowiedziałem: byłem taksówkarzem. Wydawali się satysfakcjonowani i odwiązali mnie. Usiłowałem wstać, ale udało mi się tylko przyklęknąć na kolana. Zaczęli mnie poszturchiwać. Wstałem.

Odeszliśmy z więzienia tą samą drogą, którą przyszliśmy. Moja prawa noga była nabrzmiąta jak bania. Za każdym stąpieniem przeszywał mnie ból /.../ Maszerowaliśmy pośród ryżowych pól, leżących odłogiem. Więzienie zniknęło mi z oczu. Jeden ze strażników zapytał mnie: - Widzisz ten kopiec? Wleziesz na niego i powiesz nam prawdę. Jeżeli nie zaśniesz na nim na wieki.

Jeżeli chcieli mnie zabić, to miałem to gdzieś. Bardziej obchodziło mnie, by stało się to szybko. Wlazłem na szczyt i kontynuowałem marsz między drzewami i kraakami.

- Zatrzymamy cię na następnym wzgórku!

Ale przeszliśmy i ten następny wzgórek a oni mnie nie zatrzymywali. To samo wydarzyło się i przy trzecim wzniesieniu. /.../ Całą uwagę skupiłem na tym, by stawiać mały kroczek a potem podskoczyć. Strażnicy mogli zrobić ze mną, co im się żywnie podobało, nie mogłem im w tym przeszkodzić.

- Zatrzymaj się!

Zatrzymałem się. Kopnęli mnie. Upadłem.

- Teraz powiesz nam prawdę. Pośpiesz się, bo jak nie, to cię ukatrupimy.

Wyartykułowałem wolno:

- Byłem taksówkarzem. Oto prawda.

Powiedzieli, że kłamię i skopali mnie. Upadłem w rów... wyciągnęli mnie /.../

- Czy ty chcesz żyć, czy nie? Jeżeli nie powiesz prawdy, zaraz zdechniesz. /.../ Jeżeli będziesz żył, nie z tego nie będziemy mieli. Jeżeli umrzesz, niczego nie stracimy.

Potem podnieśli mnie i pokuśtykałem znowu w stronę następnego pagóra.

- Czy ty chcesz wrócić do siebie, czy nie? Czy ty chcesz aby naprawdę zobaczyć żonę?

Odwrociłem się w ich stronę, patrząc

na nich pokornie, powieki opuszczone: - Tak. Jeżeli zechcecie, bym poszedł, pójdę. Jeżeli zechcecie mnie zabić, zabijecie. To wy decydujecie.

Rozluźnili sznur. Bez wątpienia udzieliłem świetnej odpowiedzi, przyznając im prawo do mojego życia i do mojej śmierci. Słysząc to, co im powiedziałem, było dla nich taką samą rozkoszą, jakby mnie już zabijali.

- Naprzód! Nie oglądać się. Możesz iść do siebie!

Spojrzałem na pobliski zalesiony pagórek. Bieleły na nim ruiny małej świątyni, i to był jakiś punkt odniesienia. Moim ostatnim miejscem zamieszkania była kooperatywa położona półtora kilometra od tego pagórka na południe. Mogłem zaledwie kuśtykać, miałem trudności z oddychaniem, a kikut powiększył się trzykrotnie. Ale teraz, kiedy nie byłem już więcej uwiązany do sznura, mogłem poruszać prawym ramieniem i ból trochę zelżał. Znalazłem kawałek bambusa, który posłużył mi jako laska.

Każda błotnistej wody zalegała dna jednego z kanałów.

Zdjąłem ubranie i padłem w nią szczęśliwy. Obmyłem się zdrową ręką.

Boki miałem całe w krwiakach, ale kołci były całe.

Spodnie były uwalane kałem, ale nie miałem siły ich wyczyścić dobrze. Ubrałem je. Mokre ubranie kleiło się do mnie. Podciągałem spodnie i poszedłem.

Lewa noga. Przystanek. Mały kroczek na prawej nodze i skok przy pomocy bambusowej laski.

Lewa noga, prawa noga. Prawa noga, lewa noga.

Do kooperatywy doszedłem pod wieczór. Prace zostały ukończone i ludzie wypoczywali na pagórku. Nie byli pewni, czy wolno mi pomóc, a ja ich o pomoc też nie prosiłem. Huoy leżała w naszym hamaku i patrzyła

pusto w przestrzeń. Sąsiedzi krzyknęli, że nadchodzi. Skoczyła na równe nogi i zaczęła biec do mnie, objęła mnie ramionami i pomogła iść "do nas".

Huoy przywiodła mnie do hamaka, ale nie chciałem się położyć na nim, dopóki nie będę czysty. Ktoś przyniósł matę i wyciągnąłem się na niej. Sąsiedzi otoczyli mnie kołem w milczeniu. Huoy szlochała. Zagotowano wodę i Huoy, razem z innymi kobietami, obmyła mnie. Używały swoich kramas jako ręczników. Teraz wszyscy już szlochali. Teraz wiadano już, co się dzieje z tymi, którzy znikają: byłem żywym przykładem najgorszych przypuszczeń.

Dostałem prezent: ampułkę ampicyliny i ampułkę tetracycliny, dwie aspiryny i pewne lecznicze zioła. Otworzyłem ampułki antybiotyków i połowę zawartości wylałem na rany, resztę zachowując na później.

Stara kobieta, która obdarowała mnie ziołami leczniczymi, powiedziała na głos to, o czym wszyscy myśleli po cichu:

- Samnag, a może tyś coś zmalował w twoim poprzednim życiu? Być może teraz cię za to ukarano?

- Tak. To może być tak. Myślę, że moja "karma" nie jest taka "czysta".

Haing Ngor
Tłum. Zyta Oryszyn

RECENZJE

JOANNA LERSKA

ŚŁAWA I INFAMIA WG PROFESORA BOHDANA KORZENIEWSKIEGO

Jest to książka w równym stopniu fascynująca i drażniąca, walcząca z mitem i tworząca mit, stojąca na usługach tzw. "obiektywnej prawdy" i skrajnie subiektywna. Taka właśnie jak jej główny bohater - osiemdziesięcioletni dziś profesor Bohdan Korzeniewski. Bo przy wszystkich zasługach Małgorzaty Szejnert, autorki paru świetnych tomów reportaży, współtwórczyni /z Tomaszem Zalewskim/ dokumentacyjnej książki "Szczecin, grudzień-sierpień-grudzień" - jej postać ginie całkowicie w cieniu rozmówcy. Nie tylko dlatego, że ten porusza się w temacie doskonale sobie znanym a dla Szejnert - mimo bardzo solidnego przygotowania - nowym; także dzięki niezwykle efektownym zaletom interlokutora - jego nad wyraz błyskotliwej inteligencji, złośliwości zawsze dbałej o osiągnięcie celu i wyrafinowanie; doskonałej /prawie dziś niespotykanej/ umiejętności wyrażania myśli - i tych, które się chce formułować wprost i tych, które mają być ledwie sugestią. Zalety te dane było podziwiać nie tylko czytelnikom recenzji i esejów Korzeniewskiego ale i jego rozmówcom; podziwiać i padać ich ofiarą.

Być może z tego ostatniego powodu o podobnej książce nie pomyślał nikt z ludzi teatru, przynajmniej tych, którzy skłonni byłiby przeprowadzać wywiady. Może i dobrze - powstałaby wówczas rzecz interesująca i ekscytująca profesjonalistów; "Sława i infamia" w obecnym kształcie jest książką dla każdego, co więcej poprzez fakt, iż pytania zadaje ktoś, kto do głębokiej wiedzy o przedmiocie nie jest zobowiązany z tytułu swego zawodu, nieparaliżowany więc uczuciem fałszywego wstydu przed zadawaniem pytań zbyt "prostych" - porusza sprawy, uchodzące w środowisku za oczywiste, nawet wówczas, gdy oczywistość ta jest pozorna.

Nie oznacza to zresztą, by Małgorzata Szejnert podchodziła do sprawy z demonstrowaną nonszalacją Teresy Torzeńskiej, pozbawiona jest też jednak ambicji, towarzyszących Jackowi Trznadłowi. W tak modnej dziś formie wywiadu prezentuje - by wyrazić się niezręcznie lecz jasno - styl trzeci. Z pewnością skuteczny, choć w sposób widoczny krępowany onieśmieniem wobec autorytetu rozmówcy. Bo w całkowitym przeciwieństwie do Torzeńskiej i częściowym do Jacka Trznadła - autorytet ten jest dla niej absolutnie oczywisty; wynika z dokonań, doświadczeń, wieku i obecnej pozycji Korzenińskiego w świecie opozycyjnej kultury. Dlatego zapewne, mimo iż niejednokrotnie zgłasza celne wątpliwości, nie dociska zbyt surowo tam, gdzie zrobić by to należało.

A "Sława i infamia" - choć wolno ją z pewnością zaliczyć do edytorskich wydatków drugiego obiegu - poza prezentacją faktów i ich interpretacją, którą uznać można za niewątpliwą, jest w znacznej swej części książką dyskusyjną a nawet niesprawiedliwą. Należy to podkreślić tym silniej, iż ogromna ilość czytelników skłonna będzie

z pewnością traktować każde jej słowo jako rzecz do bezkrytycznego uwierzenia, nie zaś jako podniecie do refleksji.

Znaczny /co nie znaczy generalny/ sprze-
ciw budzi rozdział pierwszy dotyczący lat
okupacji, opatrzonej apodyktycznym i jedno-
znacznym tytułem, udzielonym zresztą całej
książce. Problemem głównym, sprowokowanym
przez Szejnert jest tu tzw. "kolaboracja"
aktorów, termin przez Korzeniewskiego
zresztą kwestionowany, funkcjonujący jed-
nak potocznie jako swoiste nieposłuszeń-
stwo wobec norm etycznych powszechnie w
okresach zagrożenia zaakceptowanych. A
więc niekoniecznie drastyczna zdrada, ra-
czej uległość wobec partii czy władzy spo-
łeczeństwu /lub społeczności/ wrogiej bądź
niemiłej. Wedle Korzeniewskiego brzmiałoby
to w okresie okupacji tak: "wykonywanie
dobrowolne zarządzeń niemieckich /.../,
wymierzonych w wartości chronione przez
polskie państwo podziemne". Przymiotnik
"dobrowolne" należałoby tu - jak wynika
z kontekstu - uzupełnić lub zastąpić przy-
miotnikiem "świadome".

W wypadku środowiska teatralnego za
tak pojętą "kolaborację" uchodzi działal-
ność w warszawskich /i jednym, późnym,
krakowskim/ teatrzykach jawnych, realizują-
cych - przez na ogół haniebnie prymitywny
repertuar - zarządzenie szefa Głównego
Urzędu Propagandy GG, którego punkt 3
brzmiał: "organizowanie pod ścisłą kontrolą
teatrzyków rewiowych o najniższym poziomie
artystycznym i moralnym /z przewagą porno-
grafii/ dla udowodnienia, że Polacy zdolni
są tworzyć jedynie taką sztukę oraz dla
stwierdzenia swobodnego rozwoju kultury
na terenie GG".

Tekst zarządzenia brzmi tak jednoznacz-
nie, iż istotnie formuła o kolaboracji
/nawet w sensie zdrady/ nie budzi wątpli-
wości. Tyle tylko, że zarządzenie było

dokumentem "ściśle tajnym" i - o ile wiem - jego tekst podany został do ogólnej wiadomości dopiero po wojnie /fragment przytoczony pochodzi z "Pamiętnika Teatralnego" 1963/. W kwietniu 1940, gdy otwarto pierwszą rewię - Teatr Varieté "Kometa" /występowała m.in. Barbara Bittnerówna/, nie było z pewnością wiadomo nic ponadto, iż rozpoczynają działalność sceny o poziomie wprawdzie niskim ale nie niespotykanym w dwudziestolecu, a więc nie pozbawione tradycji - choć oczywiście tradycji najgorszej, najbardziej prymitywnej, grające w języku polskim, nie wymagające żadnej bezpośredniej propagandy proniemieckiej i dające żadnym tego aktorom możliwość "wygrania się" /sam Korzeniewski przyznaje: "Aktor musi mieć występ. Musi się potwierdzić: żyć na scenie. Ta sztuka ma w sobie coś z żywiołu"/. Przed jesienią 1940 r., gdy ZASP na tajnym zebraniu zabronił aktorom występów w teatrach jawnych, działało już 5 teatrzyków rewiowych, Komedia oraz scena dla Polaków przy Teatrze Powszechnym /d. Polski/ w Warszawie. Występy na scenach stały się więc dla wielu aktorów formą życia, z której - w myśl posłuszeństwa Uchwale ZASP - trzeba było rezygnować a nie wstrzymywać się od niej od początku, co zawsze łatwiejsze, zresztą sama Uchwała wielu mogła wydawać się nicobowiązująca. Zarząd ZASP został wprawdzie wybrany w wolnych wyborach /co podkreśla Korzeniewski wielokrotnie/ ale na czas pokoju a nie wojny.

Inny wymiar miały oczywiście imprezy takie jak "Heimkehr", film mający ukazywać okrucieństwo Polaków wobec przebywających w Polsce "dobrych Niemców", inny nie tylko ze względu na swój uwłaczający propagandowy charakter ale i poprzez fakt, iż aktorzy zostali przez reżysera poinformowani czemu będą służyć /wycofał się wtedy m.in. Kazi-

mierz Junosza-Stępowski, pozostali m.in. Bogusław Samborski i Tadeusz Żelaski/. Podobnie ze spektaklem pokazywanym już w roku 1943! przez nowo zorganizowany Teatr Objazdowy GG, prezentującym sztukę Haliny Rapackiej "Kwarantanna", nagrodzoną rok wcześniej w konkursie "Żydzi - wszy - tyfus plamisty". Wśród występujących tam kilkunastu polskich aktorów nie spotyka się wszakże ani jednego głośnego nazwiska.

Oczywiście nie tak trudno było zauważyć jaką funkcję pełniły rewie, wielu aktorów dokonywało zapewne wyborów mimo tej wiedzy, ale wielu zapewne tej świadomości nie miało lub umiało ją skutecznie zagłuszyć. Tak jak pisał w roku 1945 Jaracz w "Memoriale w sprawie Komisji Weryfikacyjnej ZASP": "Ogół aktorstwa polskiego aż do ostatnich czasów znajdował się raczej w stanie artystycznie nieuświadomionym a szmira czaiła się w każdym teatrze, nie wyłączając najbardziej renomowanych i wybuchała za łada kryzysem w całej pierwotnej mocy". Jest rzeczą znamioną, że procent wybitnych aktorów, nie stosujących się do uchwały ZASP był nikły /Junosza-Stępowski, Jerzy Leszczyński, Węgrzyn, Halicka, z komediowych szczególnie aktywny Dymśa, Antoni Fertner, z reżyserów Stanisława Perzanowska/, a w dodatku o ich wyborach decydowały często powikłane osobiste losy, a nierzadko występy w teatrach jawnych nie wykluczały działalności w podziemiu.

Co więcej, wolno powiedzieć, że prawie wszyscy aktorzy i reżyserzy świadomi funkcji jakie winien pełnić - wraz z całą polską kulturą - teatr i to nie tylko w czasie okupacji - jak Schiller, Wierciński, Jaracz, Wysocka, Osterwa, Adwentowicz, Zelwerowicz, Jan i Jerzy Kreczmarowie, Pronaszko, Damiński, Korzeniewski, Byrscy, Zofia Małynicz, Cwiklińska, Barszczewska, Kurnakowicz, Wyrzykowski i wielu, wielu

innych - odmawiali jakiegokolwiek działalności artystycznej akceptowanej przez okupanta, a większość związana była, w różnym charakterze, z teatrem tajnym. W książce o tym się mówi, jednak bez siły wystarczającej na to, by na czytelniku dalekim od teatru nie wywołać wniosku, który sformułował w postłowie Wójciech Adamiecki: "Jeżeli wydobycie na pierwszy plan w okresie okupacji zjawiska kolaboracji wśród aktorów, nie omijającej wielu świetnych nazwisk, w pierwszym momencie szokuje nas jako czytelników i widzów, mających na ogół nabożny stosunek do teatru, dzieje się to przecież dlatego, że w polskiej tradycji tak mocno ugruntowana jest skłonność do mitologizacji i heroizacji". Wolno mniemać, że rozmija się to z intencją Korzenińskiego i jego w paru miejscach wyrażoną opinią. Wiąże on przecież, że postawa przeważającej większości środowiska teatralnego wobec okupanta nie dostarcza materiału ani do demitologizacji ani deheroizacji. Korzeniowski manifestacyjnie okazuje nietolerancję, czy raczej daleko posuniętą nieprzenikliwość na argumenty tych, których zwalcza. W najlepszym razie uznaje je za małej wagi lub załgane. Można /a w pewnym stopniu nawet należy/ odnosić się z rezerwą do tego, co tuż po wojnie pisali "kolaboranci", nie znaczy to jednak, by wolno było kwestionować z surowością Katona absolutnie wszystko, co służyć ma "obronie". Kiedy Janusz Minkiewicz, w czasie wojny współautor /pod pseudonimem "Kieliszek"/ rewii, w pierwszym numerze "Odrodzenia" 1944 na dość eksponowanym miejscu broni teatrów jawnych, to wolno domniemywać, że udzielono mu szpalt nie całkiem bezinteresownie; Minkiewicz zgłosił szybki akces do pracy w rozgłośni radiowej w Lublinie, określając w ten sposób swój pozytywny stosunek do PKWN: Trudno jednak podejrzewać o podobne

intencje "Tygodnik Powszechny", ponad dwa lata później /1946 nr 42/ drukujący Niewiarowicza. Zresztą i argumentom Minkiewicza nie sposób odmówić pewnej racji, niezależnie od tego czy one akurat przesądzały o przyjętej przezeń postawie. Są to racje wysuwane w wojennym jeszcze sporze między grającymi w teatrach jawnych i tzw. "knapciarzami" /Uchwała ZASPU zezwalała aktorom na występy w kawiarniach/. Alternatywa moralna: występy w teatrach jawnych czy "kelnerowanie" /znamienne, że nie wspomina się tu w ogóle o teatrach tajnych/ przedstawiona tu jest jako pozorna: "aby lokal /kawiarnia/ się utrzymał trzeba było mieć znajomości wśród Niemców. Trzeba było mieć z nimi przyjazne stosunki, wsuwać im w ręce łapówki i pić alkoholem - przecież cały interes był nielegalny". "Co lepiej widzieć: Ćwiklińską na scenie w płaskiej sztuczce /co się przecież i przed wojną często TKKT zdarzało/ czy obserwować ją jak biegnie z paczką zapalek aby zadość uczynić zamówieniu gestapowca" /identyczny argument wysunie Niewiarowicz: "Pojawiają się tu głosy, że pozytywniejszym zjawiskiem są Węgrzyn i Stępowski grający niż podający wódkę"/. Jan Kreczmar replikował wprawdzie: "jestem w zgodzie ze swoim sumieniem, że wówczas gdy setki rodaków ginęły co dzień w ruinach getta, gdy mury Warszawy płonęły od czerwonych plakatów z niekończącymi się listami rozstrzelanych, nie byłem zmuszony pokazywać na scenie uśmiechniętej twarzy, która miała świadczyć wobec społeczeństwa i świata, że życie w GG płynie spokojnie i normalnie", ale nie przesądził do końca problemu.

Wbrew sugestiom Korzeniewskiego podział nie był bowiem wcale jednoznaczny a wybory "grać" czy "kelnerować" naprawdę nie mogły stanowić ostatecznej instancji moralnej. Część "kelnerów" z pewnością uległa "demo-

ralizującej atmosferze knajpiarskiej", o której pisze Minkiewicz /zarabiano tu niejednokrotnie o wiele więcej niż w teatrach jawnych, o czym Korzeniewski, wyliczając zarobki Perzanowskiej i Niewiarowicza, nie wspomina/ i na korzyść tej akurat decyzji świadczą jedynie ci artyści, którzy jak Barszczewska, Lindorfówna, Jan Kreczmar, Wyrzykowski i in. nie ograniczali swej pracy wyłącznie do kawiarni, odwrotnie brali czynny udział w tajnym życiu teatralnym: Z kolei - jak już pisałam - w teatrach jawnych pracowali ludzie związani z podziemiem: Teatr Komedia /o poziomie artystycznym wyższym zresztą od rewii/ był meliną AK; tak w każdym razie /unikając oczywiście nazwy AK/ pisał o tym Niewiarowicz i nikt, o ile mi wiadomo, nie zdementował tego oświadczenia, a Sąd po wojnie uznał zasługi konspiracyjne Niewiarowicza, aresztowanego zresztą w 1943. Korzeniewski mówi o tym z apodyktyczną pogardą: "Niewiarowicz rzeczywiście był w kontrwywiadzie ale nie wierzę w jego głębsze zaangażowanie /.../ miał mnóstwo znajomych oficerów /.../, spotykał się z nimi i mówił - daj mi jakieś zadanie /.../. Musiał coś mieć. Jakieś alibi dla tych swoich interesów w teatrze". Podobnie o Szalawskim: "Niedawno czytałem w jego nekrologach, że zmarł bohater państwa podziemnego. Dlaczego nie starał się nigdy o rehabilitację?" Dlaczego nie robił tego Szalawski w czasach tuż powojennych weryfikacji, powinien Korzeniewski dobrze wiedzieć, potem mógł nie mieć już na to ochoty: Nawet jeśli nieufność byłaby w obu wypadkach usprawiedliwiona nie wolno jej bez przekonywających dowodów podawać w tak kategorycznej formie.

Wynika ona jak się zdaje właśnie ze swoistej mistyfikacji roli teatru i prowadzi do dwu zdumiewających stwierdzeń. Pierwsze zawarte jest w "Sławie i infamii"

i brzmi: "Co więcej waży - czy rola Niewiarowicza w kontrwywiadzie czy jego rola w teatrze okupacyjnym? Ja bym wolał, żeby on do kontrwywiadu nie należał a tym teatrem tak się gorliwie nie zajmował". Drugie pochodzi sprzed lat 15, z rozmowy ze Zbigniewem Raszewskim w "Pamiętniku Teatralnym": - "Raszewski: Czy uważa Pan, że Węgrzyn postąpił nieprzyzwoicie grając w teatrze prowadzonym przez Niemców? - Korzeniewski: uważam, że postąpił nieprzyzwoicie nie stosując się do zarządzeń Związku, którego był członkiem" /a gdyby ów Związek nie zabronił występów?/.

Nie idzie mi o lekceważenie problemu a tym bardziej rozgrzeszanie z działalności tak czy owak podejrzanej. Rozgrzeszanie to jest niesłuszne i w sferze potrzeby zwykłej ludzkiej sprawiedliwości, o czym pisał Waldorff na marginesie uwag o weryfikacji: "Niechże poczuje, że jeśli przez 6 lat żył na chlebie niemieckim to nie może dziś cieszyć się tymi samymi uprawnieniami co jego koledzy, którzy przez 6 lat klepali biedę jeśli nie siedzieli w zgoła po obozach koncentracyjnych" /"Tygodnik Powszechny" 1946 nr 29/. Jest niesłuszne także z powodów głębszych, które przywołuje Korzeniewski: "Postawa wobec Niemców miała większe znaczenie dla naszej świadomości niż losów", świadomość była zaś niezbędnym warunkiem przetrwania.

Tak jest już zresztą, iż tzw. sprawiedliwość dziejowa wyznaczana jest społeczeństwom i jednostkom wedle miar najwyższych - więc także niekoniecznie związanego immanentnie z ich naturą bohaterstwa. Tyle tylko, że nie tak prosto orzec co jest bohaterstwem większym: brak akcesu do jawnego teatru czy np. ukrywanie Żyda z przywołanego przez Szejnert filmu "Jak być kochaną"? Trudno też nie przyznać Szejnert racji, gdy mówi "przyczyn okupacyjnych

decyzji należy szukać w każdym człowieku z osobna". A jeśli nawet uznać, że racje jednostkowe nie wazą zbyt w ostatecznym rozrachunku, to przecież ta brutalna lecz wsparta doświadczeniem konstatacja nie musi iść w parze z uczuciem pogardy. A tak się czyta passus o Perzanowskiej i jej chorej córce.

Sprawą oddzielną jest kwestia "kolaboracji" pod okupacją radziecką. Przywoływana często, dziś szczególnie, gdy o konieczność zmywania "białych plam", także tych z lat 1939-40 na Wschodzie, dopomina się publicznie nawet prof. Marian Stąpień jakby zapominając, iż powstawały nie bez jego czynnego do niedawna udziału. Pojawiała się jednak i wcześniej, właściwie od początku: wprost u Ortyma, dopominającego się w prasie emigracyjnej o swoistą sprawiedliwość /mająca być w jego wypadku i samousprawiedliwieniem/: skoro potępienie występów w GG, to i we Lwowie, Wilnie, Białymstoku, Grodnie. Ale pytanie to stawiał w zawołanej z konieczności formie i w swym "Memoriale" Jaracz /"wydane wyroki skazują kolegów na ciężkie kary za branie udziału w przedstawieniach teatrów, funkcjonujących na terenie okupacji niemieckiej: Postawa aktorów na innym terenie lub w innych okolicznościach nie jest już przedmiotem osądu"/. W książce temat ten pojawia się /z inicjatywy wywiadowczyń/ pod koniec rozmowy i poświęca się mu niecałe 2 strony tekstu /na 35 stronicowy rozdział/: Na dość natarczywe nagabywanie Szejnert /"do teatrów polskich pod faszystowskimi Niemcami i do teatrów pod stalinowskim Związkiem Radzieckim przykładają się dwie różne miary"/, Korzeniewski odpowiada anegdotą, makabryczną - lecz nie całkiem na temat. Swego generalnego sądu nie wypowiada już w trybie tak oczywistym jak w roku 1963 /"teatru polskiego na

Wychodząc nie wolno kojarzyć z prymitywnym instrumentem propagandy faszystowskiej"/, odwrotnie stwierdza: "Strasznie to powikłane. Komplikacje historyczne, polityczne, psychologiczne", co jest oczywiście prawdą, lecz przywołaną dość znienacka, skoro nad komplikacjami tego typu w odniesieniu do GG Korzeniewski przechodzi do porządku. Pozostaje argument natury artystycznej, zakwestionowany przez Szejnert ale uprawniony skoro on właśnie miał zaświadczać o polityce niemieckiej wobec polskiej kultury i był głównym zarzutem stawianym teatrykom rewolucyjnym. Pod tym względem sytuacja teatrów pod okupacją radziecką rzeczywiście różniła się od sytuacji w GG, mimo iż były to także teatry w znacznym stopniu ubezwłasnowolnione już poprzez fakt, że funkcje dyrektorskie spełniać mogli - w odpowiednich republikach - wyłącznie Litwini, Białorusini, Ukraińcy i to mianowani przez rząd. Ich rola była jednak w znacznej mierze formalna, zaś polskie nazwiska kierowników artystycznych budziły, w przeciwieństwie do GG, zaufanie /Leopold Pobóg-Kielanowski w Wilnie, Bronisław Dąbrowski we Lwowie, Aleksander Węgierko w Grodnie i Białymstoku/. Pod względem reżyserii, aktorstwa, a nade wszystko repertuaru górowały w sposób wręcz nieporównywalny z teatrykami GG. Najjaskrawiej objawiło się to na scenach Węgierki, gdzie na 10 premier /po 5 w Grodnie i Białymstoku/ dano dwie sztuki Fredry, dwie Zapolskiej, po 1 Beaumarchais i Schillera oraz 2 montaż: z Szekspira, Słowackiego i Norwida w Grodnie oraz fragmentów dzieł Mickiewicza - z całym "Salonem warszawskim" // w Białymstoku /poza tym 1 Arbusow i 1 Wiszniewski/. W Wilnie i Lwowie proporcje były mniej korzystne. W Wilnie przeważały zdecydowanie lekkie komedie i choć między Caillavetem, Flersem, Sardou czy Cwojdziniskim a składan-

kami "Moczmy nogi", "Nóżki na stół", "Całus czy rum" lub "Abecadło miłości" trudno stawiać znak równości, nie odbiegają one zbyt daleko od sztuk granych w Teatrze Komedia i krakowskim Teatrze Powszechnym. Ale obok sztuk Fredry, Bałuckiego, Zapolskiej, które są tam osiągnięciem najwyższej miary gra się tu /wprawdzie sporadycznie/ Szekspira, Corneille'a, Moliera, "Marię Stuart" Słowackiego, zaś pierwszym utworem wznowionym po zajęciu Wilna przez policję Smetony jest kiepski lecz patriotyczny "Rejtan" Brończyka, zagrany zresztą - co oczywiste - tylko raz. We Lwowie najbardziej konsekwentnie trzeba było realizować ogólny postulat repertuaru zaangażowanego w "treści rewolucyjne". Na 16 premier zagrano 4 sztuki radzieckie oraz "Opowieść o Bartoszu Głowackim" Wasilewskiej ale prócz tego "Wieczór" Mickiewicza, "Krakowiaków i górali" Bogusławskiego A to bez "baletu golasów", którymi uatrakcyjniono przeróbkę sztuki w warszawskim Jarze i krakowskim Teatrze Powszechnym/, Szekspira.

Kompromisy, do których zmuszano tutejsze teatry, były niczym wobec zdrad wymuszanych na literaturze, nie mówiąc o publicystyce "Czerwonego Sztandaru" czy "Nowych Widnokręgów" /wprawdzie nie sposób też porównać warszawskich rewii z gadzinówkami, ale też nie znajdzie się tam wśród piszących nazwisk tak licznych i ważkich jak pod okupacją radziecką/. Tak czy owak jednak nie kwestionując racji /nie tylko artystycznych także moralnych/ bytu teatru na Wschodzie, a nawet broniąc ich z przekonania, nie dyplomacji, nie sposób zapomnieć, że i tutaj wystawianie - choćby rzadkie - sztuk "Cieszymy się życiem", towarzyszyło owym "niekończącym się listom rozstrzelanych", tyle że nie wywieszanym na murach.

Ale tu zaczyna się problem innej nieco natury, bo dotyczący odmiennej jednak w

znacznym stopniu i istotnie bardziej skomplikowanej rzeczywistości, w której wielu z onegdajszych przedstawicieli władz ZASP-u /wraz z samym Korzeniewskim/ nie umiała się już określić tak jednoznacznie jak pod niemiecką okupacją. O ile bowiem sytuacja teatru na Wschodzie nie jest z pewnością tożsama z sytuacją w GG, to w niezwykle sugestywny sposób kojarzy się z ograniczeniami obowiązującymi w "nowej" powojennej Polsce. Zarówno gdy idzie o polityczny kontekst, jak i sprawy, zdawałoby się artystycznej wyłącznie, natury. Teraz i wtedy nie wolno było teatrom czerpać w sposób swobodny z tradycji europejskiej i rodzimej /choćby niezgoda na wielki repertuar romantyczny obowiązująca właściwie na wielką skalę już w l. 1944-48 a całkowicie zarówno w l. 1939-40 jak 1949-54/, teraz i wtedy teatrowi nie wolno było dawać "świadcstwa swoim czasom", do czego wciąż go obłudnie zachęcano. Jesienią 1939 trzeba było na Wschodzie grać jakby nigdy nie Zapolską /O "Renesansie Zapojskiej czyli omdleniu teatru" powojennego pisał też w roku 1946 Kazimierz Wyka/. W lipcu 1944, w dwa dni po aresztowaniu całego dowództwa okręgu AK i przedstawicieli Delegatury Rządu w Lublinie, przybyły z ZSRR Teatr I Armii dawał w tymże mieście optymistyczno-patriotyczną składankę "Z pieśnią do kraju" a pierwsza premiera, od której zwykle się liczyć dzieje teatru w Polsce Ludowej, "Śluby panieńskie" przypadła na pierwszy dzień Powstania Warszawskiego. Bohdan Korzeniewski o tym nie wspomina ale, jak oświadcza, co do losu Polski od początku "nie ma żadnych złudzeń".

Ale podobnie jak jego koledzy, tworzący w latach 1939-40 w Republikach Litewskiej, Białoruskiej i Ukraińskiej, nie stracił wiary w wyjątkowość teatru. Mimo, że miał to być teatr dość daleko odbiegający od

modelu, opracowanego przez Radę, działający w warunkach, których patronująca tej Radzie Delegatura Rządu ani nie przewidywała, ani zaakceptować nie mogła. Zapytany przez Szejnert o to, co zdecydowało o jego włączeniu się w życie teatralne /już nie tylko w roli krytyka, jak przed wojną, ale i reżysera/ odpowiada Korzeniewski: "W Polsce zaczynały się właśnie czasy teoretyków. Nowy reżim ogromną wagę przywiązywał do słowa /.../ Krytycy to byli nagle prorocy, którzy za partię mówili jak oceniać różne zjawiska /.../, praktyk, lawirując na pograniczu sztuk mniej podlegających kontroli, mogli pozwalać sobie na to, czego już nie mogła robić forpocztą posługująca się nagim słowem". Dodaje wprawdzie, że motywy mogły być i inne /"może po prostu dla przyjemności. Dla zabawy"/ - ale owa interpretacja heroiczna i zasadnicza wysuwa się na plan pierwszy. I tu rozpoczyna się - czy może tylko wyostrza - wątek najbardziej w książce drażniący.

Mniejsza bowiem o to, że diagnoza zawarta w powyższym cytacie tak naprawdę przysztaje dopiero do lat 1949-54. Wolno w końcu uznać, że idzie tu tylko o niuanse, mimo że pośród krytyków teatralnych spotyka się wówczas nie tylko Ważyka czy Kotta /naprawdę groźnego w tej roli też dopiero w okresie następnym/, ale też Peipera, pisarzy krakowskich, o biografii i wtedy raczej nienagannej. Coś to, debiutującego Puzynę i in., których trudno - przy wszystkich ich kompromisach - nazwać ludźmi "mówiącymi za partię", zaś o teatrze w momencie, gdy Korzeniewski debiutował jako reżyser /1948/ dobrze już wiadomo, że zrezygnować musi z przeważającej ilości rzeczy, o które ludzie tacy, jak Schiller, Jaracz, Wierciński, Korzeniewski, Osterwa i inni wcześniej walczyli. Ważniejsza jest sprawa natury delikatniejszej. Niezwykła pryncy-

pialność, z którą Korzeniewski ocenia cudze działania, całkowita niewiara w czystość /niewykluczoną przecież bodaj częściowo/ cudzych intencji zawodzi go, gdy przedstawia decyzje własne. I nie idzie nawet o to, że te osobiste motywacje są nieprawdziwe - o tym osobom postronnym rozstrzygać niepodobna, ale o to, że są to motywacje mało przekonujące i gdyby formułował je tak człowiek przez Korzeniewskiego o s a d z a n y, on sam, jako oskarżyciel, wyszydził by je bezlitośnie.

Można jeszcze uwierzyć, że kiedy w 16dzim Klubie Pickwicka doszło wiosną 1946 r. do ostatecznego pogrzebienia "Elektry" Giraudoux, pierwszego w Polsce Ludowej spektaklu nie tylko zdjętego - z przyczyn politycznych - z afisza, ale i powodującego likwidację Sceny Poetyckiej przy TWP, której był jedyną premierą - Korzeniewski, współtwórca przedstawienia, broni go enigmatycznie. Istotnie, można było jeszcze wtedy wierzyć, że "nieujawnienie naszych poglądów na sztukę", bo "nie mieściły się w nowej rzeczywistości", mogło sztukę tę ocalić. Ale niezwykle trudno przystać na dowody, które mają przekonać o Wallenrodcznej roli, jaką Korzeniewski miał /skoro już na nią jakoś przystał/ w owej nowej rzeczywistości odegrać. Wystawienie "Szkoły żon" Moliera jako dowód, czy też przestroga, przed tym "że nie można nikogo zmusić do miłości. Także do Stalina", a "Męża i żony" jako "pochwały swobody", o której w roku 1949 trudno już było marzyć - mogło być wprawdzie zamierzeniem odważnym, ale przecież całkowicie nieskutecznym, tym bardziej, że oba spektakle /co należy im poznać za zasługę/ unikały wszelkiej aluzyjności i wystawione zostały jako sztuki kostiumowe. Na argument Szejnert, że obie zyskały uznanie także władz, odpowiada Korzeniewski sugestywnie: "myślę, że władza w swej ignorancji nie zawsze orientowała

się w porę co było dla niej groźne" lecz liczne /także z "Elektrą"/ przykłady nie potwierdzają tej tezy; władza, przynajmniej ta odpowiedzialna za politykę kulturalną, nie była jeszcze w tamtych czasach "dyktaturą ciemniaków". Co jednak gorsze, makiawelizm reżysera zdawał nie docierać także do widowni. Oba spektakle - szczególnie zaś "Mąż i żona" - przeszły do historii teatru, jako jedne z ciekawszych interpretacyjnie i artystycznie realizacji Moliera i Fredry; były rzeczywistą obroną /podobnie, jak Korzeniewskiego realizacje Giraudoux/ pewnych ignorowanych od początku wartości kulturowych - i już to jest wystarczającym powodem do chwały.

W sferę, którą można określić "polityczną", wkraczały natomiast z pewnością spektakle "Śmierci Tarełkina" /choć też był to przede wszystkim sukces teatralny/ i o trzy ważne lata późniejszy molierowski "Don Juan", którego dzieje opisuje Korzeniewski plastycznie, z ujawnieniem spraw zakulisowych, mało znanych. Spektakl najdalejszy od wszelkiej "bigoterii", będący obroną libertynizmu, został zdjęty właśnie pod pretekstem "bigoterii" /Jaszczyk pisał o woni "kościelnych-kadziąg"/ choć, wedle przekonywającej tym razem korelacji Korzeniewskiego, szło w istocie o monolog Don Juana, stanowiący przewrotną pochwałę obłudy, która miała być w tym wypadku /i tak została odczytana/ pochwałą "cynizmu politycznego".

Ze sprawą "Don Juana" wiążą się wreszcie dwie rzeczy. Zaczyna się niby drobiazgiem, który wszakże drobiazgiem nie jest. Dotyczy ataku Sokorskiego na "formalizm" spektaklu. Ów "formalizm", tak chętnie w tamtych latach przywoływany, był rzecz jasna zarzutem nie estetycznej lecz politycznej natury i o losie "Don Juana" przesądził w sposób dodatkowy; wystarczy przypomnieć, że dekoracje Roszkowskiej kazano po prostu...

porąbać. Z okazji jednak tego ataku, pisze Korzeniewski co następuje: "nie chciał już /Sokorski - J.J./ atakować Wiercińskiego, Horzycy, im w końcu postanowiono darować, więc ja zostałem na placu, jako główny formalista". Jeśli pamiętać, że dla Horzycy właśnie /m.in. po recenzji Kotta z okazji "Snu nocy letniej"/ nadchodziły najgorsze lata, a Wierciński ledwie tolerowany, w latach 1950-54 przygotował tylko dwie premiery; ważniejsza z nich wrocławska "Jak wam się podoba?", jedno z najwybitniejszych przedstawień okresu - doczekała się jednej tylko recenzji - opinia taka musi być uznana za skrajną niesprawiedliwość. Przecież z całej dawnej Rady Teatralnej i kręgu związanych z nią ludzi właśnie p o z a K o r z e n i e w s k i m, w roku 1950 wszyscy /łącznie z Schillerem/ - od czynnego udziału w życiu teatralnym zostali usunięci. Na pewno też nikogo z nich - po zdjęciu pod zarzutem politycznym któregoś z przedstawień - nie wezwały na uprzejmą i szczerą rozmowę Jakub Berman. W codziennej, rządowej etykietce mieściło się doskonale brutalne odwoływanie ze stanowisk dyrektorskich /co w najjaskrawszej formie spotkało w 1949 roku Szyfmana, a w rok później jego niefortunne w Teatrze Polskim następcę - Schillera/, ale nie tego rodzaju audycje.

Lata socrealizmu były dla Korzeniewskiego latami prosperity raczej. Dobre recenzje, Nagrody Państwowe w latach 1951 i 1954, kierownictwo artystyczne Teatru Narodowego od 1952, udział /co nie było zresztą czymś niezwykłym, wystarczy przeczytać wypowiedzi "pryszczatych" w książce Trznadła/ na przyjęciach w Belwederze. Korzeniewski tego nie ukrywa, wyraża nawet żal z powodu rzeczy, jakich na stanowisku w Narodowym nie uczynił /m.in. w sprawie Schillera i Horzycy/. Zarazem prezentuje

się jednak, jako człowiek obcy władzy, jej stały, nie ukrywający swego stanowiska, intelektualny i światopoglądowy oponent. Jest w tym zapewne sporo prawdy; nie ma powodu nie wierzyć, iż cytowane przezeń repliki w dyskusjach z tzw. "najwyższymi czynnikami" nie są autentyczne. Nie pozostawił zresztą po sobie tekstów tak kompromitujących, jak wielu jego kolegów, nigdy nie popadł w tyranię nowomowy, odwrotnie - wolno powiedzieć, że ocalał przed jej ni-szczycielskim działaniem polszczyznę /tak, jak to robi do dziś/, a przeciwstawił się /w dopuszczalnych oczywiście granicach/ temu, co w innym miejscu nazwał rusyfikacją naszej kultury. Jako kierownik artystyczny Teatru Narodowego na 10 premier zaprezentował aż 9 sztuk klasycznych /"Człowiek z karabinem" Pogodina zamykał przekornie ten okres/, co - wbrew temu co sam pisze - nie było wprawdzie w stosunku do dyrekcji Krasnowieckiego aż rewolucją /5 pozycji klasyki, 2 współczesne polskie/. Nie zmienia to jednak faktu, że był raczej hołubionym niż wyklętym dzieckiem stalinizmu /nawet jeśli troszeczkę "terrible", że przeciwstawiał się mu choćby poprzez odmowę udziału. Tłumacząc się /bo jednak nazwać to należy tłumaczeniem/ z objęcia kierownictwa sceny, zwyczajowo uznawanej za pierwszą kraju, a w istocie w latach 1949-54 traktowanej przez władzę "nie jak teatr lecz zakład produkcyjny", przywołuje znów Korzeniewski argument szlachetnej wyłącznie natury: "Polskiej inteligencji wydawało się, że stalinizm będzie trwał wiecznie. Myślałem o ratowaniu tego, co się jeszcze da ratować". Być może. Ale uczciwiej, a w każdym razie lepiej brzmiałby argument mniej podniosły, a za to bardziej ludzki, jaki przywołał z okazji podjęcia pracy reżyserskiej w Teatrze Polskim pod dyrekcją Leona Schillera, którym

współpracy - po sprawie "Elektry" - odmówił nota bene Wierciński. "Spójrzmy na to zwyczajnie /.../ oto okazja - jedna z pierwszych scen w kraju".

Dla ludzi teatru Korzeniewski z lat 1949-53 nie kojarzył się zresztą ani z bohaterstwem, ani opozycją, ani ideologiczną dywersją. Przypominam o tym nie po to, by dokonywać upokarzających a zawsze jakoś niesprawiedliwych i niepotrzebnych już w końcu rozliczeń. Postawa polityczna Korzeniewskiego od roku 1968 włącznie, jest właśnie taką, i to na prawdę taka jak ta, którą sobie wymyślił dla lat pięćdziesiątych i nie ma chyba powodu mitologizować przeszłości. Tym bardziej, że sam Korzeniewski takie właśnie zabiegi tępi. Kiedy Małgorzata Szejnert pyta na marginesie okupacyjnych rozliczeń z wojennymi "kolaborantami" - "A czy my nie karzemy ich znowu wracając do tego tematu?", mówi: "Polacy mają skłonność do tworzenia mitów. Do malowania portretów, których bohater musi być heroiczny /.../ Nie chodzi o to, aby przypominać o winach, ale o to, by wiedzieć kim naprawdę jesteśmy. Nie ma granic dla szukania prawdy o sobie".

"Sława i infamia" jest zresztą - jak napisałem na początku - książką fascynującą. Z wielu względów. Właśnie jako portret jej głównego bohatera, jako obraz teatru z ujawnieniem jego zakulisowych tajemnic - w oficjalnych wydaniach pomijanych, a dla drugiego obiegu dotąd nieinteresujących. A wreszcie jako - by zacytować Wojciecha Adamieckiego - "rozmowa - rzeka, /.../ pozornie o społecznych dziejach aktorów i teatru od pierwszych lat okupacji niemieckiej do końca lat pięćdziesiątych, w istocie rozmowa o Polsce, Polakach, polskiej inteligencji", której Bohdan Korze-

niewski jest jednym z czołowych przedstawicieli. Owa "rozmowa - rzeka", będąca zresztą "częścią większej całości" urywa się w momencie niezbyt dla niego fortunnym. Ale to już sprawa całkowicie odrębna.

Joanna Lerska

Małgorzata Szejnert, "Sława i infamia. Rozmowa z prof. Bohdanem Korzeniewskim", Warszawa 1988, Wyd. Pokolenie.



LEON BOBER

PAMIĘTNIKI Z GETTA WARSZAWSKIEGO

"Nie mogę Ci postawić granitowego pomnika /.../, przyjmij więc /.../ ten skromny pomnik ze słów i papieru" /Henryk Bryskier, z pamiętnika dedykowanego zmarłej żonie/.

"Pamiętniki me /.../ są sprawozdaniem złożonym tobie w rocznicę śmierci. /.../ Musiałem przelać to wszystko na papier. /.../ Me pamiętki /.../; ja je pisałem i wystawiłem Ci wieczny pomnik" /Calel Perechodnik, dedykacyjny list do zmarłej żony/.

Pamiętniki z getta warszawskiego. "Pomniki ze słów i papieru". Okazały się trwałe od domów i ulic, od żelaza i kamienia. Przetrwały rewizje, pożary, bombardowania, przetrwały zniszczenie całego miasta i gehennę jego mieszkańców. Ocalały w niewiadomy sposób. W archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie przechowuje się 65 takich świadectw; tylko o nielicznych wiadomo, jaką drogą trafiły do muzealnych zbiorów.

Staraniem Instytutu ukazała się księga, zredagowana przez Henryka Grynberga, złożo-

na z fragmentów 28 pamiątek, not o auto-
rach, oraz z regestów 37 pozostałych, nie-
uwzględnionych w tym wyborze tekstów /częś-
ciowo publikowanych już gdzie indziej/.
Po fragmentach tzw. archiwum Ringelbluma
/opr. Ruta Sakowska, Warszawa 1980/, "Kro-
nice getta warszawskiego" Emanuela Ringel-
bluma /opr. Artur Eisenbach, tłum. Adam
Rutkowski, Warszawa 1983, 1988/, "Adama
Czerniakowa dzienniku getta warszawskiego"
/opr. Marian Fuks, Warszawa 1983/, serii
książek i publikacji w czasopismach /głównie
"Biuletynu ŻIH" i "Bleter far Geszichte"/
jest to kolejne dzieło, zdające spra-
wę z tego niezwykłego zjawiska, jakim był
rozkwit kronikarstwa, pamiętnikarstwa i
dokumentalistyki w warszawskiej "dzielnicy
zamkniętej".

W końcu stycznia 1943 r. Emanuel Ringel-
blum zanotował /w "Kronice getta warszaw-
skiego"/ następującą obserwację. "Wszyscy
w czasie tej straszliwej wojny prowadzili
przeważnie dzienniki. Jedni pisali w nich
obszernie i szczegółowo, inni zadowalali
się krótkimi notatkami, które zamierzali
opracować dopiero po wojnie. Większość
dzienników uległa zniszczeniu podczas wy-
siedlenia. Po innych, którzy poszli na
Umschlagplatz, pozostały rękopisy, lecz
zniszczono je wraz z całym dobytkiem. Po-
zostali autorzy - z uwagi na bezustanne
blokady i ciągłe przeprowadzki z jednej
strony ulicy na drugą - pogubili najczę-
ściej większą część swoich rękopisów. Należy
przyjąć, że zaginęły dziesiątki, jeśli
nie setki dzienników".

Ringelblum był historykiem, znał nieza-
stąpioną wartość źródeł, dzienników, pa-
miętników, relacji bezpośrednich świadków
wydarzeń. Wraz z grupą młodych pracowników
naukowych założył Oneg Szabat. Konspiracyj-
ną instytucją poświęconą gromadzeniu i wy-
twarzaniu dokumentacji; z tej inspiracji

powstało wiele świadectw pisarskich. Z pamiętników opracowanych przez Grynberga wiadomo, że część z nich powstała na apel Żydowskiego Komitetu Narodowego. Ale to wszystkiego nie wyjaśnia. Ringelblum, który na początku wojny sam kamuflował swą kronikę pod postacią listów do rodziny lub przyjaciół, po trzech latach skonstatował paradoksalne zjawisko rozkwitu życia kulturalnego w getcie. "Utworzenie getta, zamknięcie Żydów za murami, stworzyło bardziej sprzyjające warunki dla pracy archiwalnej. Przekonano się, że Niemców mało obchodzi, co się dzieje wśród Żydów. Wygłaszano więc odczyty na tematy, które oświeclano w sposób nie dający się pomyśleć przed wojną. W Komitetach Domowych, w stołówkach, w instytucjach społecznych wygadywano wszystko, co tylko ślina przyniosła na język. /.../ Doszło do tego, że nielegalne wydawnictwa wszystkich kierunków ukazywały się niemal zupełnie jawnie. Czytano je wprawdzie otwarcie w kawiarniach, zbierano pieniądze na fundusze prasowe, polemizowano z wydawnictwami przeciwników".

Jest to obraz zwodniczy. Oto, na podstawie pamiętników Samuela Putermana, życie "śpiewaków getta". "Znana była łódzka rodzina, składająca się na początku z ośmiu osób: Ich całe mienie to były dwa wózki dzieciinne, w których on woził troje dzieci, a ona dwoje na drugim. Pchali wózki bokiem jezdni i śpiewali stare żydowskie piosenki. Mieli bardzo ładne głosy. Ona śpiewała i on śpiewał, wtórowało im sześć dyszkan-cików dziecięcych, potem były cztery, potem było troje i znikł jeden wózek i znikły buty i resztki wierzchniego odzienia. Ostatnio rodzina składała się z dwóch osób i jednego wózka. On i ona leżąca na dzieciennym wózku. Miała 39 lat, a wyglądała na sto, leżała w wózku i wtórowała mężowi. Śpiewali te same piosenki". To też jest fragment życia kulturalnego w getcie...

Pisarstwo nadziei? "Żydzi nie wierzyli w swoją zgubę. W samym wnętrzu ich 'świątyni dumania' tkwił Bóg, który przeprowadził ich przez Morze Czerwone i który rozwalił mury getta. Egzekucje przejmowały przerażeniem - kurczyły serca niesamowitym strachem, ale rozumowi zostawiały drózkę: taką metodą można będzie wygubić tysiące lub kilka tysięcy, no, powiedzmy, kilkadziesiąt tysięcy, ale nie półmilionowe getto. Nie wszyscy zginą - a to daje szansę każdemu, aby nie należał do właśnie złowionych" /Natan Żelichower/. Czy beznadziei? "Moja mama już nie żyje, zabili ją jak psa na ulicy. Dziękuję Ci Boże za to, żeś oszczędził jej długiej drogi śmierci" /nieznana autorka/. Na pewno pisarstwo, do którego nie przystają kategorie krytyczne, stosowane do "zwyczajnej" twórczości literackiej. "Żaden widok, żadna grupa, która mogła posłużyć za motyw tragedii wielkiemu pisarzowi, reżyserowi filmowemu i malarzom nie sprawiała na jego twarzy żadnego wrażenia" /Samuel Puterman o jednym z "kulturalnych Niemców"/.

Niewątpliwie było w tym - można chyba powiedzieć: masowym - pamiętnikarstwie coś z poczucia misji. Jeszcze raz świadectwo Ringelbluma. "Każdy współpracownik Oneg Szabat wiedział, że jego znój i męka, jego twardy trud i cierpienia, jego narażanie się w ciągu 24 godzin na dobę w toku niebezpiecznej pracy przy przenoszeniu materiałów z miejsca na miejsce - służą wielkiej idei, co społeczeństwo potrafi w dniu wolności właściwie ocenić i wynagrodzi najwyższymi dżnaceniami, jakie będą w wolnej Europie".

"Pamiętniki z getta warszawskiego" obejmują około 15 procent zbioru w archiwum ŻIH. W periodykach Instytutu opublikowano fragmenty jeszcze 6 wspomnień, oprócz tego - fragmenty pięciu pamiętników z archiwum

Ringelbluma. Trudno oceniać, dużo to, czy mało. Wybór zredagowany przez Henryka Grynberga został sporządzony bardzo starannie, opatrzone niezwykle cennymi notami o autorach i regestami niewykorzystanych pamiętników. Bibliografia - to jest jedno zastrzeżenie - nie jest pełna. Nie wiadomo dlaczego nie wspomniano o takich pozycjach /wyliczam tylko niektóre książki, skądinąd powszechnie znane/, jak o dzienniku Janusza Korczaka, "Historii jednego życia" Ludwika Hirszfelda, "Kronice lat wojny i okupacji" Ludwika Landaua czy o "Getto walczy" Marka Edelmana. Ale gdy się spojrzy na daty publikacji odnotowanych w bibliografii, zastanawia trzydziestoletnia luka: pięć pozycji wydanych w latach 1946-48, potem nic aż do 1979 r. /jedna książka/, sześć następnych - po 1982 r. Jak to objaśnić? W 1983 i 1988 roku władza, z powodów nie-trudnych do odgadnięcia, postanowiła urządzić uroczyste obchody rocznic powstania w getcie warszawskim, zatem dopuściła - w charakterze okolicznościowych publikacji - do druku książki niechętnie wcześniej widziane. Od 1981 r. obowiązuje ustawa o cenzurze, znosząca - przynajmniej formalnie - zapisy personalne i tematyczne. To tłumaczy względną obfitość publikacji w ostatnich latach. Jak się wytłumacza kierownicy "polityki kulturalnej" z poprzednich 35 lat?

Druga niewytłumaczalna rzecz. Większość z książkowych publikacji trafiła do Polski nader długą i krętą drogą, jeśli zważyć, że pamiętniki te powstawały przeważnie w Polsce, ich autorzy tu dłużej czy krócej mieszkali, a pisali przecież nie o jakimś dalekim, obcym kraju, tylko o naszej /lub, jak kto woli, wspólnej z nami/ historii. Najdrastyczniejszy przykład to los dziennika Adama Czerniakowa. Początkowo uważano go za zaginiony /taką hipotezę wysunął już w styczniu 43 Ringelblum/. Ale w 1947 r. do ŻIH zgłosiła się dr Felicja

Czerniaków z propozycją sprzedania dziennika męta, ponieważ nie ma środków na utrzymanie. Po dłuższych perypetiach zrezygnowała z tej propozycji i to nie dlatego, że jej żądania finansowe były zbyt wygórowane, tylko ponieważ została "niepoważnie potraktowana". Dziennik został wywieziony do Francji, stamtąd do Kanady, skąd wreszcie /za ogromną sumę/ został wykupiony przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Przez to na podstawowe źródło do dziejów getta polski czytelnik czekał ...36 lat. Nie jest to wcale historia wyjątkowa. Większość not biograficznych w wyborze Henryka Grynberga kończy się zdaniem: autor wyjechał z Polski, dalszych losów nie udało się ustalić. Nietrudno się domyśleć, jakie przeżycia tych osób akrywa to beznamienne zdanie; edytorowi chodzi jednak także o to, że nie można już ustalić faktów, nazwisk, dat ważnych dla historii.

Najtrudniej pisać o tym, co najważniejsze w omawianej książce, o zdarzeniach, przeżyciach, losach ludzi. W tym miejscu recenzent łamie pióro. To jest nie do opowiedzenia; chciałoby się powiedzieć: to trzeba przeczytać. Tylko jak namawiać czytelników do książki, którą wydano w pięciu tysiącach egzemplarzy?

Leon Bober

"Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i rejestry". Opracował Henryk Grynberg, Warszawa 1988, PWN, s. 452.

DZIECKO W BEZGRZESZNYM RAJU

Ta mała książeczka, debiut prozatorski 31-letniego autora z Gdańska, powitana została entuzjastycznie przez Jana Błońskiego w "Tygodniku Powszechnym" /"Duch powieści i was Stalina"/. Sekundował mu w "Zeszytach Literackich" nr 22 - Francois Rosset /"Dawidek, der Weise"/. Jak na stan dzisiejszej młodej prozy polskiej - jest to rzeczywiście zjawisko wyjątkowe. Nie zamyka się ani w kokonie narcystycznych awangardyzmów ani quasi-realizmu resentymentów politycznych pokroju Józefa Łosińskiego. Książkę Pawła Huelle przepełnia młodzieńcze olśnienie kreatywnymi możliwościami literatury. By posłużyć się tu dawniejszym określeniem Ludwika Flaszera - chce ona być Księżką, dziełem jak życie, dziełem - co jest-życiem i żarliwie zagarnia w siebie wszystko. Czyż w rozmowie narratora z duchem nieżyjącego Piotra nie padają znamienne zdania: - "Zaraz dojdziemy do tego, że wszystko jest ważne. - Żebyś wiedział, że wszystko jest ważne. Bo albo nie, albo wszystko". W innym miejscu powieści podczas spotkania narratora z Elką w Mannheim - znajdujemy jakby negatyw tej kwestii, zawarty w odpowiedzi dziewczyny na pytanie dlaczego nie pisuje listów: "Bo jak się jest tu, niepodobna być tam". Odpowiedź trzeźwa, realistyczna, całkowicie sprzeczna z własną filozofią narratora, w której wszystko rymuje się z "wszędzie", niemożliwe z możliwym. Jest to, oczywiście filozofia sztuki, filozofia aktu twórczego, który łączy ze sobą w wiecznym teraz wszystkie czasy, godzi żywoły, wypełniając metaprzestrzeń Rajskiego Ogrodu wielką tożsamością Każdego z Każdym, Dawida Weise-

ra z narratorem, narratora ze zmarłym przed
laty gdańskim dzieckiem Horstem Mellerem.
On tytułowy Weiser Dawidek jest alter ego
narratora, jest kreatorem świata, który
to świat narrator usiłuje zrekonstruować
ze strzępków, legend, mitów - opowiadacz,
apostoł, następcą. Dawidek zjawia się na
kartach powieści na prawach cudu - z obłoku
kadzidla, wypuszczonego ręką proboszcza
Dudaka w święto - znamienne! - Bożego Cia-
ła. A życie jego zamyka się między tym
czerwcowym "dniem cudu" a końcem wakacji
szkolnych, kiedy znika bez śladu podczas
tajemniczego wybuchu. Okienko wakacji staje
się prześwitem, epifanią nad-realnego,
metafizycznego porządku świata, którego
częstką jest literatura i - dzieciństwo.
Bo powieść Huellego jest w tym samym stop-
niu apologią metafizyczności literatury,
co dzieciństwa. Do obu - per analogiam
- odnieść można rozważania narratora na
temat Ewangelicznej sentencji - "Królestwo
moje jest nie z tego świata", sentencję
nieograniczonej i niewyczerpywalnej żadnym
komentarzem.

Dzieciństwo i literatura - irracjonalne,
pozadyskursywne, ponadhistoryczne, bez-
grzeszne i wieczne. Czyżby?

Powieść Huellego porównaj ktoś z "Bla-
szanym bębenkiem" Güntera Grassa. Nic błęd-
niejszego. Jedyny element wspólny to fakt,
że akcja obu powieści toczy się w Gdańsku.
Ale wieczny karzeł-dziecko Grassa zrodzony
jest przez historię i jej wynaturzenia.
Weiser Dawidek - unosi się wysoko ponad
historią. W związku z Grassem, z okrutnymi
dziecięcymi utopiami Goldinga i Kundery
/"Księga śmiechu i zapomnienia"/, w związku
ze "zdziecinieniem" współczesnego świata
- wypadnie powtórzyć pytanie - czy dzieciń-
stwo rzeczywiście jest tak bezgrzeszne
jak chce tego Huelle i czy literatura jako
superlatyw tej bezgrzeszności zdolna jest

udźwignąć prawdę o współczesnym losie człowieka? Powieść, w ujęciu narratora, w tym wypadku tożsamego z autorem, jest radością aktów mitotwórczych, kreujących czy odtwarzających "wszystkość" Raju:

"tak, to nie jest pisanie książki o Weiserze, ani o nas sprzed kilkadziesiątu lat, ani o naszym mieście z tamtego czasu, ani o szkole, ani tym bardziej o M-skim i epoce, w której był najważniejszym po dyrektorsze człowiekiem - nie mnie to nie obchodzi i jeśli postanowiłem zapisać wszystko, przypomnieć sobie zapach tamtego lata, kiedy zupa rybna wypełniała plaże zatoki, to przecież tylko ze względu na Weisera".

Temu "śledztwu bezinteresownemu", zglębieniu nieprzeniknioności świata przeciwstawione jest w powieści śledztwo tout court, prowadzone przez dyrekcję szkoły i milicję w sprawie ostatniego wybuchu Weisera i zniknięcia jego oraz Elki /potem odnalezionej/. Śledztwo to prowadzi m.in. znienawidzony M-ski, nauczyciel przyrody, łowca motyli, "materialista dialektyczny", uosobienie obowiązującej - tym razem w konkretnie historycznej PRL lat pięćdziesiątych - filozofii życia. Jeśli Weiser, we wszystkich swoich cudach, epifaniach, kolorowych wybuchach, władzy nad dzikimi bestiami, lewitacjach jest omnipotentny jak bóg, M-ski to impotent-masochista. Pozwala się policzkować historią z tą samą rzkozą, z jaką pozwala się policzkować płatnej kochance. Wnioski są oczywiste i - nie bardzo odkrywcze - ten ideolog, śledczy prawdy ścisłej i "obiektywnej", "naukowej" - jest wobec życia przegrany i nigdy nie zbliży się do cienia prawdy o nim.

A Weiser, a narrator, a literatura jako epifania metafizyki, irracjonalności? Odpowiedź zawiera się właściwie już w tym,

co napisałam powyżej. Życie ludzkie nie przebiega w wiecznym teraz Rajskiego Ogrodu, w tożsamości Każdego z Każdym, w zawieszeniu czasów i konfliktów. to zaledwie nasz wielki sen o sobie. Dawno zostaliśmy wygnani z Raju, skazani na błąd, rozłąkę, winę i życie w historii, która jest walką i bólem. W powieści Huellego - historia, jeśli nawet jest obecna - to tak jak mucha zatopiona w bursztynie - bez ludzkiego cierpienia i bólu. Z tych wysokości - wiecznego czasu - doprawdy obojętne jest, o co pan Korotek pobił się w barze z partyjnymi, czy Piotr zginął od przypadkowej kuli w jakimś grudniu 1970, co to za pomnik w Gdańsku i czy rzeczywiście zostanie postawiony. W narracji Huellego, w jego wizji świata - historia to zaledwie lekki nalot na drzewach ogrodu wiecznej tajemnicy człowieka. Jedynie opuszczając ten ogród, po rozmowie z duchem Piotra, narrator w zakończeniu powieści odczuje ból. Ból zanurzenia w rzeczywisty świat, ból utraty "ogrodu", który - jakże młodopolsko! - zmienił mu się w cmentarz. Bardzo to ładnie napisany ból. Z wyobraźnią, talentem kompozycyjnym, świeżością języka. ale bardzo jeszcze dziecinny i ciepłarniany.

Elżbieta Morawiec

J. Huelle: "Weiser Davidek", Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1988.

JEDNO Z DWOJGA

"Jedno z dwojga" to nie tylko tytuł filmu, to także określenie pewnej sytuacji. Ale po kolei.

Jesień 1981 roku. W gdańskim yachtclubie wieczór pożegnalny. Młoda żeglarka wyrusza w rejs swego życia - samotnie dookoła świata. Wywiady, uroczyste przemówienia, pożegnanie z przyjaciółmi, którzy zostają tu w kraju i z którymi obiecuje utrzymywać łączność radiową. Pierwsze wiadomości z trasy są znakomite - rekord świata w samotnym pokonywaniu oceanu. Ale przychodzi 13, XII 1981 roku i łączność urywa się...

Co dalej? Nie chcę opowiadać tu całej fabuły filmu, którego mocną stroną są przede wszystkim: opis atmosfery i realiów pierwszych wojennych miesięcy oraz aktorstwo - Krystyny Jandy, Janusza Gajosa, Mariana Opali. Zamiast opowiadać film, spróbuję opowiedzieć jego, trwające wciąż, pozafilmowe perypetie.

"Jedno z dwojga" miało być debiutem telewizyjnym młodego reżysera, Krzysztofa Tchórzewskiego. Film zrealizowano w samym środku stanu wojennego, na zlecenie telewizji, w Zespole Filmowym "X" Andrzeja Wajdy, tuż przed jego rozwiązaniem. Ale telewizja filmu nie przyjęła. Pod absurdalnym pretekstem niezgodności ze scenariuszem odesłano "Jedno z dwojga" na półki. Jak wiele innych zresztą. Wprawdzie reżyser usiłował uratować swój film od zapomnienia wydeptując różne ścieżki, ale decyzja zatrzymania pochodziła od najwyższej telewizyjnej instancji i wszelkie interwencje były nieskuteczne. Mądrej głowie dość pałką w łeb - następnym filmem Tchórzewskiego było zatem... "Così fan tutte" czyli filmowa wersja opery Mozarta.

A tymczasem - wszak "szło nowe" - minister kinematografii, Jerzy Bajdor, na wszelkich możliwych spotkaniach i w wielu wywiadach uważał się, że tak mało powstaje ostrych, odważnych filmów o współczesności. Ale "Jedno z dwojga", film zresztą znacznie mniej drapieżny niż "Przesłuchanie" Bugajskiego, nadal leżał na półkach. Wreszcie w tym roku pojawiła się szansa reanimowania projektu. Ponieważ telewizja ostatecznie zrezygnowała z roszczeń wobec nakręconych materiałów, dokończenia procesu produkcyjnego, wobec nieistnienia już "X"-a, podjął się Zespół Filmowy "TOR". Ale jak na razie /piszę ten tekst na początku listopada '88/, ów domagający się od reżyserów odwagi minister, Jerzy Bajdor, jakoś dziwnie zwleka z wydaniem zgody umożliwiającej przedstawienie filmu publiczności. Cenzura nie zgłasza sprzeciwów? Trudno, pokażemy zatem film wojskowym /wszakże w filmie dziejącym się w stanie wojennym występuje kilka postaci w mundurach i wojsko mogłoby czuć się urażone sposobem przedstawienia nieugiętych obrońców ojczyzny/. Wojskowi nie wyrażają sprzeciwu? Szkoda, może więc pokażemy film jedynie słusznemu związkowi dziennikarzy /jest ich paru w filmie/. I tak dalej dookoła Wojtek, przepraszam dookoła Jerzy. Ponieważ w filmie są jeszcze żeglarze, magazynierzy, architekci, inicjatywa prywatna oraz trochę bezrobotnych /czy istnieje jedynie słuszny związek wyrzuconych z pracy?/ podejrzewam, że ta kołomyjka jeszcze potrwa.

Pora najwyższa ujawnić jeden drobny szczegół. Telewizyjny boss, który w stanie wojennym wysłał "Jedno z dwojga" na wieczny /?/ odpoczynek na półce nazywał się... Jerzy Bajdor. Tak, tak, ten sam, który obecnie na fali "liberalizacji" nawołuje do odważnego sięgania do tematów współczesnych. Dlatego napisałem, że "Jedno z dwojga" to także sytuacja. Albo minister

kinematografii potwierdzi decyzję szefa telewizji /czyli swoją własną/ dowodząc, że jest konsekwentny i nie zmienia poglądów /ale, mój Boże, coż to za poglądy...!/. Albo zdezawuuje swą własną decyzję, dostosowując się do obecnej odwilżowo-kosmetycznej koniunktury. Nawet jeśli tak się stanie, sposób załatwiania sprawy jest dostatecznie wymowny. Samodzielny podobno Zespół Filmowy czeka w nieskończoność na decyzję ministra w sprawie filmu, który nie budzi zastrzeżeń cenzury! Trudno to nawet nazwać - jak to się ostatnio modnie mówi - "ręcznym sterowaniem kulturą", bo pojęcie sterowania zakłada, że istnieje jakiś cel, do którego się zmierza.

Na tegorocznym Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich Andrzej Wajda powiedział, że czasem odczuwa wrażenie, iż do niektórych urzędników nie dotarła jeszcze wiadomość, że Stalin umarł. Ciekawe czy obywatel minister jest tego świadom? Podejrzewam, że nie.

JTS

FELIETONY

LEOPOLITA

MOIM ZDANIEM...

W piątek, 18 listopada prasa doniosła, że Rada Państwa na wniosek Rady Ministrów powołała Romana Neya na stanowisko Sekretarza Naukowego Polskiej Akademii Nauk. Z powyższego należy wnosić, że dotychczasowy sekretarz naukowy PAN gdzieś się zapodział, a w każdym razie sekretarzem naukowym być przestał. Ciekawe też, co się z nim dzieje? Może z dnia na dzień został uszczynem? Świat, wiadomo, pełen jest niespodzianek. Osobiście przypuszczam, że nadal będzie sekretarzem, tyle, że nie naukowym a partyjnym lub dyplomatycznym. Po prostu, zawód wykonywany — sekretarz.

W Ameryce zdarza się, że prezydentami wyższych uczelni zostają wybitni biznesmeni. Po prostu prezydent uniwersytetu musi umieć zdobywać pieniądze i sprawnie zarządzać finansami uczelni. O naukę martwią się tam uczeni i o ile tylko nie są nazbyt postępowi, czynią to z dobrym skutkiem. Polska jest natomiast krajem socjalistycznym. Nasz socjalizm jest naukowy. Jasne tedy, że troski o naukę nie należy powierzać tym, którzy znają się na nauce, lecz tym, którzy znają się na socjaliźmie. A któż zna się na socjaliźmie lepiej niż sekretarze? Zrozumiałe jest przeto, że w biografii Romana Neya znajduje

się taki krótki co prawda epizod, jak sprawowanie funkcji sekretarza KC PZPR oraz godność zastępcy członka biura politycznego tej partii, wchodzącej, jak wiemy, w skład koalicji sił postępowych, koalicji z powodzeniem rządzącej naszym krajem od lat czterdziestu i czterech. Poprzedni sekretarz naukowy PAN był w swoim czasie jedynie zastępcą kierownika wydziału nauki komitetu centralnego tejże koalicyjnej partii. Z powyższego widać, że partia-PZPR coraz większą wagę przywiązuje do nauki. Jak tak dalej pójdzie, to następnym sekretarzem naukowym PAN zostanie nie żaden były zastępcą członka, a wręcz pełny i urzędujący. Nauka zaś rozkwitnie tak, że aż strach pomyśleć.

Z nominacją Romana Neya i poprzedzającą ją - jak rozumiem - denominacją Zdzisława Kaczmarska wiążą się dwa drobiazgi, o których warto wspomnieć.

Otóż "Rzeczpospolita" /18.XI/ obok informacji o nominacji zamieściła życiorys nowego sekretarza naukowego. A w życiorysie tym, fakt, iż był w latach 1980-81 sekretarzem KC i zastępcą członka biura politycznego jakoś pominięto. Natomiast cztery dni wcześniej, 14.XI, taż gazeta podała, że w 1983 r. ówczesny sekretarz naukowy PAN /nazwisko pominięto, bo czy to takie ważne/ wydał nie opublikowane zarządzenie dotyczące prohibitów w bibliotekach Polskiej Akademii Nauk. Bardzo mi się spodobało i jedno i drugie, ale szczególnie obyczaj wydawania rozporządzeń bez publikowania takowych. Uważam, iż wymaga to szczególnych umiejętności oraz predyspozycji psychicznych, z których zresztą - wieść niesie - Zdzisław Kaczmarek słynął jak Akademia długa i szeroka.

Mało kto daje sobie sprawę z tego, że sekretarze są od zatajania, a generalni sekretarze od zatajania ogólnego. Wskazuje

na to jednoznacznie etymologia. Po czesku sekretarz to po prostu tajemnik.

25.XI.

L.

PS: W związku ze zbliżającym się Nowym Rokiem pozwalam sobie tą drogą przesłać depeszę do Gremiów, Autorytetów i Wybitnych:

Ile jeszcze razy dacie się zrobić w konia stop robicie to nie tylko w swoim imieniu stop może kiedyś miał wykręcać się po zapytanie o zdanie przed stop opamiętania życzy

Leopolita

WYDARZENIA

NAGRODA IM. ANDRZEJA KIJOWSKIEGO

Jury w składzie: Jacek Bocheński, Tomasz Burek, Małgorzata Łukasiewicz, Adam Michnik, Jarosław Marek Rymkiewicz i Wiktor Woroszyński przyznało nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego za 1988 rok Annie Bojarskiej za eseje literackie i historyczne, ogłoszone w latach 1981-1988 na łamach "Zapisu", "Więzi", "Tygodnika Powszechnego", "Krytyki" i "Przeglądu Katolickiego". Eseistyka ta w sposób śmiały, oryginalny i dociekliwy rekonstruuje sytuacje dziejowe i kulturowe, draży losy postaci znaczących, uosabiających ważne dramaty swego czasu.

Rozpatrywano również kandydaturę Tadeusza Nyczka, autora książki "Emigranci".

Nagroda powstała z inicjatywy Komitetu Kultury Niezależnej. Przyznawana jest następcom Andrzeja Kijowskiego, w twórczości eseistycznej poświadczającym bliskie mu wartości. Jury bierze pod uwagę dzisiaj autorów polskich niezależnie od miejsca ich powstania i opublikowania, dokonując wyboru laureata w dniu urodzin Andrzeja Kijowskiego, 29 listopada. W ubiegłych latach nagrodę otrzymali kolejno: Adam Michnik, Adam Zagajewski i Włodzimierz Bolecki.

WAŁĘSA W TELEWIZJI

Dwukrotnie w ciągu niespełna dwóch tygodni Lech Wałęsa wystąpił w roli gwiżdwy szklanych ekranów. Najpierw - Telewizji Polskiej. Podobno światowe stacje telewizyjne pokazywały obszerne fragmenty tego niezwykłego spektaklu, podobno polonijne stacje w Ameryce nadały cały program

w tym samym momencie. Potem - w telewizji francuskiej, która nader obficie relacjonowała wizytę przewodniczącego "Solidarności" w Paryżu. Podobno światowe stacje telewizyjne pokazywały obszerne obrazy z tego tryumfalnego pochodu Wałęsy przez Paryż. Podobno... Telewizja Polska zdobyła się na kilka parosekundowych ilustracji lakonicznych wiadomości.

W andrzejkowy wieczór czyni się wróżby. Ale nawet najbardziej magiczne sztuki nie pomogą odpowiedzieć, co wróży dla kraju, dla "Solidarności", dla samego Lecha w końcu, występ oglądany przez blisko dwudziestomilionową widownię. /równie liczną widownię zgromadziła jeszcze tylko transmisja mszy inauguracyjnej w Rzymie Jana Pawła II/.

Wróżbom, magii i "zamawianiu" oddały się oficjalne środki masowego przekazu. Nie od razu. Pierwszego dnia "po" gazetem wolno było zamieścić tylko krótki komunikat PAP. Lawina runęła dzień później.

Zasadnicza teza propagandowa brzmiała następująco. Debata Wałęsy i Miodowicza wykazała, że najbardziej zasadnicze spory można prowadzić z wysoką kulturą polityczną. Ale w takiej postaci teza miała niepokojący wydźwięk. Doprecyzowano więc. Wałęsa zaprezentował się jako zwolennik umiaru, ugody i kompromisu. /Jak było, widzieliśmy/. Miodowicz zaś. /jak wypadł, też widzieliśmy/ powściągnął swe polemiczne umiejętności, powodowany obowiązkami gospodarza.

Jeśli to Miodowicz był gospodarzem, to po co się pętał po studiu telewizyjnym Tumanowicz? Jeśli przewodniczący OPZZ był gospodarzem, to dlaczego nie przywitał gościa i widzów? Jeśli był gospodarzem, to po co było to gadanie, że uczestnicy debaty mają w studiu równe prawa? Gospodarz, to ktoś kto włada, posiada lub dysponuje. Studio telewizyjne

miało być "przezroczyste", kamery beznamienne, scenografia nijaka, właśnie po to, by zaakcentować równość stron i wykluczyć jakąkolwiek manipulację - i tak właśnie było, by mniej nie z łaski "gospodarza", bo go na mocy wstępnej umowy miało nie być. I nie było. Całe to uzasadnienie zostało wymyślone ex post i dowodziło, że to nie "zwolennicy Lecha Wałęsy", tylko mocodawcy Miodowicza potraktowali debatę jako pojedynek bokierski i to pojedynek, który tylko dlatego nie zakończył się k.o. przewodniczącego OPZZ, że w porę zabrzmiał gong.

Nie walczyli, ale Miodowicz przegrał. A skoro przegrał w bezpośredniej konfrontacji, to trzeba dokończyć meczu przy zielonym stoliku. Do gry weszli szulerzy. Podstawowe oszustwo, do jakiego się wynajęli, miało polegać na wykazaniu, że wynik był jednak inny, niż wszyscy widzieli.

Na regatach żeglarskich np. stosuje się skomplikowane przeliczniki, mające zniwelować różnice między łodziami różnych klas. Tej, która ma więcej wiatru w żaglach, która odznacza się większą dzielnością, która szybciej idzie do celu, odejmuje się punkty a dodaje kryptom. Na tej zasadzie łajbie "Miodowicz" próbowano doliczyć punkty odebrane s/y "Wałęsa". To te punkty za "gościnność" gospodarza.

Ale tego też było za mało. Komentatorzy debaty, nieusatisfakcjonowani jej faktycznym przebiegiem, jeśli wykazywać jaka mogła być. Aleksander Bocheński ujął to najzwięźlejszej, w formie pytań, po jednym od każdego uczestnika. Wałęsę mianowicie zapytał, w jakim znaczeniu używał on słowa "wolność". W języku mało eleganckim, ale celnym, to się nazywa "różną głupą". Do Miodowicza skierował Bocheński pytanie - pretensję. O to mianowicie, że nie wykazał, iż ten "samochód przemian", o który upominał się przeciwnik, już jedzie, a za jego kierownicą siedzi Rakowski /tego,

czy ów "Caruso kierownicy", jak kiedyś pisał "Przekrój", zabrał do swego samochodu ludzi, o których też upominał się Wałęsa, Bocheński już nie dodał/.

Tym śladem poszli następni komentatorzy. Po prostu zaczęli pisać Miodowiczowi repliki, znajdować argumenty, tłumaczyć co miał na myśli, wskazywać rozwiązania. A Wałęsę dezawuować, przekręcać, łapać za słowa.

Nic z tego, próżne wysiłki. Telewizyjni na własne oczy oglądali wynik debaty i nie dadzą się zwieść, o czym świadczy powtarzana powszechnie anegdota. Otóż Miodowicz doszedł do wspólnego przekonania z Wałęsą, że Polsce jest potrzebny pluralizm związkowy. Z tym że on to ujmuje w systemie zerojedynkowym: albo jeden, OPZZ-owski związek, albo żaden.

"SZCZYT" NOBLISTÓW

Najlepszym pomysłem politycznym prezydenta Mitterranda - powiadają w Paryżu - było doprowadzenie do spotkania dwóch laureatów pokojowej nagrody Nobla, wybitnych przywódców opozycji w krajach bloku wschodniego, Lecha Wałęsy i Andrieja Sacharowa.

Nie mieli wcześniej okazji spotkać się, więc nie kryli emocji. "Zachowywali się - zauważył ktoś z obserwatorów - jak para narzeczonych, którzy mają zaraz pójść do ołtarza, choć jeszcze nigdy się nie widzieli".

Sacharow przybył do Paryża pierwszy. Wałęsie powiedziano, że stanie w tym samym hotelu, w którym zatrzymał się Rosjanin. Zanim udał się do siebie, zostawił w recepcji bilecik dla Sacharowa. Napisał tylko tyle: "Mieszkamy na tym samym piętrze. Teraz - albo nigdy".

Nazajutrz rano Lech usłyszał pukanie do drzwi. "Kto tam?", zawołał. "Eto ja"... Powtarzam, jak usłyszałem, ponieważ "se non è vero è ben trovato".

70-LECIE ALEKSANDRA SOŁŻENICYNA

Blisko piętnaście lat temu odebrano mu obywatelstwo ZSRR, skazano na banicję i przemocą wywieziono z kraju. Długo przedtem skazano go na milczenie wśród swoich. Jeszcze wcześniej - na więzienie i łagier.

Aleksander Sołżenicyn mieszka w Stanach Zjednoczonych, ale ani na chwilę nie opuścił Rosji. Pisze na nowo jej dzieje najnowsze, jej dwudziestowieczną historię, znaczoną nazwiskami - przekleństwami: Lenina, Stalina, Chruszczowa, Breżniewa... Chcieli mieć Rosję na miarę własnych wyobrażeń. I wywarli swe piętno na jego losach. Ale Rosja nie jest taka, jaką chcieli pokazać światu. Świat zna ją taką, jaką pokazał Sołżenicyn.

Bunin, Sołżenicyn, Brodski, trzech laureatów literackiej nagrody Nobla: emigranci. Nie pozwolono im żyć we własnym kraju. Zamknięto granice przed ich książkami. Rosja jaka jest, jaką zna świat, nie zna sama siebie.

O Sołżenicyna - wygnańca, także o Sołżenicyna - pisarza, upomniano się we własnym kraju. Zrazu słabo, nieśmiało, z czasem coraz głośniej. Bez skutku. Jak długo jeszcze? Głosów przybywa, potężniejszych, ale pożądanego odzewu wywołać nie zdołali. Milczenie kół oficjalnych to hańbiąca odpowiedź.

Ponoć pisarz stawia twarde warunki. Jego ewentualny powrót do kraju ma być poprzedzony przez książki. Najpierw przed nimi mają się otworzyć granice. Mówią: zbyt twarde warunki. Upór za surowy, bez-

kompromisowy, gdy ustępstwo, być może, otworzyło by drogę...

"Archipelag Gulag" powstawał częściami. Każda z nich była kopiowana i ukrywana w kilku różnych miejscach, najpilniej strzeżona przynajmniej do czasu, gdy z Zachodu nie dotarło potwierdzenie, że któraś z kopii wysłanych za granicę dotarła na miejsce przeznaczenia. Pisarzowi, który zaznał takich doświadczeń nie można perswadować, że stawia zbyt surowe warunki domagając się wolności dla swoich książek.

Jesteśmy w lepszej sytuacji niż Rosjanie, choć również u nas nie ma swobodnym dostępie do "Archipelagu...", "Oddziału chorych na raka", "Pierwszego kręgu". Bywa, i to nierzadko, że gościom zza wschodniej granicy trzeba własnymi słowami opowiadać, streszczać a nawet odczytywać fragmenty książek Solżenicyna, tłumacząc polski przekład z powrotem na język oryginału. Strach pomyśleć o formie, w jakiej taką metodą wielki pisarz dociera ze swym słowem do redaktorów. Ale oni chłoną i ten okaleczony przekaz i z zazdrością spoglądają na charakterystyczne szare tomy paryskiego wydania, na uboższe na krajowe przedruki, lub jeszcze skromniejsze kopie kserograficzne a nawet maszynopisowe wyciągi /choć przy okazji warto wspomnieć, że nakładem POMOŚCI-u ukazało się ostatnio okazałe, trzytomowe, pierwsze pełne krajowe wydanie "Archipelagu Gulag", dzięki któremu recepcja podstawowego dzieła Solżenicyna osiągnie zupełnie nowy wymiar/.

RACHUBA CZASU I RACHUNEK STRAT

Do późnych godzin nocnych w środę 7 grudnia świat nie dowiedział się o tragicznych w skutkach trzęsieniu ziemi, które dotknęło Armenię. Jest to z pewnością trudna

do wytłumaczenia, tym bardziej, że stacje sejsmograficzne w Polsce zanotowały wstrząs już po czterech - pięciu minutach.

W Armenii była jedenasta trzydzieści jeden. W Polsce - minuta po pół do ósmej. W Nowym Jorku środek nocy, minuta po pół do trzeciej.

Ile mogła wynieść zwłoka, po której tragiczna wieść doszła do Moskwy? Jeśli zostało przerwane połączenie telefoniczne, to pozostawało radiowe. Armenia, ze względu na konflikt z Azerbejdżanem musiała być na "gorącej linii", w republice stacjonowały duże siły wojsk wewnętrznych. Ile, dwie godziny? To bardzo dużo.

Pytanie: czy Gorbaczow wiedział o kataklizmie przed wygłoszeniem przemówienia w ONZ? Jeśli sądzić na podstawie zdjęć telewizyjnych, nie wiedział. W każdym razie nie dał po sobie poznać. Jest prawdopodobne, że współpracownicy na Kremlu postanowili opóźnić podanie gensekowi tej wiadomości. Ale to musiało pociągnąć blokadę informacyjną.

Gorbaczow przemawiał o jedenastej. W Armenii był dziewiąta wieczór - i przeszło dziewięć godzin po katastrofie. Świat w dalszym ciągu nie wiedział. Minęło jeszcze pół doby. Wiadomość o trzęsieniu ziemi połączono z wiadomością, że Gorbaczow przerywa wizytę w Ameryce. Opóźnienie około dwudziestogodzinne.

Państwa zachodnioeuropejskie, przede wszystkim Francja i Włochy, zaofiarowały pomoc najszybciej jak to było możliwe. Ale to było już we czwartek. Pierwsi ratownicy na miejsce katastrofy mogli przybyć najwcześniej po południu. Nikt nie policzy, dla ilu ludzi dotkniętych nieszczęściem była to pomoc spóźniona.

Nie da się przewidzieć wstrząsów tektonicznych. Można minimalizować ich skutki przez odpowiednie przygotowania, także przez dostosowane do zagrożenia

budownictwo. W miastach Armenii nie odstępiono od sowieckiej gigantomanii - i przede wszystkim te wysokościowe budowle stały się przyczyną tak ogromnych strat. Zagraniczni fachowcy oceniają bardzo surowo stan przygotowania państwa do likwidacji skutków trzęsienia ziemi, krytycznie też oceniają sprawność kierowania akcją ratunkową. Do bilansu - nie do oszacowania zresztą - zawinionych strat trzeba doliczyć te które wynikły z opóźnienia wiadomości.

Ile istnień ludzkich kosztował spokój ducha Gorbaczowa i upragniony efekt jego podróży amerykańskiej?

OGAREK, ŚWIECZKA, KAGANEK

W jednej z uchwał IX Walnego Zjazdu Delegatów Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek /Warszawa, 1-2 XII 1988 r./ znalazło się osobliwe zdanie. "Wyrażamy szacunek tym wszystkim wydawcom, w kraju - w obiegu oficjalnym i nieoficjalnym - oraz na emigracji, za ich trud, który pozwolił nam czerpać z pełni kultury polskiej i światowej, z zakazanego dorobku myśli". To już do tego doszło, że jednym tchem wymienia się, jako godnych szacunku, wydawców oficjalnych, nieoficjalnych i emigracyjnych! I to w uchwale nie jakiegoś dysydenckiego zgromadzenia, tylko naczelnej władzy jak najbardziej oficjalnego towarzystwa, współdziałającego z władzami PRL w ustalaniu i w realizowaniu kolejnych subtelnych odmian "polityki kulturalnej". Zdanie na miarę porozumienia narodowego.

Byłby to ewenement wart pochwały, gdyby nie drobny szkopuł. Uchwałodawcom bowiem porozumienie narodowe jest bodajże bliższe niż elementarna logika. Coś się mianowicie w tym zdaniu nie zgadza. O jakie

dzieło "z zakazanego dorobku myśli", opublikowane w oficjalnym obiegu, mogłoby tu chodzić? W oficjalnym obiegu, czyli poddającym się cenzurze, która właśnie wydaje zakazy, lub je uchyla i wydaje zgodę, ukazują się co najwyżej dzieła dawniej zakazane, a teraz już dozwolone. Albo więc skłamaną został powód do wyrażenia szacunku, albo fałszywie wyliczono godne tego szacunku obiekty.

W dyskusji zjazdowej jeden z delegatów, Janusz Przewłocki, powiedział: "Chciałbym oddać sprawiedliwość niewymiernym dla kultury polskiej zasługom tych wydawców, których nazwisk i dzieł niemal jeszcze do wczoraj nie wymawiano wcale lub najwyżej konspiracyjnym szeptem. Myślę o tych, którzy ryzykując stanowiska, pracę, los własny i bliskich, torowali drogę do społeczeństwu oczyszczonym wartościom kultury ojczystej i światowej wtedy, gdy powołani do tego niektórzy wydawcy pierwszego obiegu tym wartościom drogę zagradzali, robiąc kariery na cenzurowaniu i niewydawaniu".

"Dziś nasze wydawnictwa chlubią się Pasternakiem i wszystkimi innymi samizdatowymi dziełami Rosjan, Węgrów, Czechów i Słowaków, Orwellem, Grassem, a cóż tu mówić o losach dzieł Andrzejewskiego, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Kijowskiego, Miłosza. Te nazwiska, te dzieła znaliśmy do wczoraj jedynie dzięki ludziom emigracji i naszych niezależnych wydawnictw. Pokłońmy się im dzisiaj. Pokłońmy się ściganym drukarzom i kolporterom. Taki ukłon dziś nie nie kosztuje".

Janusz Przewłocki zgłosił następnie formalny wniosek o przyjęcie w tej sprawie uchwały. Pierwsze zdanie uchwały, którą ostatecznie zjazd przegłosował, zacytowałem na początku. W projekcie brzmiało ono inaczej, zgodnie z przytoczonym uzasadnieniem.

"Wyrażamy szacunek tym wszystkim,

których trud - ne emigracji i w niezależnym obiegu w kraju - pozwolił nam czerpać z pełni kultury polskiej i światowej, z zakazanego dorobku myśli.

Dziękujemy im za ofiarność.

Nie dopuścimy, by koniunktura i manipulacja polityczna, by instrumentalne traktowanie wartości literackich i kultury doprowadziło ponownie do zniekształcenia myśli programowej wydawnictw".

Uchwała przyjęta przez zjazd PTKW różni się od proponowanego tekstu /przytoczonego powyżej/ tylko brzmieniem pierwszego zdania. Nie trzeba wykazywać, jak zasadnicza to różnica.

Delegaci towarzystwa wydawców obradowali - jak widać - w poczuciu dobrze pełnionego obowiązku i udzielili sobie pochwały za to, że niosą kaganek oświaty, paląc w nim Pana Boga świeczką i diabłu ogarek...

ROZMYDLANIA PROF. STEPNIA

"Środek przekazu jest przekazem". Teza, podstawowa w teorii masowej komunikacji, wydaje się ostatnio bardziej niż kiedykolwiek trafna i aktualna. Telewizja, radio, czasopisma prześcigają się wprost w zachwalaniu otwartości, jaką właśnie okazują, na tematy, dzieła, autorów do niedawna nie tylko zakazane, ale w tej samej telewizji, radiu, i czasopismach zakłamywane, kaleczone, przemilczane albo zgola potępiane. Być może zmiana, której nie można nie zauważyć, utrwali się. Być może otwartość będzie jeszcze większa. Chwalcom jednakowoż zalecałbym umiar. Im gorliwiej bowiem zachwalają swój nowy towar, tym wyraziściej kompromitują buble, które do wczoraj, a nierzadko i dzisiaj jeszcze, proponowali klientom. Wymyślne przekleństwa, jakie teraz ciekają na srod-

nie Stalina i jego podkomendnych, znaczą w ich ustach: "podle kłamaliśmy". Pioruny, które rzucają przeciw fałszom historycznym, oświetlają ich powalane białą farbą dżonie i nieudolnie ukryte sprzęty malarzkie do pacykowania "białych plam".

Krakowski profesor literatury Marian Stępień wygłasza raz w tygodniu pogadanki telewizyjne. Nie sędzę, żeby program pod tytułem "Rozmyślania Mariana Stępnia" miał masową widownię. Kto jednak oglądał audycję nadaną w ostatnim tygodniu listopada, został pouczony, jak w Rejowym porzekadle, że "Polacy swój język mają". O stalinizmie nie muszą mianowicie dowiadywać się z zagranicznych publikacji. Sołżenicyn, Heller, Miedwiediew nie piszą nic takiego, o czym nie wiedzielibyśmy od swoich pisarzy. Ta fraternizacja jest godna podkreślenia. Oto bowiem ci "nasi" /w cudzysłowie, ponieważ nie widzę powodu, żebyśmy się mieli przyznawać do nich razem, my i Stępień/ autorzy, to - wyrecytował z pamięci krakowski profesor - to same zakazane nazwiska. Obertyńska, Czapski, Herling-Grudziński, Świaniewicz, Jasieńczyk, Wańkowicz /jako autor "przejęw rodziny Korzeniewskich" i pełnego wydania "Monte Cassino"/. Zabrakło - z ważniejszych dzieł, bo padały, a jakże, nie tylko nazwiska, ale i tytuły - chyba tylko Wiktorii Kraśniewskiej "Po wojnie" i może jeszcze, ale nie jestem pewny, Grossów "W czterdziestym nas, matko, na Sybir zabrali"...

Pouczenie byłoby może nawet pożyteczne, bo skąd niby miałiby telewidzowie znać te nazwiska i te tytuły książek? Na granicy konfiskowano. Edycje podziemne zabierano podczas rewizji. Za drukowanie i kolportowanie szło się siedzieć. Taka była wola i takie dyspozycje dla organów ścigania rządzącej partii. Marian Stępień jest członkiem partii. Nie jakimś tam szeregowym członkiem, tylko mężem zaufania.

Kiedy pacyfikowano "Kuźnicę", partyjny klub w Krakowie, i jego organ, miesięcznik "Zdanie", a decydenci wahali się, zamknąć czy okiełznać, zaofiarował swe usługi Marian Stępień. Przywróci prawomyślność. Interweniował skutecznie, zaufano mu, dostał "Kuźnicę" i "Zdanie", objął przewodnictwo klubu i redakcję pisma. Było to w stanie wojennym. A więc, powtarzam, pouczenie profesora moglibyśmy przyjąć za dobrą monetę, gdyby nie trąciło fałszem.

Nic na to nie poradzę, że na ekranie telewizora mylą mi się autor "Rozmyślań..." prof. Stępień z autorem "Rozmów z Pankracym", aktorem Kęstowiczem. Takie subiektywne wrażenie podobieństwa... Kiedy słuchałem "Rozmyślań...", cały czas miałem złudzenie, że to ta druga audycja i że obok Stępnia /co do którego nie miałem pewności, czy nie jest Kęstowiczem/ pojawia się zaraz sympatyczna morda psa Pankracego, żeby zaskrzeczeć nieodłączne: "psiej-sko-czarodziej-sko".

Wybacz, Pankracy.

/red. Leon Bober/

OSWIADCZENIE

Wydawnictwo PoMOST zwraca uwagę na niezgodne z decyzją społecznej komisji arbitrażowej /K.Bieliński, G.Boguta, J.Kofman/ postępowanie drugiej strony, określanej w czasie konfliktu w Wydawnictwie MOST jako: "pion redakcyjny /publikujący od 1984 r. Wolne Pismo MOST/".

Komunikat komisji z dn. 25.III.1988 r., opublikowany w Tygodniku Mazowsze nr 246 z 13.IV.1988 r. zawierał m.in. następujące postanowienia:

/.../ a/wydawnictwo "MOST" przestaje istnieć,

b/strony rezygnują z posługiwania się dotychczasową nazwą i znakiem firmowym wydawnictwa,

c/w miejsce dotychczasowego Wydawnictwa powstają:

1/ Wydawnictwo Wolnego Pisma "MOST"

2/ Wydawnictwo PoMOST,

d/majątek, dorobek edytorski, prawa autorskie i wszelkie zobowiązania byłego Wydawnictwa "MOST" zostają, za wzajemną zgodą stron podzielone między nie./.../

Uważamy, że nie zwalnia Wydawnictwa Wolnego Pisma "MOST" z obowiązku stosowania się do ww postanowień. Z tego względu:

1. zmianę nazwy /już po opublikowaniu komunikatu/ na: Wydawnictwo Wolne Pismo "MOST",
2. wydanie /już po zapadnięciu decyzji komisji/ książki Dariusza Fikusa pt. Pseudonim "Lupaszka" z zachwyceniem "I wydanie krajowe Wydawnictwo "MOST" Warszawa" z "Copyright by Dariusz Fikus i Wydawnictwo "MOST",
3. zamieszczanie podziękowań /w sposób jak swyczajowo potwierdzane były wpłaty i podziękowania na rzecz nieistniejącego Wydawnictwa "MOST"/:

a/ w Tygodniku Mazowsze nr 257 z 8.VII.1988 - "Most dziękuje Jerzemu za 1",

b/ w CDN - Głos Wolnego Robotnika nr 243 z 15.09.1988 - "Szwecja: NRK'S" i Most dziękuje za ISM",

c/ w CDN - Głos Wolnego Robotnika nr 247 z 12.11.1988 i w Tygodniku Mazowsze nr 272 z 23.11.1988 - "Most dziękuje Kontaktowi za sprzet i 400 FR"

Przedstawienie w CDN - Głos Wolnego Robotnika nr 247 z 12.11.1988 nowych pozycji książkowych Wydawnictwa Wolnego Pisma MOST jako - "Aktualności wydawnicze "Mostu";

traktujemy jako niedopuszczalne.

14 grudnia 1988

Wydawnictwo PoMOST

Ms. 2299



450.-

-WYDAWNICTWO-
POLSKA
1988
-WARSZAWA-